

Anna Kańtoch

# ANATOMIA CUDU



Anna Kańtoch

ANATOMIA

CUDU

DOMENIC JORDAN (TOM: 4;3)



WYDAWNICTWO: BOOKRAGE.ORG 2015

# *Spis treści*

*Karta tytułowa*

## **MAJSTERSZTYK**

*Akt I*

*Akt II*

*Akt III*

## **ANATOMIA CUDU**

*0.*

*1.*

*2.*

# MAJSTERSZTYK

# Akt I

Jego Ekscelencja Ipolit Malartre, biskup Alestry, spowiadał spóółstwo trzy razy w roku: w poranek po Davaladzie, wiosn przed Zmartwychwstaniem oraz latem, w dzie świętego Ignacego, patrona miasta. Ze wszystkich tych okazji to włanie trzecia, wypadajca 21 lipca, cieszyła się najwikszym powodzeniem, bo zachęeni pikn pogod ludzie chętnie wychodzili z domów i często zdarzało się, że kolejka grzeszników sięgała do drzwi katedry. Nie dzie jednak – dzie od rana było pochmurno i duszno, a w południe rozpętała się burza. Siedząc w konfesjonale, biskup nasłuchiwał bębnienia deszczu o witrażowe szyby i pomrukiwania gromów, które przypominały warczenie krżących nad Alestr psów. Ostatni petent odszedł pić minut temu i nie zanosiło się na to, żeby ktoś jeszcze tego popołudnia zdecydował się na spowiedź. Ipolit Malartre westchnł, poprawił się na mikkim siedzeniu i zatęsknił za pałacem biskupim, gdzie czekały go płoncy na kominku ogie, kolacja z piciu da i butelka wytrawnego wina. Pocięzał się myl, że do ósmej ju niedaleko, lada moment usłysz bicie dzwonów na katedralnej wieży. Czas jednak włół się niemiosiernie, a hulajce po nawie zimne i wilgotne podmuchy bez trudu przenikały cienki mantolet. Biskup usłyszł, jak stojcy obok konfesjonłu strżnik przestpuje z nogi na nogę. Przez moment miał ochotę poprosić go, by przymknł drzwi, ale oczywicie nie mógł tego zrobić – tradycja nakazywała, by w dzie spowiedzi katedra była zachęajco otwarta.

Ipolit Malartre westchnął raz jeszcze i zamknął oczy. Postanowił odmówić dziesiątkę różańca, powierzając swoje cierpienie uwadze świętego Ignacego. Akurat gdy kończył trzecie *Zdrowaś Mario*, w nawie rozległ się tupot stóp. Biskup drgnął w oczekiwaniu. Zazwyczaj nie przepadał za wysłuchiwaniami grzechów, tym razem jednak czekał na spóźnionego petenta niemal z nadzieją, licząc, że dzięki niemu zabije nudę dzielącą go od sutego posiłku.

Cień padł na kratę, gdy zdyszany grzesznik klękał. Biskup widział jedynie niewyraźny zarys głowy, ale mógłby się założyć, że to kobieta, prawdopodobnie młoda, prawdopodobnie zdenerwowana – to z kolei zgadywał po niespokojnym oddechu.

– Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłam. – Głos był taki, jak się spodziewał, młodzieńczy i pełen napięcia. – Ja... – Dziewczyna nieoczekiwanie wybuchnęła szlochem. – To ja go do tego namówiłam! Namówiłam, a teraz on zniknął! Błagam, niech ojciec go dla mnie znajdzie!



Domenic Jordan obrócił kieliszek, przyglądając się, jak światło świecy rozpala głęboką czerwień wina. Potem podniósł wzrok na biskupa, który siedział przy kominku z zasepioną miną. Burza już się uspokoiła, ale o szyby wciąż tłukł deszcz, bardziej listopadowy niż lipcowy.

– To dość... osobliwa spowiedź – powiedział Jordan.

Ipolit Malartre skinął głową.

– Dlatego właśnie cię wezwałem.

– Chce ojciec, żebym porozmawiał z tą dziewczyną? Gdzie ona jest?

– Wysłałem ją do Bonafilii Bozesy. To szanowana kobieta, prowadzi przy Powroźniczej pensjonat dla szukających pracy służących.

Pomyślałem sobie, że w takim stanie dziewczyna nie powinna samotnie błąkać się po mieście.

Jordan zmrużył oczy.

– Jest ładna?

Przez twarz biskupa przemknął lekki grymas.

– Nie zwykłem interesować się ładnymi służącymi. Ani innymi kobietami, jeśli o to chodzi.

Jordan wiedział, że Jego Ekscelencja jest prawdopodobnie jedynym biskupem w Okcytanii, który nie utrzymuje stałej kochanki ani nie odwiedza domów rozpusty. Podejrzewał przy tym, że to raczej kwestia pewnej estetyki niż zasad – Ipolit Malartre zbyt cenił sobie własną godność, by wymykać się do kobiety jak pospolity cudzołożnik. Choć może Jordan się mylił, może jednak chodziło o zasady. Domenic Jordan i jego protektor mieli sporo wspólnego: obaj lubili luksus i wyzwania intelektualne, obu także zdarzało się robić rzeczy, których ani prawo, ani większość społeczeństwa nie akceptowały. Dlatego tak dobrze się rozumieli. Lecz przy wszystkich tych podobieństwach łatwo było zapomnieć o dzielących ich różnicach – a Ipolit Malartre, mimo pozorów typowego księdza sybaryty, był człowiekiem głębokiej wiary.

– Ja i ojciec to wiemy – powiedział Jordan, dolewając sobie wina. – A czy wie o tym ta dziewczyna?

Biskup zmarszczył brwi.

– Co sugerujesz?

– Nie jestem pewien – przyznał Jordan. – Ale to wszystko jest takie dramatyczne. Burza i piękna dziewczyna wpadająca do kościoła, by wyznać grzech i błagać o pomoc. Zaginiony narzeczony, kuglarze i magicy. Jak z taniej powieści. Poza tym ojciec spowiada tylko trzy razy w roku, a naszej pannie udało się trafić dokładnie w jeden z tych dni.

– Może to po prostu przypadek. Nie wszystko musi być częścią czyjegoś planu.

– Wiem. – Jego Ekscelencja prawdopodobnie miał rację, Domenic doszukiwał się spisków tam, gdzie ich nie było. A jednak cień

wątpliwości pozostał: powiedzmy, pomyślał Jordan, że ktoś chciałby zainteresować swoją historią wysokiego dostojnika kościelnego. Czyż istniał lepszy sposób niż to, co wydarzyło się dzisiejszego popołudnia? Zwłaszcza jeśli ów tajemniczy ktoś pochodził z pospólstwa i nigdy nie zdołałby uzyskać audiencji u biskupa.

– Zobaczysz się z tą dziewczyną? – zapytał Jego Ekscelencja. – Nazywa się Agnes Porret, ulica Powroźnicza jest położona tuż nad rzeką, w dzielnicy Cambola. Łatwo ją znajdziesz...

– Wiem, jak trafić na Powroźniczą. – Jordan rzadko bywał niegrzeczny, ale tym razem pozwolił sobie na przerwanie rozmówcy. Ipolit Malartre uniósł brwi, Domenic przeprosił gestem. Rzadko też miewał przecucia, ale tym razem jedno dręczyło go szczególnie mocno.

Przecucie, że jest w tym wszystkim coś, czego jeszcze nie dostrzegają, coś mrocznego i niebezpiecznego.



U Bonafilii Bozesy Jordan zjawił się następnego ranka – wieczorem do pensjonatu i tak by go nie wpuszczono. Brukowane ulice były mokre od wczorajszego deszczu, a w kałużach leżały zerwane nawałnicą liście i połamane gałęzie. Od rzeki wiał ostry zimny wiatr, woda w Mercii była żółta i wzburzona. Jordan stał przez chwilę na nabrzeżu, obserwując wyładowane drewnem barki. Dawno nie był w tej dzielnicy, ostatni raz chyba jeszcze za studenckich czasów. Niewiele tu się zmieniło. Od strony targu dobiegały nawoływania przekupek oferujących ostrygi i świeżo złowione ryby, szyldy burdeli konkurowały krzykliwością z szyldami tawern, a złodzieje z pewnością czaili się w bramach, by pozbawić pieniędzy nieostrożnych amatorów sprzedajnych kobiet. Cambola była jedną z najuboższych i najniebezpieczniejszych, ale też



najbardziej kolorowych dzielnic. Jordan odwrócił się od rzeki i ruszył w dół ulicy. Gdy przechodził obok mostu św. Geralda, minęło go dwóch obdartusów. Jeden z nich, wyglądający na nie więcej niż piętnaście lat, sięgnął odruchowo w stronę zawieszzonego przy pasie noża, ale starszy towarzysz powstrzymał go ledwo zauważalnym gestem.

Jordan dotarł do trzypiętrowej kamienicy, której zachodnia ściana zanurzona była w wodzie. Mur od tej strony porósł zielenią glonów, w powietrzu unosił się zapach wilgotnych cegieł i pleśni. Domenic ujął w dłoń zaśniedziałą kołatkę i uderzył nią kilka razy. Po chwili w szparze drzwi ukazała się twarz zasuszonej starej kobiety, mrużącej oczy i spoglądającej na przybysza podejrzliwie.

– Służącej pan szuka? Jak tak, to trzeba przyjść po południu – zaskrzeczała.

– Nie szukam służącej, chcę tylko z jedną porozmawiać. Agnes Porret, jest tu od wczorajszego wieczoru.

Kobieta cofnęła się i najwyraźniej zamierzała zatrzaskać drzwi, ale Jordan powstrzymał ją, kładąc na nich dłoń.

– Z polecenia biskupa Malartre – powiedział z naciskiem.

Tak jak się spodziewał, nazwisko Jego Ekscelencji zrobiło odpowiednie wrażenie. Staruszka, co prawda niechętnie, otworzyła szerzej drzwi i wpuściła gościa.

– To porządny dom – mruknęła usprawiedliwiająco, prowadząc go do ciemnego i wilgotnego saloniku. – Musimy dbać o reputację naszych dziewcząt. Nie wolno im tu przyjmować żadnych mężczyzn, nawet krewnych, i zawsze pilnujemy, żeby wracały przed zmrokiem. To porządny dom – powtórzyła, oczekując chyba, że przybysz potwierdzi.

Jordan niezobowiązująco skinął głową. Wiedział, że mieszkały tu ubogie dziewczyny, które albo niedawno przybyły do Alestry w poszukiwaniu posady, albo właśnie tę posadę straciły – właścicielka pensjonatu pełniła więc także rolę pośredniczki w agencji pracy. Wiedział też, że Bonafilia Bozesa to bogata wdowa po pewnym bankierze, a całość przedsięwzięcia utrzymywana jest z datków

alestrańskich mieszczan, którzy, wzruszeni opowieściami o zagrożonej cnotcie wiejskich młódek, nader chętnie otwierali sakiewki.

– Pani Bozesa także tutaj mieszka? – zapytał.

Staruszka wyglądała na lekko zniesmaczoną takim pomysłem.

– Oczywiście że nie, dżna Bonafilia odwiedza nas w każdy wtorek i czwartek.

Oczywiście, powtórzył w myślach Jordan. Majętna wdowa z pewnością nie ryzykowałaby złapania reumatyzmu w tym ponurym, zawilgoconym budynku.

– Ja w jej imieniu wszystkim zarządzam. Pani mi ufa jak sobie samej.  
– Stara kobieta znowu spojrzała na gościa wyczekująco i w odpowiedzi otrzymała kolejne niezobowiązujące skinienie. – Pójdę zawołać Agnes.

– Chwileczkę. – Jordan zatrzymał ją, gdy zmierzała już do drzwi. – Skoro tak dbacie o reputację dziewcząt, dlaczego nie założyliście pensjonatu w jakiejś lepszej dzielnicy?

Zarządzająca uniosła podbródek. Była drobna, sięgała mężczyźnie ledwo do piersi, ale teraz, dumnie wyprostowana, wydawała się wyższa.

– Bo tu właśnie lęgnie się zło – odparła. – Te dziewczyny łatwo dają się omamić diabłu i zbaczają ze ścieżki cnoty. I każda prędzej czy później tutaj trafia. Dla niektórych nie ma już ratunku, ale pomagamy tym, którym możemy jeszcze pomóc.

Jordan uważał, że osobliwy pociąg pensjonariuszek do Camboli nie ma nic wspólnego z diabłem, a dużo z tym, że była to najtańsza dzielnica miasta. Być może też dlatego Bonafilia Bozesa zdecydowała się założyć pensjonat właśnie tutaj. Nie miało to jednak znaczenia, w końcu przyszedł w zupełnie innej sprawie.

Chwilę później zarządzająca przyprowadziła do salonu Agnes Porret. Była to pulchna zielonooka brunetka z dołeczkami w policzkach, ładna, ale nie piękna. To uderzyło Jordana – dziewczyna miała ten rodzaj dziecinnej urody, która trafiała prosto do serca. Młodzieniec łatwo mógł się w niej zakochać, starszy mężczyzna – na przykład taki jak Ipolit

Malartre – równie łatwo zobaczyłby w niej córkę, której nigdy nie miał. Czy właśnie dlatego Agnes została wybrana? Bo piękne kobiety mogą wydawać się niebezpieczne, podczas gdy śliczne wiejskie dziewczęta budzą tylko czułość?

Agnes Porret poruszyła się w wysłużonym fotelu, a Domenic Jordan pojął, że od dłuższej chwili patrzy na nią bez słowa. Nie odezwał się jednak, czekał na reakcję dziewczyny.

Agnes splotła dłonie i spuściła wzrok.

– Pan przyszedł mi pomóc? – zapytała szeptem.

– Na prośbę biskupa Alestry zajmuję się tą sprawą – odparł dyplomatycznie.

Dziewczynie najwyraźniej obce były językowe subtelności, bo jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Wiedziałam, że ktoś mi pomoże! Pan znajdzie Johana, prawda? Zrobię wszystko, tylko błagam, niech go pan znajdzie!

Zerwała się z fotela i rzuciła do nóg Jordana, ten jednak złapał ją, zanim upadła na kolana, i posadził z powrotem.

– Opowiedz mi, co mówiłaś Jego Ekscelencji.

– To straszna historia, poszliśmy wczoraj...

– Zaczynaj od początku, czyli od twojego przybycia do Alestry.

Nie zapytała, dlaczego miałyby to robić, tylko gorliwie pokiwała głową i zaczęła mówić. Jej zachowanie było typowym zachowaniem nawykłych do posłuszeństwa służących, jej historia była typową historią wiejskiej dziewczyny, która w poszukiwaniu pracy trafiła do miasta. Agnes, piąte dziecko, od początku była przeznaczona „na służbę”, bo cały posag dostał się jej starszym siostrom, a na gospodarce osiadł jedyny brat. Tuż po jego ślubie, gdy do domu wprowadziła się szwagierka, Agnes spakowała dobytek w skromny węzełek i ruszyła w stronę Alestry. Dotarła tam po dwóch dniach marszu i nocy spędzonej w stogu siana, bardzo wystraszona, bo przez całe swoje wcześniejsze życie nigdy nie widziała tak wysokich budynków i tylu ludzi w jednym miejscu. Miała szczęście, kiedy zamiast na ulicę, co zdarzało się

wiejskim dziewczętom, trafiła do państwa Capelier, którzy traktowali ją bardziej jak córkę niż jak służącą. Agnes spędziła w ich domu dwa lata, tym szczęśliwsze, że wtedy właśnie poznała Johana Gabriaca, czeladnika złotniczego, który pewnego dnia zjawił się z przesyłką przeznaczoną dla pani Capelier. Agnes zakochała się w nim, a on w niej; ona pilnie pracowała, odkładając każdy grosz, on obiecywał, że szybko zostanie mistrzem i stać ich będzie na wynajęcie własnego mieszkania. Wówczas zmarł pan Capelier, zaś wdowa po nim postanowiła sprzedać dom i przenieść się do córki na wieś. Służącą chciała zabrać ze sobą, ale dziewczyna odmówiła – przecież wkrótce miała zostać żoną. Problem w tym, że Johan egzaminu mistrzowskiego nie zdał i sytuacja zaczęła wyglądać nieciekawie. Agnes pomieszkiwała kątem u koleżanki zajmującej się strojeniem kapeluszy, chłopak poprawiał nieudany projekt naszyjnika, który miał przedstawić na kolejnym egzaminie. Tak minęło kilka tygodni, w czasie których dziewczyna przebąkiwała o poszukaniu sobie następnej posady, ale Johan stanowczo jej tego zabronił. Nadal twierdził, że to tylko kwestia dni, że lada moment zostanie mistrzem i będzie mógł otworzyć własny warsztat, a wtedy wreszcie będą mogli się pobrać. Agnes z lekkim przerażeniem obserwowała, jak topnieją skromne oszczędności, ale nie śmiała się przeciwstawić – w końcu Johan był jej narzeczonym, a ją nauczono, że kobieta zawsze powinna słuchać swojego mężczyzny. Wreszcie nadszedł dzień, gdy Johan pokazał naszyjnik mistrzom cechowym, zdał egzamin i jeszcze tego samego popołudnia kupił Agnes piękny pierścionek. Aby uczcić oficjalne zaręczyny, młodzi postanowili wybrać się do teatru. Dziewczyna co prawda na początku trochę się wahała, bo oznaczało to wydawanie kolejnych pieniędzy, ale w końcu uznała, że przecież taka okazja do świętowania już się nie powtórzy.

Dla panny ze wsi, która przez dwa ostatnie lata krążyła między domem chlebowców, pobliskim targiem i parkiem, po którym spacerowała z ukochanym, wizyta w teatrze była magicznym przeżyciem. Agnes zachwycało właściwie wszystko: i chodzący na

szczudłach zonglerzy, i kolorowo ubrani połykacze ognia, a nawet dziewczęta, które z zawieszonych na biodrach tac sprzedawały pomarańcze.

Była szczęśliwa tak bardzo, jak tylko może być młoda narzeczona, aż do chwili, gdy na scenę wszedł Wielki Gaston, mag o egzotycznym wyglądzie, który zapowiedział, że wykona sztuczkę nazywaną „Grzesznikiem w płomieniach”. Miała ona polegać na tym, że wybrana osoba spośród publiczności wchodzi do metalowej klatki, po czym zostaje uniesiona aż pod sufit, tak aby wszyscy zebrani na widowni mogli ją widzieć. „To próba odwagi, a przede wszystkim dobrego charakteru”, przekonywał mag. „Kto jest bez grzechu, temu nic się nie stanie. Jeśli natomiast ktoś nosi w sercu winę, diabeł porwie go na oczach dziesiątek widzów. Kto się odważy wejść do klatki?”

Od razu zgłosiło się kilkunastu ochotników, w większości młodych, pijanych cydrem mężczyzn. Agnes trąciła łokciem Johana i zapytała ze śmiechem, czy on także zaryzykuje. „Wątpisz we mnie?”, zapytał chłopak z szelmowskim błyskiem w oku, który tak bardzo kochała. „Ja nie”, odparła, „ale nie chciałbyś udowodnić swojemu mistrzowi, że jesteś uczciwy?”

W tym momencie Jordan zapytał, o co chodziło, a dziewczyna poczerwieniała gwałtownie, po czym zaczęła zapewniać, że to nic, głupstwo, Johan oczywiście niczego takiego by nie zrobił. Chwilę zajęło Domenicowi wyciągnięcie z niej, że część mistrzów cechu podejrzewała, iż praca egzaminacyjna Johana nie jest oryginalna, że chłopak po prostu ukradł projekt naszyjnika, albo i sam naszyjnik. Czy Agnes naprawdę wierzyła, że zawieszona pod sufitem klatka jest w stanie udowodnić niewinność jej narzeczonego? Nie, skąd, urodziła się co prawda na wsi, ale to nie znaczy przecież, że jest głupią gęsią. Niemniej było tamtego wieczoru w teatrze coś magicznego, co sprawiło, że może na ulotną chwilę dziewczyna została przekonana.

Tak czy inaczej Johan także podniósł rękę, a Wielki Gaston wybrał go z tłumu. Agnes z drzeniem i dumą obserwowała, jak jej ukochany

wchodzi na scenę. Był taki dzielny, tak bardzo pewny swojej niewinności. Wystraszył się tylko raz, gdy wciągana pod sufit klatka zakołysała się gwałtownie. Agnes zapamiętała tę chwilę, bo na moment udało jej się złapać jego spojrzenie, tam, wysoko ponad szalejącą ciżbą. Johan naprawdę wyglądał na przerażonego, zaraz jednak roześmiał się wesoło i pomachał wszystkim w dole, a publiczność odpowiedziała mu oklaskami i radosnym wyciem. Klatka zawisła nad głowami widzów, magik gestem poprosił o ciszę, zamknął oczy i trwał tak przez kilka uderzeń serca. Ci, którzy jeszcze odważyli się szeptać, teraz wreszcie zamilkli. „Patrzcie na grzesznika w klatce”, powiedział mag, unosząc powieki, „nie spuszczaście go z oka”.

Agnes patrzyłaby i bez tego. Cisza w teatrze wydawała się niemal namacalna, jak coś obcego, co wkradło się między pijanych widzów. Dziewczyna wstrzymała oddech – i wtedy właśnie klatka stanęła w płomieniach, nagle, zupełnie jak wybuchający proch strzelniczy. Ponad widownią przetoczył się krzyk, jakaś kobieta zemdląła, dzieci zaczęły płakać. A płomienie zniknęły, też nagle, zupełnie niespodziewanie, i to też skojarzyło się Agnes z wypalającym się błyskawicznie prochem. Po widowni przetoczył się kolejny okrzyk, płaczące dzieci umilkły.

Klatka była pusta.

Wszystko trwało nie dłużej niż dwa-trzy uderzenia serca – przed chwilą Johan jeszcze stał w klatce, dumnie wyprostowany, a teraz przepadł. Ludzie krzyczeli i klaskali. Agnes też krzyczała, ale z zupełnie innego powodu, wołała, że Johan nie jest grzesznikiem, że to tylko głupia, okrutna sztuczka i ona chce swojego ukochanego z powrotem.

Nikt jej nie słuchał, przedstawienie trwało dalej. Agnes ucichła, bo pomyślała sobie, że może zniknięcie Johana jest częścią planu – może młodzieniec lada moment pojawi się ku zaskoczeniu publiczności na scenie, wejdzie na nią, przebrany na przykład za żonglera, zrzuci maskę i wszyscy będą bić brawo. Tak to sobie wyobrażała i nawet pomyślała, że kiedyś w przyszłości będą opowiadać o tym wieczorze swoim dzieciom i śmiać się. Każdą nową postać wkraczającą na scenę witała

mocniejszym uderzeniem serca, z każdą chwilą jej nadzieja malała, a strach rósł. Dziewczyna upuściła na podłogę niedojedzoną pomarańczę. Przeczekała trzy kolejne występy. Nie bawiły jej już padające ze sceny żarty, aktorzy nie byli już fascynujący, tylko brzydki i zmęczeni pod warstwą szminki, zonglerzy irytowali ją, gdy przechadzali się między rzędami i potrącali widzów.

Johan nadal się nie pojawił.

Gdy wieczór dobiegł końca, widzowie zaczęli opuszczać salę. Agnes została sama, z dłońmi zaciśniętymi w pięści i wzbierającym w gardle płaczem. Wyprosił ją dopiero człowiek, który przyszedł zgasić świece. Najpierw się rozpłakała, potem zaczęła krzyczeć, odmawiając wyjścia, dopóki Johan nie wróci. Oczywiście wyrzucono ją bez ceregieli na zewnątrz. Przez jakiś czas dobijała się do zamkniętych drzwi, a później mokła na deszczu przed teatrem, bo pomyślała sobie, że Johan mógł wymknąć się wcześniej innym wyjściem i teraz na nią czeka. Biegała po ulicach jak szalona, wołając jego imię i potrącając nielicznych przechodniów, których zaskoczyła burza i którzy teraz pędzili, by schronić się w najbliższych bramach. Osiągnęła tyle, że w końcu cała przemokła, a Johana nie znalazła. Przyszło jej na myśl, żeby poszukać policjanta, ale nie miała pojęcia, gdzie kogoś takiego znaleźć, zresztą była dziewczyną ze wsi i przedstawiciele władzy oznaczali dla niej tylko więcej kłopotów. Zrobiła więc to, co podpowiadał instynkt – w poszukiwaniu schronienia i pomocy pobiegła do kościoła.

Gdy skończyła mówić, drżała wyraźnie, a po jej twarzy spływały łzy. Jordan przyglądał się dziewczynie z chłodnym zainteresowaniem. Jeśli istotnie była wynajętą aktorką, to miała niezwykły talent, aż szkoda, że marnowała się na takie intrygi.

Jordanowi nie pozostawało więc nic innego, jak tylko uznać za bardzo prawdopodobną możliwość, że Agnes była dokładnie tym, kim się wydawała – po prostu młodą, nieco naiwną, ale niepozbawioną rozsądku dziewczyną, która bardzo potrzebowała pomocy.



Pod wieczór teatr być może istotnie sprawiał wrażenie pełnego magicznego uroku, w dzień jednak był jedynie starym, zawilgoconym budynkiem z brudnymi oknami i spłowiałymi od słońca plakatami, które oblepiały frontową ścianę aż do wysokości pierwszego piętra. Jordan przyjrzał im się uważnie: reklamowano na nich dwie śpiewające siostry, jednoaktówkę *Śmierć wezyra* oraz występ połykacza ognia, ale nie było żadnej wzmianki o Wielkim Gastonie czy sztuczce zwanej „Grzesznikiem w ogniu”. Podszedł do drzwi, ujął ciężką kołatkę i uderzył nią kilka razy, a kiedy to nie pomogło, załomotał pięścią. Nic, cisza, żadnego ruchu – choć przez chwilę Jordanowi zdawało się, że dostrzegł za szybą pomarszczoną ni to kobiecą, ni męską twarz. Zniechęcony odsunął się, obrzucając budynek spojrzeniem. Teraz w oknach widział już tylko zalegającą w środku ciemność.

Mały ulicznik z czapką zsuniętą na bakier nadszedł, pogwizdując, od strony rzeki. Niósł wiadro kleju, długą szczotkę na kiju i rulon plakatów, które zaczął rozlepić na starej warstwie. Praca szła mu sprawnie, widać było, że chłopiec robi coś takiego nie pierwszy raz w życiu.

Jordan skinął na niego.

– Wiesz może, gdzie mieszkają aktorzy, którzy tu występują? – zapytał.

Ulicznik wzruszył ramionami. Miał piegowatą, bystrą twarz i wyzywające spojrzenie.

– Nie. Przychodzą wieczorem i odchodzą rano. Nikt nie wie, gdzie ich szukać w dzień.

– W takim razie kto kazał ci rozlepić plakaty?

Wyglądało na to, że chłopiec zamierza splunąć na bruk, ale zrezygnował i tylko raz jeszcze wzruszył ramionami.



– Człowiek w tawernie „Pod Starym Flisakiem” – odparł. – Widzę go tam prawie codziennie.

– Jest z teatru?

– Nie wiem, nie pytałem. Sypie groszem za pracę, to nie pytam. Nie moja sprawa.

Jordan pokazał chłopcu błyszczącą monetę.

– Zaprowadzisz mnie do niego?

– Sam pan trafi, to za rogiem. Ja mam robotę.

Jordan rzucił mu monetę, a potem ruszył we wskazanym kierunku. Odprowadzały go spojrzenia nielicznych sprzedajnych kobiet, które wciąż tkwiły na swoich posterunkach w bramach. Chęć zarobienia jeszcze kilku eccu trzymała je na nogach, ale zmęczenie już dawno odebrało im energię i chwiały się teraz, na wpół śpiące w oparach przetrawionego alkoholu, od czasu do czasu tylko otwierając oczy i wykrzywiając usta w niezbyt przekonujących uśmiechach. Jordan skręcił za róg. Szedł ulicą, świadom, że oprócz prostytutek prawdopodobnie odprowadzają go wzrokiem także kieszonkowcy i zwyczajni bandyci. Jego ręka odruchowo powędrowała w stronę pistoletu i cofnęła się zaraz, gdy uświadomił sobie, że taki ruch mógłby zostać uznany za prowokację.

Dotarł już do końca wijącej się uliczki, ale nigdzie nie widział śladu tawerny „Pod Starym Flisakiem”. Przystanął na moment. Tuż obok jego stóp płynął wartko nabrzmiały od burzowej wody rynsztok, w którym pływały zakrwawione rybie łby i świńskie wnętrzności. W ciężkim, dusznym powietrzu mulista woń brudnej rzeki walczyła o lepsze z kredowym zapachem wilgoci wżartej w walące się domy. Jordan rozejrzał się, szukając kogoś, kto zdołałby mu pomóc. Na schodach podniszczonego kościółka beznogi starzec zawodził żebraczą pieśń, nieco dalej gromada wyrostków próbowała złapać wynędzniałego kota, a kobiety plotkowały, zebrane wokół wózka z warzywami. Wszyscy ci ludzie obrzucili Jordana zaciekawionymi spojrzeniami, by zaraz przestać zwracać na niego uwagę. Pozornie, bo Domenic wiedział, że

wciąż są świadomi jego obecności, wyczuwał w nich niemal fizycznie narastające napięcie. Żebracza pieśń stała się bardziej natarczywa i jękliwa, kobiety przy wózku przebierały w marchewce i podgniłych główkach kapusty, dzieci dały spokój kotu i szeptały teraz coś do siebie. Jordan czuł się jak wyjątkowo dorodna mysz, obserwowana od niechcienia przez stado kotów.

Kucnął przy beznogim starcu, który podniósł na niego zamglone wiekiem spojrzenie.

– Tawerna „Pod Starym Flisakiem” – powiedział Jordan. – To gdzieś niedaleko?

– „Pod Starym Flisakiem”? – W oczach żebraka rozbłysło zdumienie, którego zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. – Ano, tak, całkiem niedaleko. W stronę rzeki pan pójdziesz, kawałeczek w lewo.

Jordan wcisnął starcowi w dłoń monetę i ruszył w drogę, teraz już pełen podejrzeń. Gromada wyrostków zniknęła tymczasem, a właścicielka wózka z warzywami złapała dyszel i poczłapała w górę ulicy, wołając: „Jarzyny, świeże jarzyny! Kapusta tylko po ćwierć eccu za główkę!”.

Domenic dotarł do rzeki, potem zwiedził jeszcze kilka okolicznych uliczek, godząc się powoli z myślą, że został oszukany. Przyjął tę nauczkę z mieszaniną irytacji i rozbawienia – bo być może na nią zasługiwał. Zapomniał już, że mieszkańcy Camboli nie przepadają za przybyszami z zewnątrz i że pieniądze wcale nie otwierają tu wszystkich drzwi.

Gdy wrócił pod teatr, małego ulicznika już tam nie było. Pozostała po nim oblepiona nowymi plakatami ściana. Jordan stał przed nią, patrząc na powieloną w kilkudziesięciu egzemplarzach szczupłą twarz z długim nosem, poczernionymi powiekami i tajemniczym uśmiechem na wąskich wargach. Domenic zgadłby, że to mag, nawet gdyby nie przeczytał podpisu: „Wielki Gaston prezentuje »Grzesznika w ogniu«! Już dziś wieczorem! Nie przegapcie!”.



Pół godziny później Jordan siedział w niewielkim biurze, patrząc, jak młody pomocnik balwierza goli Tomasa Magatou. Porucznik na widok gościa chciał odprawić chłopca i wstać, ale Domenic dał mu znak ręką, że zaczeka. Wykorzystał te kilka minut, by przejrzeć leżącą na stoliku prasę. W większości gazet pisano głównie o dostawie kawy oraz egzotycznych owoców, która opóźniała się z powodu szalejących na morzu sztormów.

Pomocnik balwierza skończył, zdjął z piersi porucznika ręcznik i strzepnął go, po czym zgiął się w głębokim ukłonie, czekając na zapłatę. Gdy zniknął za drzwiami, Magatou spojrział przepaszająco na Jordana.

– Proszę o wybaczenie, gdybym wiedział, że pan mnie odwiedzi, kazałbym chłopcu przyjść później... – Porucznik nerwowo zaczął przekładać leżące na biurku papiery, jakby chciał udowodnić, że w pracy zajmuje się nie tylko dbaniem o własny wygląd. Po chwili dał spokój, znalazł fajkę i nabił ją. – W czym mogę pomóc? Skoro pan się tu zjawił, to pewnie oznacza jakąś ciekawą sprawę, co?

– Zależy, co pan uważa za ciekawe. Czy interesuje pana chłopak znikający z zawieszanej pod sufitem klatki?

Jordan pokrótce streścił historię Agnes i jej narzeczonego. Magatou słuchał, paląc fajkę. Rysy jego szerokiej chłopskiej twarzy były nieruchome, ale w oczach widniała wyraźna ciekawość.

– Odważny pan jest – skomentował, kiedy Jordan skończył mówić. – Zapuszczać się samemu do Cambolji, no, no. Powinien się pan cieszyć, że skończyło się tylko na błędzeniu po ulicach. Ktoś mógł pana napaść i zostawić w rynsztoku rozebranego do rosołu.

Jordan darował sobie uwagę, że teoretycznie to właśnie policja powinna zapobiegać takim wydarzeniom – obaj dobrze wiedzieli, że są

w Alestrze miejsca, do których nie sięga władza, i że większość z nich znajduje się właśnie w Camboli.

– Mam nadzieję, że ta dziewczyna jest tego warta. – Porucznik roześmiał się rubasznie, ale ponieważ gość mu nie zawtórował, odchrząknął z lekkim zakłopotaniem i uderzył fajką o biurko, żeby przeczyścić cybuch. – Czego pan ode mnie oczekuje? Możemy razem pójść i przesłuchać tego łajdaka...

– Na początek byłbym wdzięczny, gdyby powiedział mi pan, czy takie przypadki zdarzały się już wcześniej. Ktoś zgłaszał zaginięcia po występach Wielkiego Gastona?

Magatou zajrzał w głąb fajki, jakby spodziewał się znaleźć tam odpowiedź.

– Raz – przyznał z lekkim ociąganiem. – Z tydzień, góra dwa temu przyszedł do nas jakiś pijak i krzyczał, że zniknął jego kompan od kieliszka.

– Nie uwierzyliście mu?

– Uwierzyliśmy, co mieliśmy nie wierzyć. Mało to ludzi ginie codziennie w Camboli? Jak ktoś chce zapaść się pod ziemię, nie ma lepszego miejsca. Pomyśleliśmy, że to zwyczajna sprawa, gość miał już dość starego towarzystwa i zmył się, żeby poszukać nowego.

– Pamięta pan, jak się nazywał zaginiony? Albo pijak, który zaginięcie zgłosił?

Porucznik pokręcił głową z lekkim zakłopotaniem.

– Ktoś sporządził notatkę służbową?

Kolejne zaprzeczenie. Jordan nie musiał pytać, by wiedzieć, że nieszczęsny pijaczek prawdopodobnie został wyrzucony, zanim zdążył dokończyć wypowiedź, a kto wie, czy na pożegnanie nie poczęstowano go jeszcze kopniakiem. Sprawiedliwość zawsze była inna dla bogatych, a inna dla biednych. Domenic przelotnie pomyślał o Agnes, która zapewniła sobie pomoc samego biskupa, i zepchnął budzące się od nowa podejrzenia chwilowo na bok.

– Poza tym w sprawie zniknięcia my naprawdę niewiele możemy zrobić – powiedział Magatou usprawiedliwiająco. – Co innego, gdyby znalazło się ciało... Ale dla pana oczywiście zrobię wyjątek. Pogadamy sobie z tym magiem, co? Dziś wieczorem?



– Dziś wieczorem – powiedział Domenic Jordan, odwracając się od okna. Jego Ekszelencja Ipolit Malartre skończył właśnie posypywać piaskiem list, złożył go i zalakował. Do gabinetu wszedł z grobową miną sekretarz, ubrany na czarno. Położył na srebrnej tacy list i wyszedł z nim, wciąż śmiertelnie poważny, jakby niósł prochy samego papieża. Biskup odsunął stos pozostałych wymagających podpisu listów na bok i spojrzał na Jordana, który uśmiechnął się lekko.

– To nocne stworzenia, prawda? Tak powiedział tamten chłopak. I sądzę, że przynajmniej w tym przypadku nie kłamał.

– Uważasz, że cała ta sprawa może naprawdę mieć coś wspólnego z magią? – Biskup odchylił się w fotelu i patrzył na Jordana uważnie.

– Prawdziwą magią? Taką, która dzięki zaklęciom sprawia, że ludzie znikają na dobre, trafiając do świata demonów albo w inne niezbyt przyjemne miejsce? Nie wiem. Jeśli tak, Wielkiego Gastona czekałby nie świecki, tylko kościelny sąd, ale...

– ...żaden przedstawiciel Świętego Oficjum nie zechce bez poważnych dowodów prowadzić śledztwa w sprawie cyrkowego magika – dokończył Jego Ekszelencja. – Za bardzo baliby się ośmieszenia, gdyby wyszło na to, że tropią tylko efektowne sztuczki.

– Co znaczy, że udawanie cyrkowca mogłoby być dla prawdziwego czarnoksiężniczka idealnym kamuflażem. Jeśli ktoś taki byłby ostrożny, mógłby za każdym razem wybierać spośród publiczności osoby samotne, takie, których zniknięciem nikt się nie przejmie. Może w

przypadku Johana i tamtego pijaka popełnił błąd... – Jordan potrząsnął głową. – Z drugiej strony to wszystko może mieć zupełnie zwyczajne wytłumaczenie. Powiedzmy, że Johan wymknął się z klatki przy pomocy jakiejś zapadni albo lustrzanego złudzenia, a ktoś z teatru wskazał mu tylne wyjście. Chłopak czekał na ulicy, aż skończy się przedstawienie, i wtedy został napadnięty – w Camboli to nic niezwykłego. Albo inaczej: może Agnes była zakochana w nim, ale on w niej nie i chłopak wykorzystał okazję, żeby się uwolnić? Jak by na to nie patrzeć, nie porzucił wiele, nawet jego cechowy tytuł obciążony był podejrzeniami o oszustwo. W przypadku pijaka sprawa może być jeszcze prostsza, takim ludziom często zdarza się, że ni stąd, ni zowąd przepadają jak kamień w wodę. Poza tym porucznik Magatou nie pamiętał nawet, co dokładnie mówił człowiek, który zjawił się na posterunku, możliwe więc, że kompan pijaczka zniknął nie podczas występu, tylko przed nim albo po.

– Wierzysz, że to wszystko zbieg okoliczności?

– Rozważam taką możliwość – przyznał Jordan. – Jako jedną z mniej prawdopodobnych, bo jednak podobieństwo między tymi dwiema sprawami wydaje się zbyt duże, by mógł to być przypadek.

– Mam nadzieję, że weźmiesz ze sobą Magatou. To dobry, zaufany człowiek.

– A poza tym zna podejrzane dzielnice znacznie lepiej niż ja? Owszem, bardzo mnie ucieszy jego towarzystwo. – Jordan skrzywił się.

– Wystarczy mi nauczek na jeden dzień.



Po południu niebo gwałtownie pociemniało i znów rozpętała się burza. Ciężkie krople uderzały o bruk, woda w rynsztokach wezbrała i rozlała się na ulice, zmieniając je w płytkie, pełne śmieci rzeki. Trwało

to krótko, najwyżej pięć minut, potem ulewa przeszła w drobną mżawkę, która osiadała na skórze wilgotną warstwą.

Domenic Jordan zamknął okno, po czym wezwał Viviana. Jasnowłose siedemnastolatek bardzo się starał być dobrym służącym – ponoć daleki przodek chłopca był kamerdynerem jakiegoś markiza i Vivian postanowił, że on również zrobi karierę w tym zawodzie. Nosił się więc z godnością, jaka jego zdaniem przystawała komuś, kto dąży do tak wysokiej pozycji, a kwestie zastawy stołowej czy odpowiedniego doboru koszul traktował ze śmiertelną powagą. Jordanowi na co dzień to odpowiadało, dziś jednak nadszedł moment, gdy potrzebował nie tyle służącego, co wywiadowcy i ciekaw był, jak Vivian poradzi sobie z nowym zadaniem.

– Zapytaj, czy ta kobieta zna Agnes Porret, a jeśli tak, co o niej wie – powiedział, wręczając chłopakowi kartkę. Był na niej adres stroicielki kapeluszy, u której Agnes rzekomo nocowała, gdy straciła posiadłość. – Spróbuj także porozmawiać ze służbą w domach sąsiadujących z posesją nr 32 przy placu Claremondy. Zapytaj, czy pamiętają może, kto pracował dla Capelierów, kiedy jeszcze tam mieszkali.

– Tak, panie. – Vivian bardzo starał się nie wypaść z roli idealnego służącego, ale minę miał niepewną.

Gdy chłopak zniknął za drzwiami, Jordan spojrzął na zegar – od szóstej dzieliły go dwie godziny, mógł więc wykorzystać ten czas na rozmowę z jeszcze jednym człowiekiem.



Oderwany od posiłku mistrz cechu złotników wyglądał na w równej mierze poirytowanego, co pochlebionego, jakby nie mógł się zdecydować, czy bardziej żałuje wołowej pieczeni, czy może cieszy się, że wysłannik samego biskupa zawitał w jego skromne progi.

- Johan Gabriac - powtórzył, ocierając czoło wielką kraciastą chustką. Niewiele to pomogło, pot nadal spływał po jego czerwonej twarzy i ginął gdzieś w fałdach obfitego ciała. - Dlaczego pan pyta o tego nicponia? Oszukał pana?

- Dlaczego zakłada pan, że miałby mnie oszukać?

Mistrz Patou wzruszył ramionami.

- Mieliśmy z nim już problemy.

- Jego praca na egzamin?

- A więc wie pan o tym? Ale chyba biskupa nie interesują takie sprawy? - Tęgi mężczyzna zaniepokoił się lekko. - Zareczam, że gdybyśmy tylko mieli dowody, Gabriac nigdy nie zostałby mistrzem...

Jordan zapewnił, że nie przyszedł po to, żeby komukolwiek cokolwiek zarzucać, a Ipolit Malartre jest jak najdalszy od sprawdzania, czy egzaminy są przeprowadzane uczciwie, czy nie. Mistrz Patou odetchnął.

- Widzi pan - wyjaśnił - każdy rzemieślnik ma swój styl, jak artysta. Johana znam, odkąd został terminatorem, i wiem, na co go stać. Ten naszyjnik po prostu nie wyglądał na jego pracę. Sposób wykonania, zdobienia... Ktoś, kto się na tym zna, od razu zobaczy różnicę.

- Sądzi pan, że Johanowi ktoś pomagał?

- Albo nawet i odwalił za niego całą robotę. - Mistrz Patou skrzywił się. - Chłopak jest leniem, ale ma swój urok. I potrafi wykorzystywać ludzi.

- A kogo w tym przypadku mógłby wykorzystać?

- Nie mam pojęcia. - Kraciasta chustka znowu powędrowała do czoła. - Ta sprawa już jest zamknięta. Dowodów nie było, chłopak dostał tytuł mistrzowski i nie chcę więcej mieć z nim do czynienia.

- A naszyjnik? Gdzie go znajdę?

- Nie wiem, pewnie Johan sprzedał. Chce się przecież żenić.

- Zna pan jego narzeczoną?

- Raz czy dwa widziałem chłopaka z jakąś czarnulką. To pewnie ona.



Jordan podziękował i skierował się w stronę drzwi. Gdy wsiadał do czekającego przed domem powozu, w chłodnym po burzy powietrzu niósł się dźwięk dzwonów z pobliskiego kościoła. Domenic spojrzął na słońce, które za zasłoną szybko napływających chmur coraz bardziej osuwało się w stronę zachodu, i poprosił woźnicę, by jechał do Camboli.



Wysiadł niedaleko pensjonatu pani Bonafilii, odprawił powóz, po czym ruszył w kierunku teatru. Rwące ulicami rzeki zdążyły zniknąć, zostały po nich tylko kałuże mętnej wody zbierającej się w obniżeniach terenu i miejscach, w których bruk był dziurawy. Tomas Magatou czekał już przed teatrem, ukryty w bramie. Jordan dołączył do niego i razem obserwowali, jak budynek zaczyna ożywać. Najpierw pojawił się zgarbiony człowiek, który zapalił pochodnie przed wejściem – do zmierzchu pozostało co prawda jeszcze sporo czasu, ale ciemne deszczowe chmury sprawiły, że w powietrzu gęstniał już mrok. Potem do środka wślizgnęło się kilka osób okutanych w długie peleryny. Płomienie świec przesuwwały się za szybami jak armia złotych duchów maszerujących w ciemności. Z wnętrza dobiegły dźwięki rozstrojonego szpinetu i nad ulicą popłynęła melodia rzewnej piosenki.

– Myśli pan, że chłopak zniknął z powodu naszyjnika? – zapytał szeptem Magatou, gdy Jordan streścił mu rozmowę z mistrzem Patou. – Któryś z egzaminatorów wściekł się i chłopak skończył utopiony w rzece albo zadźgany w ciemnym zaułku?

– Jest to jakaś teoria – przyznał Domenic. – Choć nie wydaje mi się, żeby oszustwo było dla cechu aż tak ważne, prędzej poczęstowaliby Johana kopniakiem i nie chcieli mieć z nim więcej nic wspólnego. Istnieje natomiast jeszcze jedna możliwość: może chłopak namówił kogoś, żeby zrobił dla niego naszyjnik, a potem nie był w stanie

zapłacić, więc musiał umrzeć? Ale tak czy inaczej musimy najpierw porozmawiać z Wielkim Gastonem.

– To co, idziemy? – Magatou skinął w stronę zaludniającego się budynku. – Drań pewnie jest już w środku i przygotowuje się do występu.

Jordan wolno pokręcił głową.

– Proponuję zacząć od kupienia biletów i obejrzenia przedstawienia – powiedział, a porucznik spojrzał na niego niepewnie.

– Ale... jeśli ten człowiek naprawdę jest czarownikiem, to znaczy...

– Że następna osoba zniknie dzisiaj wieczorem, wiem.

Magatou poruszył się niespokojnie.

– Jeśli Gaston jest czarownikiem – dodał łagodnie Jordan – to przecież do niczego się nie przyzna, a my nie będziemy mogli nic zrobić. Ostrzeżemy jedynie tego człowieka i nie ocalimy jego przyszłych ofiar. A jeśli „Grzesznik w ogniu” jest tylko teatralną sztuczką, może uda nam się to zauważyć i wtedy przynajmniej będziemy wiedzieli, że tajemniczy zniknięcia Johana trzeba szukać gdzie indziej.

Magatou wyglądał, jakby chciał zaprotestować, ale zrezygnował.

– Może i ma pan rację – mruknął. – Chociaż nie podoba mi się to jak cholera.

Pojawił się zapowiadacz, który donośnym głosem zachwalał atrakcje dzisiejszego wieczoru, i wkrótce przed wejściem do teatru ustawiała się kolejka spragnionych wrażeń widzów. Nie było ich wielu, ale i tak więcej, niż można by się spodziewać, sądząc po kapryśnej tego dnia pogodzie. Gdy drzwi zostały oficjalnie otwarte, do środka wlał się spory tłumek. Jordan i Magatou weszli jako ostatni i kupili bilety. Oczywiście do loży, nie na parter – Domenic, który płacił, uznał, że jego chęć zapoznania się z rozrywkami ludu ma swoje granice i zdecydowanie nie zamierzał siedzieć na dole, w towarzystwie pijanych robotników i wrzeszczącej dzieciarni. Poza tym wiedział, że z góry będzie miał lepszy widok na zawieszoną pod sufitem klatkę.

Przedstawienie się rozpoczęło. Był to nie tyle teatr w takim znaczeniu, do jakiego Jordan przywykł, co raczej połączenie cyrkowych występów z kabaretowymi scenkami, czasem zabawnymi, a czasem dla odmiany szokująco brutalnymi. Miało to swój specyficzny urok, choć nie trwał on długo; w gruncie rzeczy człowiek szybko przyzwyczajał się do wciąż nowych bodźców i Jordan wkrótce więcej uwagi poświęcał publiczności niż scenie. Na parterze siedziało może ze czterdzieści osób, prawie połowa foteli była wolna. Domenic przyglądał się, usiłując wyłowić zaprzyjaźnione grupki, pary i rodziny. A przede wszystkim samotników, którym groziło największe niebezpieczeństwo.

Minęły trzy kwadranse, nim nadszedł czas numeru zwanego „Grzesznikiem w ogniu”. Na scenie pojawił się Wielki Gaston, owinięty, jakże stosownie dla maga, w czarny płaszcz ze złotymi gwiazdami. Oczywiście miał podmalowane ciemną kredką, włosy prawdopodobnie poczernione farbą. Jordan podejrzewał już, że egzotyczny wygląd mag zawdzięcza raczej makijażowi niż pochodzeniu z dalekiego kraju, a upewnił się o tym, gdy usłyszał jego głos, w którym pobrzmiwał lekki północny akcent.

– Czy ktoś odważy się wejść do klatki i udowodnić, że ma czyste sumienie? – zapytał Wielki Gaston, wodząc po sali spojrzeniem lekko zmrużonych oczu. – Któryś z chłopców chciałby przekonać dziewczynę, że jego zamiary są uczciwe? Któraś z dziewcząt pragnie dowieść narzeczonemu, że wciąż jest dziewicą?

Na parterze panowała cisza, nikt nie wyciągnął ręki, nikt nawet nie patrzył w stronę sceny, jakby ludzie bali się, że hipnotyzujący wzrok maga wyciągnie ich z bezpiecznych foteli. Albo tym razem Gastonowi trafiła się wyjątkowo tchórzliwa widownia, albo – co bardziej prawdopodobne – w Camboli rozeszła się już wieść, że grzesznicy w klatkach nader rzadko okazują się niewinni.

– Nikt? – W głosie maga zabrzmiała nuta pogardy. – W kraju, skąd pochodzę, każdego wieczoru wyrastał las rąk, a tutaj, jak widzę, w żyłach ludzi woda płynie zamiast krwi.

– Ja się zgłaszam! – wrzasnął siedzący w pierwszym rzędzie wyrostek, któremu po chwili zawtórowało kilkoro innych.

– Bravo! Ci młodzieńcy zasługują na podziw!

Sala rozbrzmiała oklaskami i zachęcającymi gwizdami. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo przestało im grozić, pozostali widzowie byli gotowi bawić się dalej i nawet jeśli w ich okrzykach słyszeć było strach, to maskowali go tym silniejszym entuzjazmem.

Tymczasem mag wybrał drobnutkiego chłopaczka, który wszedł na scenę, zataczając się lekko. Twarz miał zaczerwienioną od alkoholu i być może także napięcia, zlepione potem włosy sterczały mu nad czołem. Pomachał widowni, szczerząc się w głupkowskim uśmiechu. Mógł mieć najwyżej szesnaście lat.

– To jeszcze dziecko – mruknął Magatou i już chciał wstać, kiedy wolny od takich sentymentów Jordan chwycił go za łokieć.

– Niech pan pamięta o dzieciach, które ten człowiek skrzywdzi w przyszłości, jeśli teraz puścimy go wolno.

Dwóch pomocników wniosło na scenę metalową klatkę, jakby zbudowaną dla gigantycznego ptaka. Chłopiec przy wtórze kolejnych wrzasków wszedł do niej, a jeden z pomocników przyczepił uchwyt do zwisającego z sufitu haka.

– Mam prośbę. – Jordan pochylił się w stronę Magatou. – Niech pan wyjdzie na zewnątrz i zobaczy, czy chłopak gdzieś się nie pojawi. Jeśli nie, proszę zatrzymać po przedstawieniu jego kolegę.

– Który to?

– Ten niski, w czerwonej czapce. – Jordan miał nadzieję, że się nie pomylił, kiedy zgadywał, kto z grupy podpitych wyrostków jest najbliższy drobnemu blondynkowi.

Magatou skinął głową i wyszedł z łoży, a Domenic wrócił do obserwowania sceny. Pamiętał o podstawowej zasadzie wszystkich sztuczek: mag zawsze stara się odwrócić uwagę widza od tego, co dzieje się naprawdę. Jednak w „Grzeszniku” nie było miejsca na żadne triki, tak to przynajmniej wyglądało. Jasnowłosego chłopaka wszedł do klatki –

wszyscy przecież widzieli. Potem klatka, również na oczach zgromadzonych, uniosła się pod sufit. Jordan obserwował tkwiącego w środku blondyna, który zuchowatym uśmiechem pokrywał coraz większą niepewność. Sztuczka? Jeśli tak, musiała to być sztuczka genialna, godna pokazywania na królewskim dworze.

Klatka stanęła w płomieniach, dokładnie tak, jak opowiadała Agnes. Z parteru dobiegło zbiorowe westchnienie ni to grozy, ni zachwytu. Jordan wychylił się, dostrzegając w dole kilka zaniepokojonych twarzy – do niektórych widzów chyba zaczynało docierać, że to już nie jest zabawa. Ktoś krzyknął: „Ratujcie chłopca!”, ale zaraz został uciszony.

Potem ogień znikł, odsłaniając klatkę.  
Oczywiście pustą.



– Żadnego śladu chłopaka? – zapytał Jordan, rozglądając się po ulicy. Magatou pokręcił głową.

– Nie. Jego znajomka odesłałem na posterunek, żeby złożył zeznania. To studenci prawa, przyszli tu się zabawić.

Jordan z aprobatą skinął głową. Słowo jednej ubogiej służącej łatwo można było podważyć, ale słowo studenta, w dodatku poparte zeznaniami dwóch poważanych ludzi, znaczyło znacznie więcej.

– Był pijany i chyba nie całkiem jeszcze do niego dotarło, co się stało – uzupełnił porucznik. – Ale powiedział, że podpisze, co trzeba. Postawiłem dwóch ludzi przy tylnym wyjściu, mag już nam się nie wyślizgnie.

Teoretycznie wciąż istniała szansa, że student wymknął się niezauważony i zamiast czekać na kolegów, poszedł do domu, Jordan pomyślał więc, że trzeba będzie wysłać kogoś do uniwersyteckich kwater. I sprawdzić, czy chłopak jutro pojawi się na zajęciach –

ostatecznie studentom od czasu do czasu zdarzało się sypiać w cudzych łóżkach. Jeśli jednak okaże się, że blondynek istotnie zniknął, a wszystko na to jak na razie wskazywało, Wielkiego Gastona będzie można oskarżyć o uprawianie magii.

Jordan i Magatou zawrócili i weszli do opustoszałego teatru. Maga znaleźli w małym, zagraconym teatralnymi dekoracjami pomieszczeniu, w którym unosiła się woń szminki, wilgotnej tektury i taniego bimbrow. Patrząc w pęknięte lustro, Wielki Gaston zmywał właśnie makijaż. Bez czarnych kresek otaczających jego oczy już nikt nie wzięby go za cudzoziemca.

– Przyszliśmy porozmawiać o „Grzeszniku w ogniu” – zaczął Magatou, kiedy już przedstawił siebie i Jordana. – Gdzie jest chłopak, który wszedł do klatki?

Mag bardzo powoli odłożył kawałek płótna, którym wycierał twarz, i spojrzał na porucznika. Jego oczy miały dziwną, ni to szarą, ni brązową barwę, jak brudna woda w kałuży. Domenic pomyślał, że teraz, bez tandetnego makijażu, Wielki Gaston wygląda nawet bardziej niepokojąco niż na plakatach – zwłaszcza kiedy w wilczym uśmiechu odsłonił żółte zęby.

– Doprawdy, panowie – powiedział – nie wiedziałem, że moja skromna sztuczka cieszy się aż tak wielkim zainteresowaniem. Alestrańska policja konna i wysłannik samego biskupa? Czym zasłużyłem sobie na taki zaszczyt?

– Jeśli to sztuczka, nie będzie pan miał pan problemu z udowodnieniem tego, prawda? – powiedział Jordan.

Mag parsknął, odsłaniając jeszcze więcej mocnych żółtych zębów.

– Czy siedziałbym w tej rozpadającej się ruderze, gdybym znał prawdziwą magię? Mój talent to zręczne palce i umiejętność oszukiwania widzów, tylko tyle. I pochlebiam sobie, że w przypadku panów poszło mi całkiem nieźle.

– Gdzie jest chłopak? – powtórzył z uporem Magatou. – Jeśli zobaczymy go całego i zdrowego, damy panu spokój i będzie pan mógł

wrócić do oszukiwania.

– Nie mam pojęcia, dokąd ten dzieciak mógł pójść. – Gaston wzruszył ramionami.

– Ale wyszedł z teatru, tak? – upewnił się porucznik.

– Oczywiście.

– Czy mógłby nam pan pokazać, którądy? – Tym razem odezwał się Jordan.

Mag westchnął i poprowadził ich pod scenę. Była tam zamaskowana kłapa, dzięki której aktorzy mogli niespodziewanie zjawiać się i zniknąć. Jordana nie zdziwiło to, tak samo jak nie zdziwił go wąski korytarzyk prowadzący spod sceny aż do tylnych drzwi, wychodzących niemal wprost na rzekę. Prawdę powiedziawszy spodziewał się, że w tego typu budynku będzie znacznie więcej ukrytych przejść. Nadal jednak brakowało mu odpowiedzi na najważniejsze pytanie.

– Tędy wyszedł chłopak? – Magatou skupił się na drzwiach, a kiedy otrzymał potwierdzenie, zmarszczył brwi. – To niemożliwe, ja albo ktoś z moich ludzi musielibyśmy go zauważyć.

– Może powinni panowie poćwiczyć zmysł obserwacji – odparł mag beczelnie. Porucznik otworzył usta, by odpowiedzieć, ale ubiegł go Jordan.

– Skąd chłopak wiedział, dokąd prowadzi ten korytarz? Ktoś go odprowadził, pokazał wyjście?

– Szepnąłem mu na scenie parę słów, to wystarczyło. Zresztą przecież tu nie sposób się zgubić.

– A więc nie ma żadnego świadka, który widziałby chłopca już po tym, kiedy wszedł do klatki?

Wielki Gaston spojrzał na Jordana oczyma nieokreślonego koloru.

– Wygląda na to, że nie ma.

– Tak samo, jak się domyślam, było w przypadku innych osób, które poddawał pan próbie „Grzesznika w ogniu”? Wychodziły z teatru tylnym wyjściem, przez nikogo niezauważone, i żadnej z nich pan później nie widział?

– Dokładnie tak samo. – Głos maga nawet nie zadrżał i Jordan pomyślał, że opanowanie tego człowieka w pewnym sensie zasługuje na podziw, niezależnie od tego, czy mężczyzna jest winny, czy nie.

– A jak wydostali się z klatki? – Zniecierpliwiony Magatou zadał najważniejsze pytanie.

– Tego nie mogę powiedzieć. Żaden iluzjonista nie zdradzi sekretu swojej najlepszej sztuczki.

– Zdradził go pan już pijanemu wyrostkowi – zwrócił mu uwagę Jordan. – Oraz innym ludziom, którzy wymykali się tym korytarzem.

– Och, ale czy oni naprawdę wiedzieli, co się stało na scenie? – Wielki Gaston chytrze zmrużył oczy. – Czy przypadkiem wybierałem osoby, które, jak sam łaskawy pan zauważył, nadużyły alkoholu i były z tego powodu mniej spostrzegawcze niż zazwyczaj? Oto jest pytanie.

– Od zadawania pytań jestem tu ja – uciął Magatou, wyraźnie niezadowolony, że jego stanowisko nie robi na magu odpowiedniego wrażenia. – I jeśli nie zamierza nam pan powiedzieć nic więcej, będę zmuszony pana aresztować.



Na wieść o zatrzymaniu maga Agnes wybuchnęła płaczem.

– Tak się cieszę, że ktoś mi uwierzył... – chlipała. – Bałam się, że ten okropny człowiek będzie każdego wieczoru wsadzał do klatki niewinnych ludzi i wysyłał ich nie wiadomo gdzie. Czy on zostanie powieszony? Spalą go na stosie?

Domenic Jordan nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział kogoś palonego na stosie – prawdopodobnie było to w czasach, gdy jako kilkuletnie dziecko jeździł z ojcem na sobotni targ.

– O tym zdecyduje sąd kościelny – powiedział, nie dodając, że Kościół, wbrew temu, co sądziła o nim większość osób, wcale nie jest



tak krwiożerczy. Wielkiego Gastona, jeśli udowodni mu się winę, czekała łagodna śmierć.

– Mam nadzieję, że będzie cierpieć, zasługuje na to – powiedziała dziewczyna z zaciętą miną, która nieoczekiwanie dodała jej uroku. – A kiedy umrze, Johan wróci razem z wszystkimi, co zniknęli w klatkach. Tak działa magia. Kiedy ginie czarownik, cofają się efekty jego zaklęć. Wiem, bo mówiła mi babcia.

– To bajki – uświadomił ją łagodnie Jordan. – Nie słyszałem jeszcze o takim przypadku.

– Że pan nie słyszał, nie znaczy jeszcze, że coś takiego nie może się zdarzyć, prawda? – Spojrzała wielkimi załzawionymi oczami. Skinął głową, bo ostatecznie Agnes miała rację.

– Będę czekała – powiedziała uparcie. – Nawet gdyby to miało potrwać sto lat.

Kiedy Domenic Jordan wychodził z pensjonatu, miał przed oczami twarz Agnes. Młodej dziewczyny, której odebrano ukochanego, nieprzejednanej w swoim gniewie i naiwnej w wierze, że jej miłość potrwa dłużej niż kilka miesięcy. Uroczej nawet wtedy, kiedy budziła się w niej żądza krwi, i choć nie najmądrzejszej, to przynajmniej wystarczająco bystrej, by przyłapać rozmówcę na nieściskości. Tak bardzo prawdziwej, doskonałej w każdym calu, od stóp obutych w zniszczone trzewiki aż po zielone oczy. I tak bardzo nieuchwytniej. Stroicielka kapeluszy, z którą rozmawiał Vivian, poświadczyła, że istotnie od czasu do czasu przygarniała na noc młodą brunetkę, twierdzącą, że właśnie straciła pracę – ale nie znała jej zbyt dobrze. Służba z domów sąsiadujących z posesją przy placu Claremondy pamiętała jedynie, że starsze małżeństwo przez jakiś czas zatrudniało służącą ze wsi, lecz ponieważ Capelierowie trzymali się na uboczu, nikt nie potrafił powiedzieć o niej nic więcej. Domenic Jordan powinien był uznać to za przypadek. Powinien mieć wyrzuty sumienia z powodu podejrzenia niewinnej dziewczyny, zamiast tego jednak czuł się pokonany, jak wtedy, gdy mały ulicznik skierował go do nieistniejącego

zajazdu. Nie mógł pozbyć się irracjonalnego wrażenia, że Cambola odniosła kolejne zwycięstwo – właśnie Cambola, nie mieszkający w niej ludzie. Dwa zero, pomyślał nie bez humoru, wsiadając do powozu. Jeśli ta gra miała tradycyjne trzy rundy, Domenic był coraz bliższy klęski.



– Rozebraliśmy tę klatkę pręt po pręcie – powiedział Magatou, z wdzięcznością przyjmując z rąk Viviana kubek z grzany winem. Za oknem znów padał deszcz i porucznik solidnie przemókł. – Nic nie znaleźliśmy, żadnej zapadni, żadnego miejsca, które mogłoby budzić podejrzenia, że jest czymś innym, niż na to wygląda. Moim zdaniem jeśli już ktoś do tej klatki wszedł, nie mógł wyjść inaczej jak tylko zwyczajnie, przez drzwi. Poza tym dowiedzieliśmy się, że Gaston Benicoeur, bo tak mag ma wpisane w papiery, nie występował codziennie, tylko w soboty i niedziele, jako jedna z większych atrakcji. A ponieważ tydzień temu był chory i nie mógł wyjść na scenę, to daje nam dokładnie cztery występy: dwa na początku miesiąca, kiedy trupa przyjechała do Alestry i wynajęła teatr, i dwa teraz.

– Cztery potencjalne ofiary – powiedział Jordan. – Trzy z nich, o których coś wiemy, i jedna, której zniknięcia najwyraźniej nikt nie zauważył. Gaston wciąż się nie przyznał?

Magatou pokręcił głową.

– To twarda sztuka. – W głosie porucznika zabrzmiała odrobina podziwu. – Upiera się, że „Grzesznik w ogniu” jest cyrkowym trikiem, ale nie chce zdradzić jego tajemnicy. Ciągłe wygaduje głupstwa: że nauczył się go od starego fakira albo świętego z jakichś dalekich gór, same bujdy. A raz, kiedy drania przycisnęliśmy, tuż przed tym, jak przyszli po niego ze Świętego Oficjum, powiedział...



– Powiedział, że tajemnica tej sztuczki to jedyny majątek, jaki ma, że reszta jego trików jest prosta i każdy iluzjonista umie je wykonać. Tylko z powodu „Grzesznika w ogniu” jego trupę zatrudniają w teatrach i nawet reklamują na plakatach. Gdyby nie on, Gaston wylądowałby na bruku, a jest za stary na ulicznego zonglera.

Biskup Malartre spojrział na Jordana z ciekawością, po czym uśmiechnął się lekko.

– Gdybym nie znał cię lepiej, pomyślałbym, że się tym przejmujesz.  
Domenic nie odpowiedział uśmiechem.

– Obaj należymy do uprzywilejowanej mniejszości, która nie musi martwić się o pieniądze. Łatwo nam zapomnieć, że niektórych bardzo niewiele dzieli od prawdziwej nędzy.

– Byłem kiedyś ubogi – przypomniał Ipolit Malartre. – Co prawda dawno temu, ale jednak.

– Ja też, za studenckich czasów – mruknął Domenic Jordan. – Nie podobało mi się to doświadczenie.

– Wierzysz, że Gaston jest niewinny?

Jordan powoli, z niechęcią pokręcił głową.

– Nie – odparł po chwili. – Gdyby „Grzesznik w ogniu” był tylko sztuczką, a zniknięcie tych kilku osób przypadkiem, któryś z zaginionych do tej pory by się odnalazł.

– Ale...? – Ipolit Malartre zawiesił głos.

– Nie sądzę, żeby to był koniec. I wciąż mam wrażenie, że jest w tej sprawie coś, czego nie potrafimy dostrzec.



Padło, kiedy bladym świtem wyciągano z Mercii zwłoki, i padało, kiedy na dwukołowym wózku przewożono je do miejskiej kostnicy. Deszcz zelżał dopiero w chwili, gdy Tomas Magatou o siódmej rano załomotał w drzwi Domenica Jordana. Nie była to pora stosowna do składania wizyt, ale porucznikowi nie przyszłoby do głowy, żeby rozważać takie kwestie. Zresztą Jordan, gdy już starannie ubrany i uczesany zszedł do salonu, wcale nie wyglądał na urażonego.

– Zje pan ze mną śniadanie? – zaproponował.

– Znaleźliśmy ciało. – Magatou był człowiekiem, który lubił przechodzić od razu do sedna. – Prawdopodobnie Johana Gabriaca, przynajmniej opis się zgadza. Chłopak jest martwy od kilku dni.

Na twarzy Jordana coś drgnęło, ale porucznik nie potrafił powiedzieć, czy było to zaskoczenie, czy wręcz przeciwnie, ciemnowłosy medyk czegoś takiego właśnie się spodziewał.

– Skoro tak, może poczekać jeszcze pół godziny, aż zjemy – powiedział, wzywając służącego, który po chwili wniósł zastawioną tacę. Magatou poddał się i usiadł przy stole. Trup naprawdę nie ucieknie, a porucznik miał słabość do serwowanej w domu Jordana kuchni.

– Zabito go nożem – wymamrotał, wgrzyzając się w soczyste udko pulardy. – Kilka ciosów w brzuch, parę w klatkę piersiową. Paskudna śmierć. Potem mordercy wrzucili ciało do rzeki, ale nie przewidzieli, że zaplącze się w sieci do połowu małży.

– Mordercy?

– Albo morderca. – Magatou sięgnął po rozcieńczone wodą wino. – Choć wygląda mi to na robotę jakiegoś ulicznego gangu. Zdybali chłopaka w ciemnym zaułku, zażądali pieniędzy, on odmówił, więc wyciągnęli noże. Teraz wszystko ma sens. Tak jak mówił Wielki Gaston, nie zauważyliśmy Johana, który wyszedł tylnym wyjściem i pewnie kręcił się przez jakiś czas po okolicy, czekając na koniec przedstawienia. Wtedy napadli go rabusie.

– A co z pozostałymi osobami, które zaginęły?

Magatou wytarł zatłuszczone ręce w serwetkę.

– To pewien problem, owszem – przyznał niechętnie. – Ale zniknięcie pijaczka niekoniecznie musiało mieć coś wspólnego z przedstawieniem, a student... Może uznał, że ukrycie się przed kumplami to będzie świetny kawał? A potem doszedł do wniosku, że najlepiej w ogóle dać nogę? Miał problemy na uczelni, od października czekało go powtarzanie roku. Chłopak mógł pomyśleć, że gra jest niewarta świeczki i pora znaleźć sobie inne zajęcie.

– Jednym słowem, nie powinniśmy się tym przejmować: w końcu to Cambola, a tam ciągle ktoś znika.

– I większości z tych przypadków nikt nawet nie zgłasza – dodał Magatou, który nie wychwytił ironii w głosie gospodarza.

Domenic Jordan odsunął talerz. Vivian pojawił się bezszelestnie i z bezbłędnym wyczuciem czasu, by zebrać puste naczynia. Chłopak naprawdę miał zadatki na świetnego służącego. Pracował szybko, sprawnie i ani na moment nie zatrzymał się, żeby posłuchać, o czym mówią mężczyźni przy stole. Jordan pomyślał, że chyba będzie musiał go zwolnić.

– Czego właściwie pan ode mnie oczekuje? – zapytał, kiedy Vivian zniknął za drzwiami. – Nie zajmuję się ściganiem rzezimieszków.

– Wiem. – Porucznik poczerwieniał lekko. – To moja praca i dopadnę drani, którzy zadźgali tego chłopaka. Ale do pana mam prośbę... Gdyby mógł pan porozmawiać z Jego Ekszelencją i powiedzieć mu, że znaleźliśmy zwłoki...

– Żeby wyciągnął Wielkiego Gastona z więzienia?

Magatou skinął głową.

– Tak będzie chyba szybciej, niż gdybyśmy mieli wysłać oficjalne pismo.

– Zgoda, ale w zamian chcę jeszcze przez jakiś czas brać udział w śledztwie.

– Oczywiście, jeśli pan sobie życzy. – Magatou wyglądał na zdziwionego, jednak nie zamierzał protestować.

– Będziecie potrzebowali kogoś, kto rozpozna ciało. Z tego, co wiem, chłopak nie ma rodziny?

– Nie, to sierota. Weźmiemy jego narzeczoną, w końcu prawie już byli małżeństwem.

Jordan chrząknął.

– Ciało leżące przez trzy dni w wodzie to nie jest widok dla młodej zakochanej dziewczyny. Może poproście mistrza Patou. Znał dobrze chłopaka.

– Tak chyba będzie lepiej. – Magatou pod wieloma względami był bardzo prostoduszny, a Jordan uznał, że to nie pora na tłumaczenie się z nieufności w stosunku do Agnes.

– Ja spróbuję znaleźć jasnovidza, żeby rzucił okiem na zwłoki. Wiem, trzy dni to sporo czasu, ale ktoś obdarzony dużym darem powinien sobie poradzić i z takim ciałem. – Jordan pożałował, że osoby, u której ten dar był największy, akurat nie ma w Alestrze, ale przy odrobinie szczęścia może uda mu się znaleźć jasnovidza niewiele słabszego. – I jeszcze jedno...

– Tak?

– Chciałbym sam poinformować Agnes o śmierci Johana.



Gdyby Domenic miał się czegoś w życiu wstydzić, wstydziłby się prawdopodobnie tego właśnie kwadransa, który spędził w towarzystwie zawodzącej Agnes. Dziewczyna rozpaczała, a on siedział obok niej na kanapie i od czasu do czasu podsuwał chusteczkę. Zarządzająca pensjonatem staruszka na wyraźną prośbę Jordana wyszła z salonu, ale niewątpliwie czekała tuż za drzwiami – medyk z odległości kilku kroków wyczuwał jej dezaprobatę.

– Jest pan pewny? – zapytała Agnes, kiedy zdołała złapać oddech i na chwilę w jej oczach zabłysła desperacka nadzieja. – Może... może to inny chłopak, wcale nie Johan?

– Jestem pewien. Mistrz Patou rozpoznał ciało.

Nadzieja zgasła, dziewczyna znowu zanosła się płaczem. Był to nabrzmiały bólem, płynący z głębi trzewi szloch, który bardziej przypominał krzyk. Agnes kołysała się, a całe jej ciało dygotało, jakby nie mogło pomieścić w sobie takiego ogromu cierpienia. Domenic Jordan, który przez ostatnie piętnaście minut obserwował dziewczynę z ciekawością, czekając na potknięcie, na fałszywą nutę, teraz dotknął jej ramienia.

– Bardzo mi przykro – powiedział całkiem szczerze.



Jasnowidz, którego poprosił o pomoc, był zgarbionym starszym mężczyzną z brudnymi paznokciami i ponurym spojrzeniem. W poprzednim życiu, nim otrzymał dar, pracował jako robotnik portowy, od czasu do czasu trudnił się też drobnymi kradzieżami i rozbojem. Jordan miał nieodparte wrażenie, że Jacen Pons bardzo tęskni za tymi czasami. Jego eleganckie ubranie wyglądało na nim, jakby je ukradł, a poza tym cuchnął tanim alkoholem. Na Jordanie, przyzwyczajonym do tego, że dar otrzymują najróżniejsi ludzie, nie robiło to wrażenia, ale Magatou spojrział na Ponsa z powątpiewaniem.

– On jest pijany – szepnął, kiedy przy świetle kołyszącej się lampy schodzili do kostnicy. Ciągnął od niej zimny piwniczny zaduch, w którym wyczuwało się już słodkawą woń gnijących ciał.

– Prawdopodobnie tak – odparł Jordan wesoło. – Niech mu pan wybaczy, człowiek ma paskudną pracę.

– Ja codziennie oglądam zwłoki, a nie piję – mruknął Magatou. – Pan zresztą też.

– Ale my mamy to szczęście, że lubimy nasze zajęcie. Kto wie, czy nie zacząłbym pić, gdybym przestał oglądać martwe ciała?

Porucznik pokręcił głową, nie próbując nawet dociekać, czy był to żart, czy nie.

Kostnica przypominała kościelne katakumby. Płomień trzymanej przez Magatou lampy oświetlał nieotynkowane ściany i sklepienie tak niskie, że Jordan musiał się schylać, przechodząc pod łukowatymi przesłami. Na drewnianych stołach leżały przykryte ciała, biel płótna w wielu miejscach znaczyły plamy krwi i żółtozielonej, rozlewającej się zgnilizny. Teraz smród rozkładu był już tak wyraźny, że mężczyźni oddychali płytko, a na czole Ponsa pojawiły się krople potu.

– To ten. – Magatou postawił lampę na jednym ze stołów i odsunął płótno. Jasnowidz cofnął się odruchowo, a potem spojrzał wyzywająco na Jordana.

– Nie dotknę go za mniej niż pięćset – powiedział.

Miał prawdopodobnie więcej eccu, niż kiedykolwiek zdoła wydać, a jednak jakiś atawistyczny odruch osoby wychowanej w nędzy i nauczanej, że pieniądze są najważniejsze, nakazywał mu wykorzystywać każdą okazję, żeby zażądać więcej. Magatou zmarszczył brwi.

– Zdaje się, że umawiałeś się z panem Jordanem na dwieście.

– Za dwieście możecie sami go sobie macać – burknął Pons. Magatou chciał jeszcze coś powiedzieć, jednak Jordan uniósł dłoń w pojednawczym geście.

– Dostaniesz pięćset.

Przygotowany na dłuższe targi jasnowidz wyglądał na zdumionego, a porucznik ponownie doszedł do wniosku, że chyba nigdy Domenica Jordana nie zrozumie. On sam nie należał do skąpych, jednak wyznawał zasadę, że za każdą usługę należy płacić dokładnie tyle, ile jest warta, ani eccu więcej.



Pons pochylał się nad Johanem i przesunął dłońmi po drobnym nagim ciele, po czym wepchnął palce w gnijącą ranę. Potem uniósł rękę do ust, polizał i splunął z wyraźnym obrzydzeniem. Przez jego ciało przeszedł dreszcz. Jasnowidz zamknął oczy. Chwiał się, jakby za chwilę miał zemdleć, ale udało mu się utrzymać na nogach.

– Widziałem loch – oznajmił, kiedy już uniósł powieki. Nadal był bardzo blady, prawie zielony, a nad jego wargą perliły się grube krople potu. – Ciasny i ciemny. Tam umarł chłopak.

– Nie na ulicy? – Magatou wyglądał na rozczarowanego, może nawet niedowierzającego.

– Nie. Toć mówię, że wąska kiszka, loch jakby – zirytował się jasnowidz.

Pod wpływem emocji w jego głosie jeszcze wyraźniej słyhać było akcent alestrańskiej biedoty.

– A morderca? – zapytał Jordan, ale Pons potrząsnął głową.

– Nie widział go. Tamten założył maskę.

– Maskę? – Oczy Magatou zwężyły się. – Jeśli zebrało ci się na żarty, człowieku...

– Ano, maskę. – Jasnowidz wyszczerzył zęby w uśmiechu; najwyraźniej fakt, że udało mu się zirytować przedstawiciela władzy, bardzo poprawił mu humor. – Zwierza jakiegoś zębatego. Mówię, com widział, co z tym zrobicie, to wasza sprawa. Dawajcie pieniądze, bo mnie suszy.

Jordan odpiął od pasa sakiewkę i rzucił ją jasnowidzowi, który skłonił się z przesadną galanterią, po czym wyszedł.

– Stracił pan bez sensu pięćset eccu – powiedział Magatou. – To oszust.

– Nie sędzę – odparł łagodnie Jordan. – Nie wątpię, że trochę zabawił się naszym kosztem, i nie wątpię, że przebiegłość zabójcy w pewien sposób mu zaimponowała, w końcu to były bandyta. Jednak Pons za bardzo lubi pieniądze, żeby oszukiwać. Poza tym powiedział coś, czego właśnie się spodziewałem.

- Loch? Maska?
- Nie, nie loch. Przejście, długi ciemny korytarz. Jak wąska kiszka. Magatou zaczynał rozumieć.
- Ten, który prowadził spod sceny do tylnego wyjścia?  
Jordan skinął głową.
- W teatrze, gdzie niewątpliwie jest mnóstwo masek. Tam właśnie zginął Johan.

## Akt II

To był wyjątkowo deszczowy miesiąc. Burze przetaczały się nad Alestrą co kilka dni, a bywało, że i dwa razy dziennie; woda w Mercii wezbrała, grożąc najbliższym domom zalaniem. Niżej położone ulice zmieniły się w małe jeziora, nad którymi przerzucono drewniane kładki, spienione rynsztoki cuchnęły, a wilgoć zdawała się tego lata wszechobecna.

Wszystko to, co dla ludzi z ubogich nadrzecznych dzielnic miało posmak wiszącej w powietrzu tragedii, dla Domenica Jordana było zaledwie drobną niedogodnością. Stojąc na balkonie czwartego piętra patrzył, jak nadciąga kolejna burza. Czarne niebo rozbłysło niebieskawą poświatą, na ulotną chwilę zmieniając Alestrę w miasto duchów: oblane sinym światłem domy miały w sobie coś niepokojąco obcego, a połyskująca na wschodzie rzeka wyglądała niczym srebrzysty, objedzony wąż, który rozłożył się w samym środku stolicy. Potem zapadła ciemność, w której odezwał się grom: niski, groźny dźwięk, jak odgłos kamiennych kul do gry toczących się z hurgotem po drewnianej podłodze. Gdy na dłoń Jordana spadły pierwsze krople deszczu, mężczyzna cofnął się w głąb balkonu. Niebo otworzyło się i na miasto po raz kolejny lunęły strugi wody.

Odwrócił się, by spojrzeć przez szybę na salon należący do wicehrabiego de Berenguar. Było to różowo-złote, skąpane w ciepłym świetle świec pomieszczenie, w którym poruszali się elegancko ubrani ludzie, a służący roznosili tace z kieliszkami szampana. Jordan nie słyszał głosów, widział jedynie pantomimę jak w teatrze: kobiety

unoszące dłonie do ust w chwili, gdy przez niebo przetaczał się kolejny grom, a potem wybuchające niemym śmiechem, mężczyźni opiekuńczymi gestami kładący dłonie na ich ramionach i szepczący do uszu słowa, pod wpływem których damy rumieniły się i zaczynały jeszcze bardziej chichotać. To byli ludzie, wśród których spędził większą część życia, podobnie wykształceni, mówiący jego językiem. Mógł ich nie lubić, a nawet uważać za nudnych, ale właśnie tych ludzi rozumiał bez trudu, oni zaś przynajmniej od czasu do czasu rozumieli jego. Jednak Domenic Jordan nigdy do końca nie czuł się częścią ich świata i w tej chwili odczuwał to bardzo wyraźnie.

Wrócił do środka, kiedy na balkonie zrobiło się jeszcze chłodniej, a deszcz zaczął zacinać pod skosem, mocząc koszulę z szarmezowego jedwabiu. W salonie od razu uderzyła Jordana fala ciepła bijącego od rozgrzanego kominka, chwilę później ktoś chwycił go za ramię i ścisnął długimi szczupłymi palcami. Odwrócił się. Dńna Tanzeda była niziutka i drobna, ale zaskakująco silna.

– Już się zastanawiałam, gdzie się pan podział – zaszcebiotała. Oczy miała błyszczące, twarz zaczerwienioną. W drugiej ręce trzymała kieliszek, prawdopodobnie nie pierwszy ani nie ostatni tego wieczoru. – Myślałam, że wystraszył się pan reputacji wicehrabiego, ale to raczej niemożliwe, prawda? Nie przeszkadza panu jedzenie kolacji w domu człowieka, o którym krąży tyle plotek?

– Gdybym miał przejmować się takimi rzeczami, nie mógłbym zjeść posiłku nawet we własnym mieszkaniu.

Dńna Tanzeda roześmiała się, ukazując imponujące porcelanowe uzębienie, które kontrastowało bielą z jej pomarszczoną, żółtą twarzą.

– Nie sądzę, żeby wszystko, co opowiadają o wicehrabim, było prawdą. Ludzie zawsze przesadzają, taka ich natura. Te opowieści, jak to poczynał sobie niczym udzielny książę w tej swojej prowincji, jak ona się nazywa...

– Floyrac. To na północy, tuż przy granicy.

– Właśnie, Floyrac. Mówi się, że wicehrabia za młodych lat miał zwyczaj porywać urodziwe dziewczęta z wiosek, a jako sędzia bardzo lubił wieszać. Słyszałam pewną historię... Zresztą mniejsza z tym, to było dawno temu, wicehrabia jest teraz przeuroczym staruszką. Jeśli więc przyszedł pan tu, żeby spotkać mordercę, może się pan rozczarować.

– Dziękuję za ostrzeżenie. Przyszedłem, żeby zjeść dobrą kolację, nic więcej. Spotkanie jednego mordercy tygodniowo w zupełności mi wystarcza.

Dña Tanzeda spojrzała na Jordana uważnie, a potem klasnęła w rękę.

– Czy to znaczy, że wie pan już, kto zabił tych nieszczęsnych ludzi w teatrze?

– Wiem. – Zwyczajne, brutalne zabójstwa, jakich wiele zdarzało się w Camboli, nie obchodziły alestrańskiej socjety, jednak ta sprawa była inna: niesłusznie oskarżony mag, tajemnica sztuczki z klatką, wreszcie sama malowniczość podrzędnego teatru – wszystko to podniecało wyobraźnię ludzi z wyższych klas społecznych.

– I może nam pan o tym opowiedzieć?

Jordan zawahał się na chwilę tak krótką, że niemal niezauważalną.

– Oczywiście, jeśli wszyscy będą sobie tego życzyć.



Porucznik Magatou skrzesał ognia i zapalił pochodnię, to samo zrobili trzej jego ludzie: wszyscy barczyści i wąsaci, z czerwonymi twarzami i skórą na kłykciach zdartą od częstego kontaktu ze szczękami podejrzanych. Płomienie oświetliły ściany wąskiego korytarza. Cegły były stare i poczerniałe od dymu, zaprawa murarska kruszyła się w wielu miejscach. Jednak Jordana najbardziej

interesowały kocie łby, którymi wyłożono podłogę. Klęknął i przyjrzał im się, podczas gdy Magatou przyświecał mu pochodnią. Kilka kamieni wydawało się ciemniejszych niż inne, a ziemia w szparach pomiędzy kocimi łbami zlepiona była w wilgotnawe grudki. Jordan roztarł jedną z nich w palcach.

– Krew? – zapytał porucznik.

– Na to wygląda.

Znaleźli jeszcze trzy miejsca, w których kamienie znaczyły ciemne, w świetle pochodni niemal czarne rozbryzgi. Jeden świeższy i dwa starsze, gdzie krew była już dawno zaschnięta, a ślady ledwo widoczne.

– Cztery plamy, dokładnie tyle, ile osób zniknęło w klatce – mruknął Magatou. – Niech mnie diabli, jeśli oni wszyscy nie umarli właśnie tutaj. Miał pan rację, panie Jordan.

Domenic pomyślał o ludziach, którzy szli tym korytarzem prawie na oślep, za jedyne przewodnika mając majaczącą na końcu jasną plamę drzwi wyjściowych. Spieszyli się, wciąż jeszcze napędzani krążącym w żyłach alkoholem, czy wręcz przeciwnie – zdążywszy nieco wytrzeźwieć, kroczyli wolno i ostrożnie? Morderca nadszedł z naprzeciwka, niosąc światło, czy czekał w ciemności, cichy i przyczajony, wypatrując odpowiedniego momentu, żeby zapalić latarnię? Niezależnie od tego, jak było naprawdę, Jordan założyłby się, że idąca korytarzem ofiara niemal do końca niczego nie podejrzewała. Zamaskowany człowiek mógł ją na chwilę wystraszyć, ale w końcu podziemne przejście należało do teatru – czegoż innego się tu spodziewać, jak nie masek?

A kiedy ofiara zrozumiała, że to nie zdążający na przedstawienie aktor, tylko zabójca, było już za późno.



Ludzie Magatou przetrząsnęli teatr w poszukiwaniu masek. Znaleźli ich kilkanaście, w tym dwie pasujące do opisu podanego przez jasnowidza. Jedna z nich przedstawiała wilczy pysk z wyszczerzonymi kłami, druga, znacznie cięższa i bardziej zabudowana, miała prawdopodobnie udawać niedźwiedzi łeb, lecz futro wytarło się przez lata, tak iż teraz była to po prostu głowa jakiegoś niezidentyfikowanego łysego potwora.

– Jak pan myśli, która z nich? – zapytał Magatou, kładąc na stole przed Jordanem obie maski.

– Ta wilcza – zdecydował medyk. – Jest lżejsza, wygodniejsza w noszeniu i ma większe otwory na oczy, dzięki czemu widoczność jest mniej ograniczona.

Porucznik skinął głową i podszedł do okna, by złapać trochę światła. Dzień był pochmurny, więc chwilę to trwało, w końcu jednak znalazł, czego szukał.

– Niech pan spojrzy, krew – powiedział, obracając w palcach wilczy pysk. – Musiała trysnąć, kiedy zabijał któregoś z tych biedaków.

Jordan skinął głową. Przelotnie zastanowił się, dlaczego nikt nie zauważył czterech plam krwi w korytarzu, zaraz jednak doszedł do wniosku, że nie było w tym nic niezwykłego: w podziemnym przejściu panował mrok, ludzie chodzący tamtędy nie patrzyli pod nogi, a jeśli ktoś wyszedł z ubrudzonymi butami, łatwo mógł założyć, że wdepnął na ulicy w płynące rynsztokiem nieczystości z pobliskich rzeźni; zapach też nie zwracał uwagi, bo smród wezbranej rzeki zabijał wszelkie inne wonie. Wyglądało na to, że nawet deszczowa pogoda sprzyjała mordercy.

Magatou najwyraźniej doszedł do podobnego wniosku, bo rzucił maskę na stół i oznajmił: – Mówi się „do trzech razy sztuka”, prawda? Łajdakowi udało się zabić cztery razy, ale to już koniec. Mam wszystkich aktorów pod kluczem i prędzej czy później dowiem się, który to z nich.

– Aresztował pan całą trupę?

Porucznik wzruszył ramionami.

– To wędrowne ptaki, dziś są tu, jutro gdzie indziej. Gdybym puścił ich wolno, zwialiby gdzie pieprz rośnie, zanim zdążyłbym mrugnąć.

Domenic Jordan nie mógł się z tym nie zgodzić. Inna rzecz, że ucieczka aktorów niekoniecznie oznaczałaby winę. Włóczące się po kraju teatralne trupy, podobnie zresztą jak równie wędrowni Cyganie, często padały ofiarami fałszywych oskarżeń czy nawet samosądów – nikt tych ludzi nie znał, nikt w razie kłopotów nie zamierzał za nimi się ująć, nic więc dziwnego, że gdy w okolicy zdarzało się przestępstwo, oni pierwsi stawali w kolejce na szubienicę.

– Chce pan posłuchać, jak będę ich przepytywał? – zaproponował Magatou.

Jordan skinął głową.



Trupa liczyła siedem osób – sześć, jeśli odjąć maga, który wciąż siedział w lochach Świętego Oficjum. Jako pierwszy zjawił się w gabinecie Simon, rudowłosy wyrostek, szesnasto-, może siedemnastoletni. Miał bezczelne spojrzenie i hardą postawę, widać noc spędzona w celi nie zrobiła na nim większego wrażenia.

– Ode mnie niczego się nie dowiecie – powiedział, rozcierając przeguby, na których widniały sine ślady po zbyt mocno zaciśniętych kajdanach. – I nie mam nic wspólnego z tą całą klatką. Nie interesuje mnie magia. Jestem akrobatą, potrafię chodzić po linie i żonglować, a czasem, jak nie mają nikogo lepszego, biorą mnie na scenę. Ale to rzadko, bo głos mam kiepski. Jak byłem mały, jakieś choróbsko mnie złapało i teraz nie mogę głośno gadać. – Faktycznie, chłopak mówił prawie szeptem.

– Jak dobrze znasz Gastona Benicoeur?

– Wielkiego Gastona? W ogóle go nie znam.



– Podróżujecie razem, jecie przy wspólnym stole, występujecie na tej samej scenie. Musisz coś o nim wiedzieć.

– Wiem, że rzyga, jak wypije za dużo słodkiego cydru, i lubi cysate dziewczyny, które mogłyby być jego córkami. Jak o takie rzeczy chodzi, to mogę sporo opowiedzieć. A jak ma pan na myśli jego przeszłość, albo skąd ma tę klatkę, to ja nic nie wiem. Ona naprawdę jest magiczna, nie?

– W oczach Simon pojawił się mimowolny szacunek. – Od początku wiedziałem, że to żadna sztuczka, ale nikt nie chciał mi wierzyć!

– A kto najlepiej zna Gastona Benicoeur? – Magatou najwyraźniej uznał, że to nie pora na uświadamianie chłopaka.

– Jacobus Guerou, to znajomek maga z dawnych czasów. On go do nas ściągnął, wcześniej jeździliśmy w piątkę. I stara Perpinya, oczywiście, ona przysłała z Gastonem.

– A gdzie byłeś, kiedy Gaston robił numer z klatką?

– Chodziłem między publicznością na szczudłach i żonglowałem – odpowiedział Simon odrobinę zbyt szybko.

Magatou spojrzał na Jordana, a ten pokręcił głową.

– Nie widziałem żadnego żonglera na szczudłach.

– Nie zwrócił pan uwagi – upierał się chłopak. – Jak na scenie dzieją się ciekawe rzeczy, to nikt nie patrzy na żonglerów.

– Skoro tak, po co w ogóle tracić czas na żonglowanie? Zresztą mylisz się, patrzyłem wtedy na widownię. – To była prawda, Jordan uważnie obserwował zarówno scenę, jak i publiczność.

– Nie zauważył pan – powtórzył Simon, ale jakby z mniejszym przekonaniem, a w oczach Magatou pojawił się błysk, jakim wygłodzony człowiek mógłby powitać kawał soczystej pieczeni.



- On? - zapytał Magatou, kiedy strażnicy wyprowadzili młodego więźnia, z powrotem skutego kajdanami. - Pasowałoby, prawda? Dlaczego chłopak nie miałby się przyznać, gdzie był, jeśli nie robił niczego złego?

Domenic Jordan pokręcił głową.

- Mam pewien pomysł, gdzie Simon się podziewał w czasie występów Wielkiego Gastona. Ale jeśli pan pozwoli, najpierw chciałbym wysłuchać innych podejrzanych.

Jako druga zjawiała się w pokoju przystojna szerokobiodra kobieta z dwiema nastoletnimi córkami. Jedna z nich była drobnym rudzielcem z kokardami we włosach, druga nosiła krótką fryzurę i męskie odzienie. W przeciwieństwie do Simona żadna nie została skuta, ale widać było, że noc w więzieniu odcisnęła na nich swoje piętno. Wszystkie były blade, z cieniami pod oczyma i drżącymi ustami, choć starsza z dziewczyn starała się trzymać fason.

Piękna Amalvis od razu po wejściu wybuchnęła płaczem, a córki rzuciły się ją pocieszać. Magatou z trudem wyciągnął z nich informację, że występują od wielu lat, że matka śpiewa, a także gra na scenie postaci mniej lub bardziej szlachetnych matron, że młodsza córka - ta z kokardami - to jedenastoletnie „cudowne dziecko” (Jordan na oko dałby jej lat przynajmniej czternaście), zaś jej równie uzdolniona starsza siostra w zależności od potrzeb może zagrać na scenie zarówno płochną dziewczynę, jak i uwodzicielskiego amanta. O Wielkim Gastonie wiedziały tyle, że pojawił się zupełnie niespodziewanie dwa miesiące temu, polecony przez Jacobusa Guerou, razem z tą „starą czarownicą”, jak oznajmiła Piękna Amalvis.

- To bardzo nieprzyjemny człowiek. - Kobieta pociągnęła nosem. - Zawsze burkliwy, nigdy miłego słowa nie powie. Ale muszę przyznać, że ten jego numer z klatką ma powodzenie, dzięki niemu mamy trochę więcej pieniędzy niż w zeszłym sezonie. W przyszłym może nawet będzie nas stać na wynajęcie jakiegoś większego budynku w porządniejszej dzielnicy... - Rozmarzyła się, a potem wróciła do

rzeczywistości. – Gdyby nie klatka, nigdy bym się nie zgodziła, żeby Gaston do nas dołączył, niech sobie Jacobus mówi, co chce. Ten człowiek niczego nie umie, oprócz tego jednego numeru zna tylko same tanie sztuczki.

– Potrafi naprawić wóz – zachichotała starsza córka.

– A tego kobieta szyje nam wszystkie stroje i wróży z kart – dodała młodsza. – Prawdziwa z niej stara czarownica.

– Żadna z was nigdy nie próbowała poznać sekretu klatki? – Magatou powiódł spojrzeniem po kobietach.

Starsza córka wyduła usta.

– Jasne, że próbowałyśmy, za kogo nas pan ma. Myślałam, że z niego coś wyciągnę, bo mnie lubi, w przeciwieństwie do małej. – Skinęła w stronę siostry, która schyliła głowę i zaczęła wiercić obcasem w podłodze. – Ale nie chciał nic powiedzieć, nawet jak w karczmie kupiłam mu dwa zaprawione wódką piwa.

Amalvis rzuciła córce ostrzegawcze spojrzenie, a dziewczyna umilkła, lekko speszona.

– Gdzie byliście w czasie występu Gastona?

– Przygotowywałyśmy się do swojego, w trójkę. – Ostatnie dwa słowa młoda kobieta wyraźnie podkreśliła. – Jacobus właśnie zawołał spod sceny, że już czas, więc zaczęłyśmy się ubierać i malować. Potem wyszłyśmy.

– Razem? – upewnił się Magatou, a starsza córka potwierdziła, po czym dodała: – Jeśli szuka pan kogoś, kto mógłby chcieć, żeby Gaston wisiał, to niech pan się zainteresuje Jacobusem. Oni wcale nie byli takimi znowu przyjaciółmi. Zanim przyjechaliśmy do Alestry, porządnie się pokłócili. Mag przez tydzień chodził potem z poobijaną twarzą.

– O co im poszło?

– Nie wiem. – Dziewczyna z wyraźnym żalem potrząsnęła głową. – Słyszałam tylko przez ścianę wozu, jak na siebie wrzeszczą. Jacobus krzyczał: „Nie możesz tego zrobić!”, więcej nie zrozumiałam.

– Proszę, niech nas pan puści. – Piękna Amalvis wyciągnęła błagalnie rękę. – My naprawdę niczego nie wiemy. Przez wzgląd na te dwie niewinne duszyczki niech pan się nad nami zlituje.

– Prosimy – pisnęła młodsza z duszyczek, a starsza posłała Magatou uśmiech, pod wpływem którego porucznik poczerwieniał gwałtownie.

– Na razie wrócą panie do celi, przykro mi. – Gestem dłoni uciął dalsze błagania. – Potem zobaczę, co da się zrobić.



Perpinyę wprowadzono w kajdanach – podobno jeszcze w celi rzuciła się na jednego ze strażników i omal nie przegryzła mu gardła.

– Niech pan na nią uważa – powiedział barczysty brodac, pochylając się do ucha Magatou. – To bestia, potrzebowaliśmy dwóch ludzi, żeby ją uspokoić.

Bestia była chudą staruszką z potarganymi siwymi włosami i wielką siną opuchlizną otaczającą szparkę lewego oka. Kiedy stanęła przed porucznikiem, otarła wierzchem dłoni rozkwaszone niemal na miazgę usta i sprawdziła palcem zęby. Inspekcja musiała wypaść niepomyślnie, bo kobieta skrzywiła się, a potem wymamrotała kilka cichych słów.

– Podobno dobrze znasz Wielkiego Gastona? – zapytał Magatou.

Perpinya uśmiechnęła się i dopiero teraz Jordan zorientował się, że to jest właśnie twarz, którą widział pierwszego dnia w oknie teatru: kanciasta, trochę jakby męska i brzydka. Uśmiech nie dodawał jej uroku, choć oczy – a przynajmniej to jedno, które widać było spod opuchlizny – miała duże i wciąż jeszcze zielone, niewyblakłe przez lata. I wcale nie była taka stara, jak Jordanowi wydawało się w pierwszej chwili, nie mogła mieć chyba więcej niż pięćdziesiąt pięć lat.

– O, znamy się dobrze. Kiedyś byliśmy bardzo blisko, ja i on. Kiedyś byłam młoda i całkiem ładna. Nie piękna, o nie, piękna nie byłam nigdy,

ale ładna na tyle, żeby występować na scenie, grać naiwne dziewczuszki, czemu nie. A potem uroda minęła i zostałam sama z malutkim dzieckiem. Gaston mi pomógł, był dla mnie dobry, jak mąż, którego nigdy nie miałam. Teraz już nie gram, tylko trochę szyję, ubrania piore, jak trzeba, sprzątam. Czasem wróżę dziewczynom. Potrzebują mnie, zawsze potrzeba kogoś do prania i wrózenia.

Magatou chrząknął, lekko zakłopotany. To wariatka, mówił aż nadto jasno wyraz jego twarzy.

– Co wiesz o numerze z klatką?

– Nic nie wiem. Mężczyzna musi mieć swoje sekrety, to nie rzecz kobiety, żeby pytać. Znaliśmy się dawno temu, pomógł mi, jak z dzieckiem zostałam, a potem dziecko podrosło i Gaston odjechał. Wszyscy zawsze odjeżdżają, prawda? Ale on wrócił. Podróżował po dzikich krajach i wrócił z klatką. Znalazł mnie, jak żebrałam pod kościołem, ulitował się i zabrał ze sobą. Odtąd piore mu i gotuję, i sprzątam i nic nie mówię, kiedy sprowadza sobie inne kobiety, młodsze. Dlaczego miałby zwracać na mnie uwagę? Moja uroda minęła...

– Dobrze już, dobrze. – Magatou zamachał rękami. – Lepiej powiedz, gdzie byłaś, jak Gaston na scenie występował.

– A gdzie miałam być, jak nie w swoim pokoiku, przy szyciu? Tym właśnie się zajmuję, szyję i piore...

– Gdzie ten pokoik jest? – Porucznik rozpaczliwie bronił się przed zalewem słów.

– Obok przebieralni, a gdzież ma być?

– Widział cię tam ktoś?

– Nie, na mnie nikt nie patrzy. Stara jestem i brzydka, dlaczego mieliby patrzeć? Widziałam Amalvis i dziewczęta, jak na scenę szły, kiedy Jacobus je wezwał, ale czy one na mnie spojrzęły, nie wiem. Śpiewałam przy pracy, zawsze śpiewam, ale czy słyszały?

– A kłótnia Jacobusa z Gastonem? Pamiętasz coś takiego?

– Pamiętam, co mam nie pamiętać. Pokłócili się w wieczór, nim do Alestry zjechaliśmy, prawie całą noc krzyczeli.

– O co im poszło?

– Nie wiem, nie pytałam ani nie słuchałam. Ale ludzie to wilki. Ja dla Gastona zrobiłabym wszystko, własną duszę bym oddała, jakby było trzeba, ale inni nie, inni mu zazdrościli i nienawidzili go. Bo miał sekret i oni też chcieli go mieć. Pan rozumie?

Magatou powoli skinął głową.



– Rozum jej się pomieszał – zawyrokował porucznik, kiedy strażnik wyprowadził wciąż skutą kobietę. – Ale coś może być w tym, co mówi. Ktoś uknuł intrygę przeciwko Gastonowi, bo chciał poznać sekret jego klatki?

– Nie jestem pewien, czy w takim przypadku nie prościej byłoby wziąć maga na stronę i tłuc do momentu, aż wszystko wyzna, a potem zabić, pochować gdzieś pod krzakiem i odjechać z klatką. Co komu miałoby przyjść z tego, że Wielki Gaston zostanie uznany za prawdziwego czarownika i stracony, a klatkę skonfiskuje Święte Oficjum?

– Co więc pan sugeruje?

– Nie jestem pewien. – Jordan zawahał się. – Ale myślę... myślę, że może sekret klatki tak naprawdę jest bez znaczenia. Może chodziło o coś zupełnie innego, na przykład zemstę. Ktoś nienawidzi maga tak bardzo, że nie wystarczyłaby mu jego śmierć. On pragnie czegoś więcej: chce, żeby reputacja Wielkiego Gastona została zniszczona, żeby cierpiał, kiedy uznają go za czarownika i wtrącają do lochu. Oczywiście przy takim założeniu nasz morderca musiałby znać Gastona wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że ten prędzej zgodzi się zostać oskarżonym o prawdziwe czary, niż zdradzi jedyny sekret, jaki ma.

– Jacobus Guerou? – Magatou znowu zaświeciły się oczy. – On zna Gastona jeszcze z „dawnych czasów”, cokolwiek to znaczy.



Jacobus był wysokim kościstym mężczyzną o dziwnie szarej twarzy i obwisłych rysach. Kiedy stał, wyglądał jak niezgrabna figura poskładana z niepasujących do siebie, zbyt dużych części. Gdy jednak się poruszał, była w nim jakaś zwierzęca zręczność, a Domenic Jordan odniósł nieprzyjemne wrażenie, że Jacobus, jeśliby tylko chciał, mógłby bez trudu wyśliznąć się z kajdan, które otaczały jego kostki i przeguby. Stanął przed Magatou, nie patrząc mu w oczy, i zaczął mówić powoli, z namysłem, jakby każde słowo obracał w ustach, zanim je wypowiedział.

– Znamy się od dawna, dwadzieścia, nie, ze trzydzieści lat już będzie. Gaston właśnie zaczął jeździć ze swoją pierwszą trupą. Zawsze ciągnęło go na szlak, dobry zawód rzucił, żeby wędrować z aktorami. Spotykaliśmy się to tu, to tam. Piliśmy razem i razem chodziliśmy do kurew. Czy to była przyjaźń? Nie wiem, może i tak. Ale potem jakoś straciłem go z oczu. Spotkaliśmy się znowu trzy miesiące temu w Sallels, na początku sezonu, Gaston miał już wtedy tę swoją klatkę i kobietę. Zaproponowałem mu dołączenie do naszej trupy, bo zawsze łatwiej podróżować razem niż samemu. To chyba wszystko, nic więcej nie wiem.

– Czy ze względu na starą znajomość Gaston zdradził ci, jakim cudem w klatce znikają ludzie?

– Nie. – Na krótki, niemal niezauważalny moment twarz Jacobusa wykrzywiła się w wyrazie goryczy.

– O to się pokłóciliście tamtego wieczoru? – drążył Magatou.

– O to też. – Mężczyzna odpowiedział wolno, z wyraźną niechęcią.

– A poza tym? Co znaczyły słowa: „Nie możesz tego zrobić”?

Jacobus drgnął, zaraz jednak opanował zdumienie.

– Gaston chciał się z nami rozstać – odparł po irytująco długiej chwili. – Myślał, że więcej zarobi, jak nie będzie musiał się dzielić. To było bez sensu, sam by sobie nie poradził. Chciałem, żeby to zrozumiał.

– Dla jego własnego dobra?

– Dla jego własnego dobra. – Jacobus albo nie rozumiał ironii, albo nie zwracał na nią uwagi.

– Gdzie byłeś w czasie występu Gastona?

– Pod sceną. Stoję tam prawie cały czas, kiedy sam nie występuję, i pilnuję, żeby wszystko szło, jak trzeba.

– Prawie?

Wzruszył ramionami.

– Jak Gaston zaczyna swój numer, to krzyczę do dziewczyn, żeby się przygotowały, bo za dziesięć minut wychodzą. Potem biegnę na górę, żeby wciągnąć tę cholerną klatkę. To wymaga siły – Simon obsługuje mniejsze mechanizmy, ale z klatką tylko ja sobie radzę.

– Nie macie nikogo innego do pomocy?

– Za parę eccu wynajmujemy dwóch miejscowych chłopaków, którzy zmieniają dekoracje i wnoszą na scenę ciężkie rzeczy. Ale nie pozwalam im dotykać mechanizmów, bo zaraz by je zepsuli.

– W porządku, więc wciągasz klatkę i co dalej?

– Ano nic, trzymam ją pod sufitem, uruchamiam ogień, kiedy trzeba, a później opuszczam. I tyle, wracam na dół.

– Czyli tak naprawdę przez większość numeru byłeś nie pod sceną, tylko zupełnie gdzie indziej? – Magatou zaczynał się irytować.

– Ano, na to wygląda.

– Na piętrze, tam gdzie są wszystkie mechanizmy? I nikt cię nie widział?

Jacobus skinął głową. Na jego twarzy nie było widać strachu ani żadnych uczuć, jakby nie zdawał sobie sprawy, że właśnie został pierwszym podejrzanym.



– Kupiliście teatr razem z całym wyposażeniem? – zapytał Jordan, a Jacobus ożywił się trochę.

– Wynajęliśmy na letni sezon – poprawił. – Poprzednia trupa, która tam występowała, zbankrutowała i właściciel budynku zgodził się spuścić z ceny. Z tych wszystkich mechanizmów tylko wyciągarka do klatki jest nasza. Ale i tak byliśmy szczęśliwi, czuliśmy się prawie tak, jakbyśmy wreszcie znaleźli dom. Teraz to wszystko stracimy, prawda?

Jordan i Magatou milczeli. Odpowiedź była oczywista.



– Wspaniała historia! – Wicehrabia de Berenguar klasnął w dłonie. – Uwielbiam teatr, a jeszcze bardziej kocham zbrodnie! Oczywiście nie może nam pan zdradzić zakończenia, don Domenicu, sami spróbujemy się domyślić. Proponuję grę: komu uda się odgadnąć rozwiązanie, otrzyma ode mnie w prezencie piękny pierścień. Zgadzacie się, mili państwo?

Siedem osób gorliwie pokiwało głowami. Ósma osoba, dńna Tanzeda, zajęła się napełnianiem kieliszka. Jordan podszedł do niej.

– Pani nie chce spróbować swoich sił? – zapytał.

– W rozwiązaniu tajemnicy? Nie, chyba nie. Obawiam się, że zawsze ceniłam sobie raczej proste przyjemności. – Uniosła kieliszek pod światło, a potem upiła łyk. – Poza tym w starciu z wicehrabią i tak nie mam szans.

– Sądzi pani, że on odgadnie, kto jest mordercą?

Dńna Tanzeda przytaknęła.

– Podobno już kiedyś to zrobił, tylko w drugą stronę, bo szukał nie tego, kto zawinił, tylko tego, kto był niewinny. I udało mu się. Nie słyszał pan tej historii?

– Nie.

– W takim razie pewnie ją pan jeszcze usłyszysz, wicehrabia uwielbia się chwalić. Ale na razie zbyt dobrze się bawi, żeby myśleć o takich rzeczach, biedaczysko. A panu się to nie podoba.

– Słucham? – Domenic Jordan zamrugał, lekko zaskoczony.

– O czym rozmawiacie? – spytał de Berenguar, sunąc w ich stronę tanecznym krokiem. Był to niski, krągły mężczyzna, cały ubrany na biało, od butów i pończoch aż po obficie upudrowaną perukę. Wydawał się miękki i pozbawiony kantów niczym dziecięca przytulanka, ale w szarych oczach wciąż miał niebezpieczny błysk.

– Panu Jordanowi nie podoba się, że urządzamy sobie zabawę kosztem czyjejś śmierci – wyjaśniła dżina Tanzeda. – Uważa, że to niemoralne.

– Użyłbym innego określenia – zaprotestował Jordan. – I nie podoba mi się, że urządzamy sobie zabawę kosztem nieszczęścia żywych ludzi. Zmarłym jest wszystko jedno, żyjącym nie.

– A do czegoż innego służą klasy niższe, jak nie do tego, żeby nas zabawiać? – Wicehrabia roześmiał się i poklepał Jordana po plecach. – Niech się pan rozchmurzy i do nas dołączy. Może zdołamy dzisiaj wieczoru czymś pana zaskoczyć. Kto poświęcił cztery ludzkie życia po to, żeby cyrkowy mag znalazł się w więzieniu oskarżony o czary? Matkę i dwie córki możemy wykluczyć, skoro przez cały czas przebywały razem, ale pozostałych trzech osób: chłopca, mężczyzny i starej kobiety nikt nie widział, więc każde z nich może być mordercą.

– Piękna Amalvis i jej córki widziały Perpinyę, idąc na scenę – sprostował Jordan. – Drzwi były otwarte, mogły więc dostrzec jej odbicie w lustrze, a także słyszały głos, kiedy śpiewała przy pracy.

– A! Więc krąg podejrzanych coraz bardziej się zawęża. Cóż za zabawa!



Jordan przez okno pokazał strażnikowi pismo z pieczęcią biskupa, po czym brama została otwarta i powóz zajechał na szeroki żwirowany podjazd. Akurat nie padało, choć w powietrzu wisiła wilgoć, a niebo było zaciągnięte ciemnymi chmurami. Domenic wysiadł, zręcznie przeskoczył kałużę i ruszył w kierunku wysokich na siedem stóp, rzeźbionych w brązie drzwi – przedstawiciele Świętego Oficjum niewątpliwie wiedzieli, jak zrobić wrażenie na odwiedzających.

Brat Ancelmes przyjął gościa w gabinecie, którego ściany wyłożono lustrami, przy biurku z drewna palisandrowego. Stała na nim marmurowa głowa jakiegoś starożytnego poety, być może Wergiliusza. Jordan nie miał pewności, popiersie nie było zbyt udane.

Zakonnik przeczytał pismo, po czym odłożył je na blat ostrożnie, jakby kładł schwytanego motyla.

– Oczywiście może pan obejrzeć zarekwirowaną klatkę – powiedział, splatając palce białych, wypiełgnowanych dłoni. – Ale obawiam się, że rozmowa z więźniem jest w tej chwili niemożliwa.

– Dlaczego?

– Gaston Benicoeur choruje.

– Chorzy również potrafią mówić – zwrócił uwagę Jordan, na co zakonnik natychmiast zripostował: – Ale nieprzytomni nie. Gaston Benicoeur miał atak i nasz lekarz twierdzi, że minie trochę czasu, zanim dojdzie do siebie.

– Jakiego rodzaju atak?

Brat Ancelmes skrzywił się lekko.

– Nie wiem, nie pytałem. I proszę mi darować ten wzrok, zaręczam, że w żaden sposób tego mężczyzny nie skrzywdziliśmy. Gaston Benicoeur jest w tej chwili wolnym człowiekiem i pozostaje u nas jedynie dlatego, że wbrew temu, co myśli społeczeństwo, nie jesteśmy pozbawieni serc i nie zamierzamy wyrzucać chorego na ulicę. Gdy tylko

odzyska przytomność, zwolnimy go, a pan będzie mógł rozmawiać z nim do woli.

Jordan rozważył swoje szanse i doszedł do wniosku, że upór nie ma większego sensu.

– W takim razie będę wdzięczny za pokazanie mi klatki.



– Obejrzelismy ją dokładnie i nie znaleźliśmy nic, co by świadczyło o tym, że jest w niej jakakolwiek prawdziwa magia – powiedział brat Ancelmes, przesuwając palcami po metalowych prętach. – Oczywiście to nie zwyczajna klatka, te pręty są tak naprawdę pustymi w środku rurkami, które napełnia się mieszaniną składającą się z oleju, siarki i saletry.

– Czymś w rodzaju bizantyjskiego ognia?

– Owszem. – Zakonnik skinął głową. – Mechanizm działania jest bardzo podobny. Mieszanka wydostaje się przez te maleńkie otwory, o tutaj, widzi pan? I potem wystarczy już tylko iskra, żeby zaczęła płonąć. A kiedy otwory zamykają się, dopływ paliwa zostaje odcięty i ogień gaśnie. Sprytne, ale...

– Ale z pewnością nie sprawia to, że ludzie znikają. Do czegoś takiego potrzebne byłoby zaklęcie, wyryte gdzieś wewnątrz klatki.

Brat Ancelmes spojrział na Jordana, unosząc jedną brew. Jego twarz rozjaśnił uśmiech, nikły, będący niemal groźbą.

– Nie jestem pewien, czy powinien pan o tym wiedzieć, don Domenicu.

– Darujmy sobie takie rozmowy. Wiem, że ojciec wie, kim jestem i czym się zajmuję, a ojciec wie, że ja wiem. I nic ojciec nie może na to poradzić.

– Dopóki żyje Jego Ekscelencja Ipolit Malartre, istotnie nie mogę – odparł zakonnik, po czym skłonił się uprzejmie. – Oczywiście życzę biskupowi jak najwięcej zdrowia. Oby święty Ignacy mu błogosławił.

– Oby – mruknął Jordan, któremu zdecydowanie nie spodobała się ta rozmowa.



Teatr był zamknięty, drzwi przecinała żelazna sztaba, a zerwane przez wiatr plakaty mokły smętnie w płytkich kałużach przed wejściem. Domenic Jordan przeszedł po nich, uniósł sztabę i włożył klucz do zamka.

– Czego właściwie pan tu szuka? – zapytał właściciel budynku, przytupując dla rozgrzewki, bo od rzeki ciągnął chłodny wiatr.

– Nie jestem pewien – przyznał Jordan, na co jego pulchny towarzysz skrzywił się, po czym najwyraźniej uznał, że ruch nie wystarczy, sięgnął więc do kieszeni po piersiówkę i pociągnął solidny łyk.

– Straciłem przez tych ludzi mnóstwo pieniędzy – lamentował, podczas gdy Jordan zapalał latarnię. – Kto mi to wszystko zwróci? Mieli występować do końca lata i płacić czynsz, a teraz co? Kto wynajmie teatr w połowie sezonu? A jeszcze mało brakuje, żeby Mercia zalała piwnice, w całym budynku już cuchnie mokrym szczurem.

Rzeczywiście, w przesiąkniętym wilgocią powietrzu unosiła się nieprzyjemna mulista woń, jakby z dna rzeki. Światło latarni wyławiało z mroku odrapane ściany wąskich korytarzy i zalegającą na podłodze warstwę kurzu. Jordan zajrzał do przebieralni, ale znalazł tam tylko dwie zapomniane peruki, jedną siwą, a drugą rudą, oraz tanią, wyszywaną cekinami suknię, z której ktoś wydarł połowę falbanki. Materiał już zaczynał gnić pod wpływem wilgoci, na stoliku widniały ślady po szmince i tuszu do rzęs, a zaśniedziałe lustro upstrzone było

drobinkami pudru. Ostatnim razem, kiedy tu zaglądał, teatr wciąż żył, a teraz sprawiał wrażenie martwego jak porzucona skóra węża. Jakby w ciągu tych paru dni od momentu aresztowania trupy przeskoczył gwałtownie w przyszłość o kilka miesięcy, a może nawet lat, do czasów, kiedy stanie się zaniedbaną ruiną.

– Od początku wiedziałem, że będą z tymi ludźmi kłopoty – kontynuował właściciel budynku. – Ale dawali najlepszą cenę, więc co miałem zrobić? Pięcioro głodnych dzieci w domu czeka... Kto wynajmie teatr, w którym mordowano ludzi? Jak mam utrzymać to w tajemnicy, skoro całe miasto już gada o czterech trupach?

– Może powinien pan zrobić coś odwrotnego: zamiast trzymać morderstwa w tajemnicy, zareklamować teatr jako miejsce zbrodni? Zaręczam, że dla wielu będzie to dodatkowa atrakcja.

Pulchny mężczyzna zamrugął jak obudzona niespodziewanie sowa.

– Myśli pan?

– Dlaczego nie? Warto przynajmniej spróbować. A zmarłym i tak jest wszystko jedno.

To żywi cierpią, dopowiedział w myślach Domenic Jordan, patrząc, jak w oczach jego towarzysza zapalają się iskierki chciwości.



Prosto z teatru ruszył do gospody „Pod Czerwonym Kogutem”, w której przed aresztowaniem mieszkała aktorska trupa. Ich pokoje oczywiście były już zajęte, a rzeczy, co karczmarz przyznał po pięciu minutach wypytywania, zostały sprzedane.

– Co miałem zrobić? – bronił się. – Zajmowały tylko miejsce, kufry jakieś, skrzynie, szmaty... Nikt mi nie powiedział, co z tym wszystkim począć. Będę miał z tego powodu kłopoty?

– Prawdopodobnie tak. – Jordan wcale nie był tego pewien, ale jego życzliwość wobec ludzi szybko się wyczerpywała. – Sprzedał pan wszystko?

– Ja... Owszem, wszystko. – Karczmarz uciekł spojrzeniem w bok. Być może żył z obsługiwania aktorów, ale sam dobrym aktorem zdecydowanie nie był.

– Chciałbym zobaczyć to, co zostało – powiedział Jordan.

Karczmarz chwycił czysty kufel i zaczął go wycierać. Robił to tak intensywnie, jakby spodziewał się, że razem z nieistniejącymi plamami zniknie również ten ubrany na czarno blady mężczyzna. Niestety, kiedy odłożył szmatkę i podniósł wzrok, mężczyzna wciąż tam był.

Karczmarz skapitulował.

– Proszę zaczekać – powiedział, po czym wyszedł na zaplecze i wrócił po chwili, niosąc srebrny naszyjnik.

– To zostało – powiedział. – Całkiem ładny, chociaż trochę dziwny, nigdy wcześniej nie widziałem takich zdobień. Myślałem, żeby córce zrobić prezent na urodziny...

– Dziękuję, zatrzymam go. – Ku żalowi karczmarza naszyjnik zniknął w kieszeni Jordana. – I napiję się jeszcze wina, jeśli można.

Karczmarz sięgnął po butelkę, a Domenic usiadł przy jednym z pustych stołów. Było ich wiele, bo gospoda tego dnia nie cieszyła się powodzeniem – jedynym gościem oprócz Jordana była kolorowo ubrana kobieta o ciemnej cerze i ostrych, jakby wyciosanych w granicie rysach. Zgadł, że to Cyganka, jeszcze zanim podeszła do niego i zagadnęła: – Powróżyć?

– Nie potrzebuję wróżb.

– Każdy ich potrzebuje. – Bez zaproszenia usiadła przy stole. Jordan nie zamierzał protestować. – Nawet tacy jak pan, bogaci, z wysoko postawionymi przyjaciółmi.

– Wiesz, kim jestem?

Roześmiała się.

– Nie muszę nawet rozkładać kart, żeby wiedzieć. Ludzie plotkują. I zdziwiłbyś się, panie, gdybym powiedziała, kto bywa w naszej dzielnicy.

– Nie sądzę, żebym się zdziwił.

– My mamy nasze problemy. – Kobieta ruchem głowy wskazała za okno, gdzie rozlewała się brudnożółta, spieniona Mercia. Poziom wody sięgał już do pierwszych domów, z daleka niosły się krzyki osób, które, by powstrzymać powódź, układały na nadbrzeżu worki z piaskiem. – A wy macie swoje. Może warto wiedzieć, co da się na nie poradzić?

Tym razem zamierzał zaprotestować, ale Cyganka była szybsza. Ruchem sztukmistrza wyjęła zza pazuchy talię podniszczonych kart i położyła je na stole.

– Nie zapłacę ci – powiedział, jednak kobiety to nie zniechęciło.

– Nie zapłaci pan – zgodziła. – Ale może mnie pan zapamięta. I może szepnie słówko, komu trzeba, jeśli moja wróżba się sprawdzi.

Rozłożyła karty na stole i poprosiła Jordana o wybranie trzech. Zrobił to, bo i tak nie skończył jeszcze wina, a sytuacja zaczynała go bawić. Poza tym istniała szansa – choć niewielka – że Cyganka faktycznie powie coś ciekawego. Co prawda jak na razie wyglądała na typową oszustkę, ale Jordan wiedział, że pierwsze wrażenia bywają złudne.

Tymczasem kobieta, jakby chcąc potwierdzić teorię o oszustce, wykonała nad kartami szereg nader typowych gestów: potrząsała głową, marszczyła brwi, mruzczała coś do siebie. Jednak im dłużej to trwało, tym mniej było w jej zachowaniu przesadnej gry aktorskiej, a więcej czegoś, co wyglądało jak autentyczne skonfundowanie. Wreszcie odsunęła karty i otworzyła usta.

– Wolałbym, żebyś nie kłamała – ostrzegł ją Jordan.

Zamknęła usta.

– Przepowiednia jest niejasna – przyznała po chwili.

– Tym lepiej, że za nią nie zapłaciłem, prawda? – powiedział Jordan z humorem, po czym poprosił karczmarza o drugi kubek i przysunął w stronę towarzyszki butelkę wina. Kobieta napiła się.



– Wiem tylko, że komuś na panu zależy – oznajmiła. – Może to kiedyś pana ocali. A może nie.

– Już ustaliliśmy, że mam wysoko postawionych przyjaciół – przypomniał, ale Cyganka energicznie potrząsnęła głową.

– Chodzi o kobietę. Jakaś kobieta bardzo się o pana martwi.

Zmyśla, Jordan doszedł do wniosku, wstając. Zabawa zaczynała go nudzić.

– Nie wydaje mi się. – Owszem, istniało sporo kobiet, które Domenica lubiły, ale żadnej nie podejrzewał o to, że „bardzo się o niego martwi”. Jediną osobą, której naprawdę na Jordanie zależało, był Jego Ekscelencja Ipolit Malartre, a i w tym przypadku użycie słowa „bardzo” byłoby chyba przesadą. – Nie ma kobiety, o której mógłbym coś takiego powiedzieć.

– Na całym świecie?

– Na całym świecie. – Powaga Cyganki była na swój sposób zabawna.

– Może – oznajmiła kobieta, zręcznym gestem chwytając do połowy opróżnioną butelkę – szuka pan nie na tym świecie, co trzeba.



– Czy to naszyjnik, który zrobił Johan? – zapytał Jordan.

Agnes oczywiście się rozpłakała. Stała na ulicy, kuląc się w podmuchach zimnego wiatru, a drobne krople deszczu mieszały się na jej policzkach ze łzami. Wyglądała na chudsza i bledsza, niż kiedy widział ją ostatnim razem, oczy miała podkrążone, twarz ściągniętą bólem, który wżarł się w rysy tak mocno, jakby miał tam już zostać na zawsze. Za plecami dziewczyny pozostałe pensjonariuszki pakowały swój skromny dobytek na wóz. Zarządzająca domem staruszka komenderowała nimi, stojąc w mętnej wodzie.

– Tak, ja... Skąd pan to ma?

– Było w rzeczach należących do aktorów z trupy Wielkiego Gastona.  
– Och. – Agnes delikatnie, koniuszkami palców pogłaskała naszyjnik, a potem podniosła na Jordana wzrok. – To znaczy, że to wszystko prawda, tak? Oni... – Gwałtowny szloch targnął szczupłym ciałem. Rozpacz wydawała się od niej znacznie potężniejsza, niemal jak czarny cień, który usiadł na barkach dziewczyny i z każdą chwilą coraz bardziej przyginał ją do ziemi. – Oni zabili Johana i... Dlaczego? Czemu ktoś miałby zrobić coś takiego? Dla tej jednej błyskotki? Zabili go, żeby ją ukraść?

– Nie sędzę. Johan zginął, ponieważ ktoś chciał, żeby Wielki Gaston został aresztowany za czary. Tamtego wieczoru mógł umrzeć ktokolwiek, każda osoba, która weszłaby do klatki.

– Ja go do tego namówiłam...

– Przecież nie miała pani pojęcia, co się stanie.

To najwyraźniej nie były odpowiednie słowa, żeby pocieszyć dziewczynę. Jordan chciałby znaleźć właściwe, ale nie potrafił.

– Wie pani, dlaczego tamtego wieczoru Johan miał przy sobie naszyjnik?

Minęła chwila, nim Agnes wykrztusiła odpowiedź.

– Nie wiedziałam nawet, że go wziął. Może... może chciał mi go podarować, to był dla nas ważny wieczór. Nasz wieczór, jeśli pan rozumie.

Skinął głową, choć myślami był zupełnie gdzie indziej. Pensjonariuszki załadowały już bagaże, woźnica zaciął konia batem i wóz ruszył. Dziewczyny szły obok, podtrzymując wysypujące się tobołki. Brnęły po kostki w lodowatej wodzie, przemarznięte, z posiniałymi stopami, których przed zimnem w żaden sposób nie chroniły zwyczajne drewniaki. Wyglądało jednak na to, że humor im dopisuje, bo szeptały do siebie i chichotały. Jedynie zarządzająca domem, która z odległości kilkunastu kroków obserwowała Jordana i Agnes, sprawiała ponure wrażenie, a jej zaciśnięte usta nie wróżyły nic dobrego.

My mamy swoje problemy, a wy swoje, powiedziała Cyganka. Problemem ludzi z dzielnicy Cambola była w tej chwili nadciągająca powódź, a co stanowiło problem Jordana?

– Czy mogę go zatrzymać?

Odwrócił się w stronę Agnes.

– Naszyjnik – powtórzyła dziewczyna. – Wiem, że to drogi przedmiot, ale... miałabym pamiątkę. – Nie dodała: „Poza tym on przecież i tak chciał mi go podarować”.

– Nie, przykro mi. – Domenic, najdelikatniej jak mógł, wyjął z lodowatych palców ozdobę. Dziewczyna zamrugła. Chciała chyba zapytać, dlaczego, ale ostatecznie nie powiedziała nic.

– Pora iść – ponagliła ją siwowłosa zarządczyni. W jej oczach wwiercających się spojrzeniem w Domenica nie było już dezaprobaty, tylko granicząca z nienawiścią niechęć. Agnes ruszyła w stronę wozu, a stara kobieta podeszła do Jordana.

– Niech pan da jej spokój, ona już dość wycierpiała. Jeśli jeszcze raz pojawi się pan w naszym domu, nie otworzę drzwi, rozumiemy się?

Nie odpowiedział, skłonił się tylko uprzejmie. Gdy szedł w górę ulicy, doskonale zabezpieczony przez zimnem wody w swoich wysokich skórzanych butach, wciąż czuł na plecach jej wzrok.



– Znamy więc najważniejsze fakty – oznajmił wicehrabia de Berenguar, wodząc spojrzeniem po zgromadzonych w salonie. – Mamy wymierzoną w Wielkiego Gastona intrygę, która mogłaby się udać, gdyby nie to, że jedno z ciał przypadkiem zaplątało się w sieci i zostało wyłowione z rzeki. Mamy trupa, zeznanie jasnowidza, który twierdzi, że ofiara została zabita w ciasnym i ciemnym przejściu, cztery plamy krwi i sześcioro podejrzanych. Kto podejmie się zgadnąć, kim jest morderca?

Zapadła cisza, mącona tylko trzaskaniem ognia w kominku i monotonnym dźwiękiem uderzającego o szyby deszczu. Nikt nie chciał odezwać się pierwszy, nikt nie zamierzał ryzykować, że jego teoria zostanie skrytykowana. Wreszcie milczenie przerwała dżna Tazeda.

– Czy pan nie powinien dać nam przykładu, wicehrabio? – zapytała. – Jestem pewna, że zna pan właściwą odpowiedź.

– Znam – przyznał de Berenguar. – A ponieważ skromność zawsze uważałem za dobrą dla dziewcząt, powiem, że rzadko się mylę w takich kwestiach. Właściwie – roześmiał się lekko i ktoś, Jordan nie zauważył kto, zawtórował mu niepewnie – dotąd nie pomyliłem się nigdy. Jak zapewne wiecie, przez lata byłem sędzią w okręgu Floyrac i zbrodnie nie mają dla mnie tajemnic.

– W takim razie proszę nam powiedzieć, kto jest mordercą – wyrwała się najmłodsza z kobiet znajdujących się w salonie, zaledwie dziesiętnastoletnia dżna Estella.

– O nie. – Wicehrabia pokręcił głową, wciąż się uśmiechając. – Uprzejmość nakazuje, bym dał pierwszeństwo gościom. Panie pierwsze?

Dżna Estella zarumieniła się – de Berenguar, niski, krągły, w staroświeckiej peruce i równie staroświeckich jedwabnych pończochach wyglądał jak relikwiarz dawnych czasów, ale był to relikwiarz wciąż mający sporo uroku.

– Tak, hmm, myślę, że to musiał być Simon, prawda?

– Dlaczego? Jeśli mamy potraktować naszą zabawę poważnie, a zawsze tak traktuję zbrodnię, zgadywanie nie może się liczyć.

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Ale chłopak nie chciał się przyznać, gdzie bywał w czasie występów maga, a to musi coś znaczyć.

– Dżna Fabricia? – Wicehrabia przeniósł spojrzenie na drugą kobietę.

– Ten Jacobus – odparła zapytana stanowczo. – W końcu znał Wielkiego Gastona z dawnych czasów i w dodatku pokłócił się z nim tuż

przed przyjazdem do Alestry. Prawdopodobnie prosił kogoś, żeby zajął jego miejsce przy wciągarni, a sam czaił się w przejściu z nożem.

– Dña Tazeda?

– O nie, ja rezygnuję. Zresztą nawet nie słuchałam uważnie. Zbrodnie to zdecydowanie nie moja specjalność.

– W takim razie przejdźmy do panów. Don Miguel?

Domenic Jordan oparł czoło o zimną szybę i patrzył, jak spływa po niej deszcz. Za jego plecami goście przerzucali się spekulacjami.

– Jacobus. – Don Miguel poparł dñę Fabricię. – Tylko on i Perpinya znali wystarczająco dobrze Wielkiego Gastona, a kobieta nie byłaby zdolna zabić czwórki mężczyzn, nie mówiąc już o wrzucaniu zwłok do rzeki.

– A ja twierdę, że to właśnie Perpinya. Nie ufam starym kobietom, nigdy im nie ufałem.

– Jak w takim razie wyjaśni pan fakt, że trzy osoby widziały ją w czasie, kiedy rzekomo miałyby zabijać?

– Może to ona jest czarownicą – odparł don Bertrand, a ktoś nagroził jego odpowiedź brawami.

– Pan Galiberti?

– Matka albo któraś z córek, rzecz jasna. Albo nawet wszystkie razem. Osobiście stawiam na starszą. Dziewczęta, które noszą męskie stroje, są niebezpieczne. Jeśli ta mała ubiera się jak chłopak, to pewnie też umie zabijać jak chłopak.

Ostatnich dwóch odpowiedzi Jordan słuchał, będąc myślami zupełnie gdzie indziej. Don Jaime, podobnie jak dña Estella, postawił na rudego Simona, wywód Alonso Guitarda był długi i w większości niezrozumiały – pułkownikowi chodziło chyba o to, że zabijać mógł jakiś rzezimieszek, który odkrył istnienie tajnego korytarza i dostał się do środka od strony ulicy. Oczywiście żaden z nich nie miał racji, podobnie zresztą jak nie mieli jej wszyscy poprzedni wypowiadający się. Jordan zastanawiał się, czy wicehrabia rzeczywiście zna prawdę, a jeśli tak, co to będzie znaczyło dla niego samego. Czy byłby zadowolony

z takiego obrotu wydarzeń? Doszedł do wniosku, że owszem. Miło byłoby spotkać kogoś, kto podzielałby jego zainteresowania i byłby równie inteligentny.

– Don Domenic?

Odwrócił się. De Berenguar stał pośrodku salonu z kieliszkiem w ręce. Uśmiechał się miłym, kocim uśmiechem i bardziej niż kiedykolwiek przypominał porcelanową figurkę, jedną z tych, jakie wirują w takt muzyki na pozytywkach.

– Czy wysłucha pan mojej teorii?

Jordan skinął głową.

– Johana Gabriaca oraz trzy pozostałe osoby zabiła Perpinya.

– Mówiłem! – oznajmił z satysfakcją don Bertrand. – To czarownica!

– Nic podobnego. To morderstwo nie miało nic wspólnego z magią.

– Czy stara kobieta mogłaby zabić młodego chłopca? – powątpiewała dña Fabricia.

– Johan i student byli drobnej postury, a założę się, że podobnie wyglądały dwie pozostałe ofiary. To dość logiczne, biorąc pod uwagę, że ciężkiego człowieka trudno byłoby wciągnąć w klatce. Poza tym wszyscy byli pijani, co czyniło ich jeszcze słabszymi. I pamiętajmy, że Perpinya jest silniejsza, niż mogłoby się wydawać, w końcu do uspokojenia jej potrzeba było dwóch strażników. Moim zdaniem byłaby zdolna nie tylko zabić, ale także przeciągnąć martwe ciało przez korytarz aż do wyjścia i wrzucić do wody, zwłaszcza że to niedaleka droga. Jak wiemy z relacji pana Jordana, drzwi wychodzą prawie dokładnie na rzekę.

– Twierdzi pan, że Piękna Amalvis i jej córki skłamały, że widziały Perpinyę siedzącą w swoim pokoiku?

– Nie, mówiły prawdę. Pytanie jednak, co tak naprawdę zobaczyły te trzy kobiety i co usłyszały? Pamiętajmy, że żadna z nich nie przyglądała się uważnie, śpieszyły się przecież na scenę. Ot, w przelocie zerknęły przez otwarte drzwi i dostrzegły tam znajomą postać odbitą w lustrze.

– To nie była Perpinya? – Tym razem odezwała się dña Estella.

– Nie. To w ogóle nie był człowiek. Myślę, że Piękna Amalvis i jej córki zobaczyły po prostu udrapowaną na krześle suknię oraz perukę z długimi siwymi włosami, a wyobraźnia podpowiedziała im resztę. Spodziewały się ujrzeć w tym miejscu Perpinyę, więc sądziły, że ją zobaczyły, i prawdopodobnie byłyby gotowe przysiąc przed sądem.

– A głos? – Dña Fabricia wciąż miała wątpliwości. – Jakim cudem stara kobieta mogła śpiewać w pokoju przy przebieralni, jeśli tak naprawdę znajdowała się w korytarzu pod sceną?

– Tu również istnieje bardzo proste wyjaśnienie. Wiemy, że głos spod sceny doskonale słychać w przebieralni, a więc prawdopodobnie również w pomieszczeniu obok. Inaczej w jaki sposób Jacobus mógłby wołać do trzech kobiet, że ich występ wkrótce się rozpoczyna? Pamiętajmy, że to budynek teatru, przystosowany specjalnie do scenicznych występów i różnych sztuczek. Prawdopodobnie jest tam także kilka innych miejsc o podobnych właściwościach akustycznych. Sądzę, że Perpinya czaiła się w korytarzu, zabijała, a potem szła na chwilę pod scenę, żeby zanucić piosenkę – oczywiście Jacobusa tam nie zastawała, bo pobiegł na górę wciągnąć klatkę. Gdy zaś trzy kobiety schodziły pod scenę, staruszka była już w korytarzu, ciągnąc w stronę wyjścia martwe, zakrwawione ciało.

– Straszne. – Dña Estella wzdrygnęła się. – Jak bardzo zdeprawowany i szalony musi być rozum, który wymyślił taki plan.

– Zdeprawowany tak, szalony niekoniecznie. Myślę, że Perpinya ma najdoskonalej zdrowy umysł. Jej problemem jest nie szaleństwo, a nienawiść. Pamiętajcie, wspominała o swojej miłości do Wielkiego Gastona, o tym, że dla niego zrobiłaby wszystko? Taka miłość, jeśli nie jest odwzajemniona, łatwo przekształca się w równie wielką nienawiść. A ukochany przecież nie chciał odwzajemnić jej uczucia, traktował Perpinyę jak darmową posługaczkę i sprowadzał sobie inne kobiety. Aż wreszcie postanowiła go ukarać.

– Czy to prawda, don Domenicu? – zapytał Cosma Galiberti, a Jordan skinął głową.

– Prawda. Doskonałe rozwiązanie, wicehrabio.

Nagrodzony brawami de Berenguar skłonił się głęboko.

– Obawiam się, że zabawa nie była do końca uczciwa – powiedział, kiedy ucichły oklaski. – Mam nad państwem znaczną przewagę doświadczenia, a także inteligencji. Aby wyrównać szanse, proponuję nową zabawę – ja opowiem swoją historię, a wy postaracie się zgadnąć rozwiązanie. W ten sposób także don Domenic będzie miał okazję się wykazać. Zgoda?

Jordan odniósł wrażenie, że towarzystwo jest już nieco zmęczone, ale nikt nie śmiał zaprotestować.

– Zaczyna się – szepnęła dżina Tanzeda. – Mówiłam, że nie będzie się mógł powstrzymać i opowie tę swoją historię?

– Będę mówił krótko. – Wicehrabia chyba wyczuł panujący w salonie nastrój. – Gdy byłem sędzią w okręgu Floyrac, dowiedziałem się pewnego lutowego dnia, że obok mojego zamku przejeżdża właśnie trupa aktorów. Niewiele myśląc, postanowiłem ich do siebie zaprosić – zimowe wieczory są długie i nudne, a ja zawsze byłem wielbicielem teatru, nawet w jego najpodlejszej, wędrowniej odmianie. Moja córka, jedyne dziecko, miała wówczas osiem lat i była zachwycona perspektywą zobaczenia prawdziwego przedstawienia, bo dotąd oglądała jedynie kukielkowe sztuki, które odgrywała dla niej piastunka. Trupa liczyła sześć osób: trzy kobiety i trzech mężczyzn, z których najmłodszy był ledwo chłopcem i czasem grywał żeńskie role. Ugościłem ich, dałem kwatery, porozumieliliśmy się także co do zapłaty. Pora była już późna, więc przełożyliśmy przedstawienie na następny dzień – mieli zagrać sztukę *O rycerzu i chytrym diable*, dla mnie dość dziecinną i niespecjalnie interesującą, ale z całego repertuaru trupy tylko to było stosowne dla oczu mojej Marii. Jak dotąd nic nie zapowiadało tragedii: aktorzy wydawali się znać swoje miejsce, moja córka była zachwycona, ja sam zaś z niecierpliwością wyglądałem czekającej mnie jeśli nie duchowej uczy, to przynajmniej przyjemności wystarczającej, żeby zabić zimową nudę.



Następnego dnia rannem Maria wymknęła się piastunce i pobiegła na podzamcze, zwabiona strzelającym w niebo ogniem, w którym płonęły stare beczki po dziegiu. Płomień pozostawiono bez opieki, za co zresztą pociągnąłem do odpowiedzialności służących. Mniejsza z tym; ważne jest to, że ośmioletnia dziewczynka znalazła się sama przy rozbuchanym ognisku. Tam właśnie zaatakowali ją aktorzy, przebrani w swoje barwne stroje, z maskami na twarzach. Schwycili ją, bili, straszili, że wrzucą prosto w ogień. Kto wie, czym by to się skończyło, gdyby śmiertelnie przerażone dziecko nie zdołało się wyrwać i pobiec po pomoc do ojca. Gdy Maria wpadła do mojej komnaty, była blada jak prześcieradło i nie potrafiła wykrztusić słowa, jednak zdołałem ją uspokoić i wkrótce córka opowiedziała mi wszystko. Bez trudu domyśliłem się, że dziwacznie przebrani, zamaskowani sprawcy ataku to właśnie aktorzy, i oczywiście od razu kazałem ich aresztować. Jednak Maria mówiła wyraźnie, że napadło ją pięć osób, podczas gdy trupa liczyła sześcioro członków. Ktoś z nich był niewinny, ale kto? Zacząłem przesłuchania. Z początku aktorzy wypierali się winy, ja jednak pokazałem im zgromadzone dowody: stroje i maski, które moja córka rozpoznała. Wtedy się przyznali, twierdząc zgodnie, że w ataku brali udział wszyscy razem. Zastanowiłem się. Moja córka, choć przerażona, niewątpliwie dobrze policzyła napastników, a ja nie zamierzałem skazywać także tego jednego niewinnego. Pięcioro aktorów powinno zawisnąć, jeden mógł odejść wolny, musiałem go tylko znaleźć. Albo ją, bo przecież to równie dobrze mogła być kobieta. Maria pamiętała jedynie, że napastnicy mówili głosami zarówno męskimi, jak i żeńskimi, nie potrafiła jednak ich rozpoznać ani też powiedzieć, ilu było mężczyzn, a ile kobiet. Cóż, jak wspominałem, była wówczas bardzo młoda i bardzo wystraszona. Musiałem więc przywołać na pomoc całą swoją inteligencję. Poszedłem na miejsce ataku, lecz ślady wokół ogniska zostały już zatarte. Ubrania i maski, które moi ludzie znaleźli, również nic mi nie powiedziały. Stroje aktorów są obszerne, szyte specjalnie tak, by każdy mógł je włożyć, stąd też nie sposób było się

domyślić, kto danego dnia je nosił. Obejrzałem buty członków trupy, ale wszystkie okazały się jednakowo ubłocone – cóż, tego typu ludzie raczej rzadko dbają o czystość. A mimo tych wszystkich przeszkód udało mi się ustalić, który aktor nie brał udziału w ataku. Kto zgadnie, w jaki sposób to zrobiłem?

– Ja na pana miejscu nie bawiłbym się w żadne ustalanie, tylko zwyczajnie powiesiłbym wszystkich. – Don Bertrand stłumił ziewnięcie. – W końcu jeśli wszyscy twierdzili, że są winni, to znaczy, że wszyscy chcieli umrzeć i należało uszanować ich wolę. Doprawdy, wicehrabio, nie mam pojęcia, po co zadał pan sobie tyle trudu, żeby ratować kogoś, kto wcale nie chciał być uratowany.

– Widać, że pojęcie sprawiedliwości jest panu z gruntu obce. – Ton de Berenguara stał się wyraźnie chłodniejszy. – Nie wieszamy tych, którzy chcą zostać powieszoni, tylko tych, którzy są winni, tak samo jak wypuszczamy na wolność niewinnych, a nie ludzi, którzy sobie tego zażyczą.

– Słusznie – przytaknęła dżna Estella. – Ale nie mam pojęcia, jakim cudem udało się panu ustalić, kto nie brał udziału w ataku. Chyba że niewinny wystraszył się śmierci na szubienicy i po prostu wszystko wyznał.

– Nie, aktorzy do końca solidarnie twierdzili, że napadu dokonali wspólnie. Znalazłem inny sposób, by rozpoznać, kto kłamie. Dżno Tanzedo?

– Mnie proszę nie pytać, ja znam tę historię – roześmiała się starsza dama. – Opowiadał ją pan w zeszłym roku na przyjęciu z okazji Davalady. Byłam tam, pamięta pan?

– Dżno Fabricio? – Wicehrabia zignorował pytanie i przeniósł spojrzenie na kolejną kobietę. Ta jednak była już wyraźnie zmęczona.

– Nie mam pojęcia – powiedziała, z trudem tłumiąc irytację. – Czy może nam pan zdradzić rozwiązanie?

– Może któryś z panów spróbuje zgadnąć? Nikt? Don Domenic?

– W ogniu płonęły beczki po dziegiu, który ma bardzo intensywny zapach – powiedział Jordan. – Aktorzy pozbyli się przesiąkniętych nim teatralnych strojów, ale woń, choć słabsza, została na ich włosach oraz na koszulach, które mieli pod przebraniami. Po kilku godzinach, kiedy wicehrabia rozpoczął przesłuchania, zapach był już na tyle zwietrzały, że człowiek nie dałby rady go wyczuć, ale zwierzę tak. Zwierzęta z jakiegoś powodu lubią woń smoły drzewnej, myśliwi zresztą czasem używają jej do przywabiania dzików czy saren. Cóż, w tym przypadku, jak sądzę, wystarczyć musiał zwykły pies.

– Brawo! – roześmiał się de Berenguar. – Pan Jordan jest zdecydowanym zwycięzcą dzisiejszego wieczoru.



– Bylibyśmy znakomitymi partnerami, nie sądzi pan? – powiedział wicehrabia, podchodząc do stojącego przy oknie gościa.

– Być może – zgodził się uprzejmie Domenic. Na zewnątrz wciąż padało i Jordan zastanawiał się właśnie, ilu arystokratów uciekło już z Alestry w obawie przed powodzią. Nie dalej jak kilkanaście godzin wcześniej widział zmierzający w stronę rogatek powóz Juliana de Sali, a wiedział, że młody baronet nie jest jedynym szlachcicem, który uznał, że lepiej przecześć niebezpieczeństwo na wsi.

– Mam nadzieję, że nie uważa mnie pan za okrutnego, jak wielu głupich ludzi. Surowy, o tak, zdecydowanie jako sędzia byłem surowy. Ale zawsze kierowało mną poczucie sprawiedliwości.

– Zapytał pan, czemu właściwie aktorzy napadli pana córkę? Dlaczego mieliby odpłacać za gościnę czymś takim?

– Twierdzili, że to miał być żart, że tylko się z Marią droczyli i nigdy nie zamierzali zrobić mojej córce krzywdy.

– Może mówili prawdę?

– Niech pan nie będzie naiwny, don Domenicu. Grozili, że wrzucą niewinne dziecko w ogień, to pana zdaniem jest zabawa? Zresztą nawet jeśli miałyby to być żart, przekroczył on dopuszczalne granice. Moja córka mogła zginąć, gdyby któryś z napastników popchnął ją zbyt mocno w stronę płomieni. A jeśli sługa podniesie rękę na swojego pana, musi zostać stracony, inaczej groziłby nam chaos.

– Podczas kiedy gdy pan podnosi rękę na sługę, panuje miły porządek? – Dłoń Jordana odruchowo powędrowała do kieszeni, w której spoczywał srebrny naszyjnik.

Zabranie zrozpaczonej dziewczynie pamiątki po zmarłym narzeczonemu również można było uznać za akt okrucieństwa. Dlaczego to zrobił? Bo z naszyjnikiem wciąż wiązała się niewyjaśniona tajemnica, drobiazg, ale dla niego ważny. Z powodu pustej ciekawości sprawił Agnes ból i co więcej, nie żałował swojego czynu. Mimo to Jordan, podobnie jak wicehrabia, również nie uważał się za człowieka okrutnego. Bezwzględny – tak, ale nie okrutny.

De Berenguar wyszedł na środek salonu i zaklaskał.

– Wiem, że jesteście państwo zmęczeni – powiedział – jednak mam jeszcze jeden pomysł: co powiecie na to, żeby zaprosić Wielkiego Gastona do mojej wiejskiej posiadłości, gdy tylko zostanie wypuszczony z więzienia, i urządzić tam pokaz sztuk magicznych dla wybranej publiczności? Mam pomieszczenie specjalnie przystosowane do występów scenicznych i jestem pewien, że Wielki Gaston przyjmie zaproszenie. Zyskamy dzięki temu podwójną okazję: z jednej strony świętować będziemy triumf sprawiedliwości i uwolnienie niewinnego człowieka, z drugiej będzie to być może jedyna szansa, aby obejrzeć słynny numer z klatką. Kto wie, może komuś z państwa uda się odgadnąć jego tajemnicę?

Propozycja, rzecz jasna, przyjęta została oklaskami – Jordan przywykł już do tego, że tak właśnie ludzie reagują na pomysły wicehrabiego. Potem goście zaczęli zbierać się do wyjścia, służący przynosili płaszcze, z ulicy dobiegał turkot podjeżdżających po kolei

powozów i potrzaskiwanie batów. Jordan pożegnał się jako ostatni, lecz de Berenguar zatrzymał go jeszcze w progu.

– Byłbym zapomniał – powiedział. – Zgodnie z zasadami naszej zabawy pierścień powinien należeć do pana. Odgadł pan rozwiązanie mojej zagadki, prawda?

Po czym, zanim Jordan zdążył cokolwiek powiedzieć, zniknął w przylegającym do salonu pomieszczeniu i wrócił z okazałym srebrnym sygnetem.

– Oto pańska nagroda.

Domenic chciał odmówić – pierścień był zupełnie nie w jego stylu, a zasady mówiły, że nagrodę powinien otrzymać ten, kto odgadł rozwiązanie pierwszej zagadki, nie drugiej. Coś jednak, jakiś drobiazg na pozór tak błahy, że sam Jordan nie zdawał sobie z niego sprawy, sprawiło, że odruchowo wyciągnął dłoń.

– Mam nadzieję, że będzie panu dobrze służyć. To rodzinna pamiątka. Raz jeszcze przepraszam, że nie wręczyłem jej panu wcześniej. Fatalny ze mnie czasem gospodarz. Ale jak już mówiłem, teatr i zbrodnia to moje pasje, a człowiek łatwo zapomina o rzeczywistości, gdy wsiądzie na ulubionego konika.

Jordan z roztargnieniem przyjął przeprosiny. Cały czas obracał pierścień w palcach. Był ciężki, z wygrawerowanym w srebrze herbem, który otaczał charakterystyczny geometryczny wzór przypominający labirynt. Domenic tylko raz widział taki rodzaj zdobienia – na naszyjniku, który przedstawił na egzaminie mistrzowskim zamordowany Johan Gabriac.

Kiedy była mowa o urządzaniu sobie zabawy kosztem czyjejs śmierci, Jordan powiedział, że użyłby innego słowa niż „niemoralne”.

Użyłby słowa „niebezpieczne”.

## Akt III

– Czy to jest naszyjnik, który Johan Gabriac zrobił na egzamin?

– Tak. – Mistrz Patou wziął ozdobę i obracał ją przez chwilę w palcach niemal w identyczny sposób, jak zrobił to niedawno Jordan. – Poznaję ten motyw, widzi pan? U nas nikt nie używa takich geometrycznych wzorów. Oczywiście gdyby to był sam wzór, jeszcze o niczym by to nie świadczyło, pomyślałbym pewnie, że Johan zobaczył go gdzieś i skopiował. Jednak sposób wykonania też jest inny. Charakterystyczny dla złotników z północy, powiedziałbym. Stawiałbym na okrąg Floyrac, choć nie mam pewności.

– A ten pierścień? – Domenic wyjął z kieszeni podarunek wicehrabiego.

Patou zmrużył oczy. Pierścień oglądał dłużej, pomrukując coś do siebie.

– Też robota kogoś z północy, niewątpliwie. Ale oczywiście pierścień jest znacznie starszy.

– Dziękuję. – Jordan schował oba przedmioty.

– O co w tym wszystkim chodzi? – dopytywał mistrz Patou, podążając za gościem do drzwi. – Chłopak wpakował się w kłopoty i dlatego nie żyje? Ktoś go zabił z powodu naszyjnika?

Domenic odwrócił się w progu.

– Gdyby miał pan opisać Johana w kilku słowach, jakie one by były?

Patou zastanowił się.

– Leniwy – odparł. – Ani zdolny, ani mądry.

– Oszust?

– Tak, ale na niewielką skalę, jeśli rozumie pan, o czym mówię. Był raczej z tych, którzy ciągle kombinują, jak się wymigać od pracy. I lubił żyć na cudzy koszt.

– Na przykład czyj?

Mistrz wzruszył ramionami.

– Znajomych, kolegów. Szedł z nimi do gospody i chętnie korzystał, jak stawiali piwo, ale kiedy przychodziła jego kolej, zawsze jakoś się wymigiwał. Wiem, bo zaprosili mnie parę razy. Przyjaciół nie miał, a w każdym razie ja o żadnych nie wiem. Czy teraz powie mi pan...

– Dziękuję – powtórzył Jordan. – Bardzo mi pan pomógł.



Ipolit Malartre położył na biurku naszyjnik, a zaraz obok pierścień. Zachodzące słońce zapalało srebrne błyski w obu przedmiotach, podkreślając lśniąca nowość pierwszego i szlachetną patynę drugiego.

– Nie rozumiem, co właściwie chcesz mi powiedzieć, Domenicu – zaczął biskup ostrożnie. – Że Johana Gabriaca oraz pozostałe ofiary zabił złotnik, który swego czasu zrobił ten pierścień dla wicehrabiego?

– Nie. Naszyjnik i pierścień zostały wykonane przez dwóch różnych rzemieślników, choć obaj pochodzili z północy. Jak Wielki Gaston, który wciąż mówi z lekkim akcentem.

– A wicehrabia de Berenguar przez długie lata był sędzią w okręgu Floyrac. Co z tego wynika? I aktorzy, i rzemieślnicy podróżują po całym kraju. W Alestrze na pewno znalazłby się więcej niż jeden złotnik, który urodził się na północy. Ty też stamtąd pochodzisz – dodał, a Jordan nie uznał za stosowne przypomnieć, że Góry Tanabryjskie leżą jednak daleko od Floyrac.

– Johan był leniwy i niezbyt zdolny, więc zapłacił komuś, żeby zrobił za niego naszyjnik na egzamin mistrzowski – kontynuował Jego Ekscelencja. – I tak się przypadkiem złożyło, że pechowo dla siebie trafił akurat na złotnika z dalekich stron. Nie ma w tym żadnej tajemnicy.

– Skąd wziął pieniądze?

– Słucham?

– Johan był ubogi, mało prawdopodobne, by zdołał zapłacić komuś za takie oszustwo. I nie miał przyjaciół, którzy zrobiliby to dla niego za darmo.

– Pieniądze mógł zdobyć. Mógł też kogoś zmusić, na przykład szantażem.

– Mógł również ocalić życie jakiemuś złotniczemu mistrzowi. Była burza, nieszczęsny rzemieślnik wpadł do rwącej Mercii i tonął, a Johan z poświęceniem życia wyciągnął jego oraz okazały kufer z pieniędzmi. Wdzięczny mistrz zaproponował zapłatę, jednak chłopak oznajmił, że woli inną formę nagrody.

Jego Ekscelencje zmarszczył brwi.

– Doprawdy, Domenicu...

– Dlaczego nie? Taka historia pasowałaby do tego, co już wiemy. To jest teatr, nie sądzi ojciec? Zraniona kobieta, której miłość po latach obróciła się w nienawiść, skomplikowana intryga, zemsta, magia i oczywiście mnóstwo krwi. Jak tania sztuka. Nieźle napisana, owszem, ale niewolna od nieścistości. Można na przykład zadać pytanie, dlaczego właściwie Johan tamtego wieczoru wziął do teatru naszyjnik?

– Żeby podarować go narzeczonej, to oczywiste. Zresztą dziewczyna sama ci powiedziała.

Jordan pokręcił głową.

– Nie sądzę. Agnes dostała już pierścionek zaręczynowy, a Johan nie lubił rozstawiać się z pieniędzmi. Mistrz Patou mógł przesadzać, nawet skłamać, być może chłopak wcale nie grzeszył skąpstwem, ale nawet jeśli, nie zmienia to faktu, że niedługo miał się żenić i każde eccu było



dla niego na wagę złota. W takiej sytuacji dawanie narzeczonej kolejnej zupełnie niepotrzebnej błyskotki byłoby głupotą.

– Zakochani robią takie właśnie głupstwa. – W oczach Jego Ekscelencji pojawił się błysk humoru. – A z punktu widzenia kobiet błyskotki nigdy nie są niepotrzebne. Popełniasz błąd, Domenicu, sądząc, że wszyscy myślą tak jak ty.

– Być może – zgodził się Jordan.

– Nie jesteś przekonany?

– Nie. Wciąż mam wrażenie, że ktoś zatrudnił mnie do odegrania głównej roli w sztuce, której nawet nie znam.

– I co teraz zamierzasz zrobić?

– Jeśli mi się uda, spróbuję zmienić zakończenie. Kłopot w tym, że już się spóźniłem: dziś rano Wielki Gaston został zwolniony z aresztu i nikt nie wie, dokąd poszedł. Muszę go odnaleźć, zanim zrobi to wicehrabia de Berenguar.



Podniecony tłum śmierdział cebulą, przetrawionym tanim winem i wilgocią rzadko pranych ubrań. Ludzka ciżba szczelnie wypełniała plac Sprawiedliwości, kierując spojrzenia w stronę szubienicy. Matki podnosiły dzieci, mężczyźni wykorzystywali siłę pięści i łokci, by znaleźć się jak najbliżej.

Tej ostatniej użył także Domenic Jordan, który zaczął przepychać się przez tłum dokładnie w chwili, gdy u wylotu ulicy dał się słyszeć turkot kół. Ludzie rozstępowali się niechętnie, ktoś wsadził Jordanowi łokieć w bok, ktoś inny zawołał za plecami coś obraźliwego. Mężczyzna nie odwrócił się, bo na plac wjeżdżał już wóz drabiniasty. Jadący na nim skazańcy mieli skute ręce i nogi, a na grzbietach płócienne koszule, w teorii białe, w praktyce raczej brudnoszare. Było ich czworo, trzech

mężczyzn i jedna kobieta. Tylko ona stała, śmiało patrząc ponad głowami wzburzonych gapiów. Nie drgnęła, kiedy jeden z nich napluł jej w posiniaczoną twarz, ani chwilę później, gdy celnie ciśnięty kamień rozorał pomarszczony policzek. Siwoczarne włosy miała potargane i była jeszcze chudsza, niż Jordan zapamiętał, niemal jak obciągnięty skórą szkielet, a mimo to widział w niej dumę i może nawet piękno, którego wcześniej nie potrafił dostrzec.

Popchnięty Domenicomal nie wpadł pod koła – tym razem obejrzał się, ale winny już dawno zniknął w tłumie. Konie człapały dostojnie, woźnica nie popędział ich, doszedłszy najwyraźniej do wniosku, że gapie powinni dostać jak najwięcej tego, po co tu przyszli.

Jordan poczekał, aż wóz go minie, a potem, korzystając z odrobiny wolnego miejsca, chwycił jeden z drewnianych szczebelków, podciągnął się i zręcznie wskoczył na tył. Woźnica chyba niczego nie zauważył, za to Perpinya po raz pierwszy zwróciła na Jordana uwagę – spojrzała na mężczyznę, jednak w jej wzroku nic nie świadczyło o tym, że go rozpoznała.

– Naprawdę chce pani dla niego umrzeć? – zapytał. – Jeszcze nie jest za późno, wciąż może pani powiedzieć prawdę.

– Za późno było już dwadzieścia lat temu. – Uśmiechnęła się opuchniętymi ustami pod warstwą krwi: tej zaschniętej i tej świeżej, która wciąż spływała z policzka. – A ja mówiłam, że zrobię dla niego wszystko.

Drugi kamień trafił w zaciśnięte palce Jordana. Domenic puścił szczebelek, którego się trzymał, i w tym momencie kolejny pocisk uderzył go w czoło. Zeskoczył z wozu, krew zalała mu oczy. Niechęć tłumy stała się niemal namacalna, jak otaczające go pełne złości morze. Popychany i potrącany, nawet nie próbował walczyć. Na oślep przedarł się przez ciżbę i zatrzymał pod ścianą kamienicy. Dopiero tam sięgnął po chustkę, wytarł twarz i obejrzał rękę, w którą trafił kamień. Dwa palce wyglądały na złamane, ale na szczęście była to lewa dłoń.

Jordan z niesmakiem obrzucił spojrzeniem poplamioną koszulę i odgarnął zlepione krwią włosy. Przelotnie zastanowił się, czy przypadkiem padł ofiarą rozzłoszczonych gapiów, czy może zawinił jego arystokratyczny wygląd – osobiście skłonny byłby postawić na tę drugą możliwość. Potem podniósł wzrok na szubienicę, gdzie kat zakładał właśnie pętle na szyje skazańców. Jeden mężczyzna wyrывał się i chyba paskudnie przeklinał, choć z tej odległości Domenic nie słyszał słów. Drugi wyciągał błagalnie ręce w stronę tłumu, jakby spodziewał się z jego strony łaski, trzeci milczał, najwyraźniej zrezygnowany. Spokojna była również Perpinya. Z czerwonej miazgi, w jaką zmieniała się jej twarz, spoglądały oczy, wciąż jasne, wciąż zielone i choć wydawało się to niemożliwe – albo przynajmniej bardzo nieprawdopodobne – Jordan przysięgłby, że kobieta ponad głowami falującego tłumu patrzy wprost na niego.

Patrzy, uśmiecha się i jest szczęśliwa.



Kat zwolnił zapadkę i cztery ciała zatańczyły na szubienicy. Dwaj mężczyźni skonali szybko z przerwany mi rdzeniami kręgowymi, trzeci, ten spokojny oraz kobieta konali długo, kopiąc nogami powietrze i wybałuszając oczy. Jordan patrzył do końca – miał wrażenie, że w pewien sposób jest to Perpinyi winien.

Gdy ciała znieruchomiały, poczuł dłoń sięgającą po jego sakiewkę – wrażenie tak ulotne, że jeszcze pół minuty wcześniej, gdy w napięciu wpatrywał się w konających, z pewnością by je przegapił. Teraz jednak odwrócił się i odruchowo złapał złodziejzka za rękę. Chłopak krzyknął cicho, raz ze strachu, a drugi raz z zaskoczenia na widok twarzy Jordana. Domenic w pierwszej chwili uznał, że to z powodu krwi, której nie zdołał do końca wytrzeć, ale to było raczej rozpoznanie,

bo on również w tej samej chwili poznał chłopaka. Ta ruda czupryna była nie do pomylenia.

– Nie chciałem! – Nawet w takiej chwili głos Simona przypominał raczej sceniczny szept.

– Twoja ręka znalazła się w mojej kieszeni przypadkiem?

– Muszę jakoś zarabiać na życie. – Chłopak wzruszył ramionami.

– Okradając ludzi, kiedy znajoma kobieta ginie na szubienicy?

– I tak nigdy jej nie lubiłem. Puści mnie pan?

Jordan zacisnął mocniej palce.

– Nie. Gdzie są pozostali? Jacobus, Piękna Amalvis i jej córki?

– Nie mam pojęcia! Jak nas wypuścili, rozeszliśmy się w swoje strony. Amalvis mówiła coś o tym, że wróci z dziewczynami na północ, tu i tak już by ich nikt nie zatrudnił.

– Nie chciałeś jechać z nimi?

– Nie. Teatr mi się znudził.

A kariera ulicznego złodziejaska wydawała się bardziej obiecująca, dodał w myślach Jordan, po czym na głos powiedział: – Może będę miał dla ciebie pracę. Znajdź tylko miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać.



W gospodzie „Pod Głową Bizantyjczyka” Jordan poprosił o miskę z wodą i mydło, po czym, na ile tylko był w stanie, doprowadził się do porządku. Dwa złamane palce nadal rwały bólem, ale rana na czole szczęśliwie okazała się płytką i nie wymagała nawet opatrunku. Potem zamówił gulasz barani i podsunął talerz Simonowi. Chłopak rzucił się na jedzenie, jakby od kilku dni nie miał nic w ustach.

– Gdzie mieszkasz? – zapytał Jordan.

– Tu i tam – mruknął Simon.

– Czyli na ulicy – podsumował Domenic. – I w dodatku kradniesz. To robiłeś, kiedy Gaston miał numer z kłatką, prawda? Kręciłeś się wśród publiczności i wyciągałeś ludziom z kieszeni drobniaki. Dlatego nie chciałeś się przyznać, gdzie byłeś.

Simon wytarł kawałkiem chleba talerz i przełknął.

– Wszyscy o tym wiedzieli – wymamrotał. – No wie pan, taki niepisany zwyczaj. Żadna trupa nie utrzymałaby się z samych występów. Co to za praca, jaką pan ma dla mnie?

– Mówiłeś, że znasz Gastona, pamiętasz? Jego upodobania, zwyczaje i takie tam. Chciałbym, żebyś go odszukał. Jeśli ci się uda, dostaniesz nagrodę.

– A to maga też puścili?

– Wczoraj rano.

– W takim razie pewnie wyjechał jak reszta.

– Nie sądzę. Założę się, że wciąż jest w Alestrze.

– Skąd pan to wie?

– Powiedzmy, że czasem bywam bardzo domyślny.

Oczy chłopaka rozbłysły ciekawością.

– To jakaś grubsza sprawa, tak? Ale przecież Perpinya się przyznała, jeden strażnik mi mówił.

– Przyznanie się nie zawsze oznacza koniec. Znajdź Gastona, a dostaniesz sowitą zapłatę.

– I powie pan, o co w tym wszystkim chodzi?

– I powiem, o co w tym wszystkim chodzi. – Uwagi Jordana nie umknęło, że Simon nawet nie zapytał o wysokość sumy.

– W porządku, znajdę dziada. – Chłopak wyszczerzył zęby. – Dostanie go pan jak na talerzu.

– Wystarczy, że powiesz mi, gdzie się zatrzymał. Wiadomość możesz dostarczyć na ten adres. – Jordan podał mu kartkę. – Umiesz czytać?

– Jak są drukowane litery, to tak.

– I jeszcze jedno: wolałbym, żebyś nie używał określenia „dziad”.

– Aha, niech będzie. – Chłopak zerwał się z ławy. – Do jutra będzie pan go miał, obiecuję.

– Zaczekaj chwilę.

– Tak? – Simon odwrócił się już w połowie drogi do drzwi.

– Podobno Gaston rzucił dobry zawód, żeby występować na scenie. Wiesz może, kim był, zanim zaczął jeździć z aktorami?

– Złotnikiem, podobno nawet całkiem dobrym. Nawet teraz od czasu do czasu jeszcze się tym zajmował. W Alestrze miał układ z jakimś rzemieślnikiem, który pozwalał mu korzystać ze swojego warsztatu.

Jordan skinął głową. Oczywiście podejrzewał to już wcześniej, ale zawsze miło się było przekonać, że naprawdę jest człowiekiem domyślnym.



Domenic Jordan chciałby wierzyć, że wszystko, co osiągnął, zdobył własnym wysiłkiem, lecz to nie byłaby prawda, a on świetnie o tym wiedział. Owszem, swego czasu przybył do Alestry jako nikomu nieznany chłopak bez grosza przy duszy, już wtedy jednak miał coś więcej niż pieniądze: miał wykształcenie, które pozwoliło mu kilka miesięcy później zacząć studia, umiejętność władania szpadą, a także to charakterystyczne dla dobrze urodzonych zachowanie, ten specyficzny, nie do podrobienia przez dorobkiewiczów ton głosu, który sprawiał, że ludzie z niższych klas odruchowo go słuchali, zaś alestrańska śmietanka rozpoznała w Jordanie jednego ze swoich.

Wszystko to zawdzięczał nie sobie, tylko temu, że szczęśliwie przyszedł na świat w uprzywilejowanej warstwie społecznej. Wykorzystywał swoją pozycję, dlaczego miałby tego nie robić? Dobre maniery, eleganckie ubranie i pieniądze ułatwiały wiele rzeczy, a także czyniły życie zdecydowanie bardziej przyjemnym. Przez cały czas

jednak Jordan miał świadomość, że o jego sukcesie zdecydował w pewnej mierze łut szczęścia – dlatego, choć nie zamierzał przeproszać za to, kim był, nie żywił także pretensji do tych mniej szczęśliwych, którzy desperacko próbowali zdobyć coś więcej, niż należało im się z racji urodzenia.

Wspinając się po schodach wiodących na poddasze najpodlejszej chyba gospody w Alestrze, spróbował przywołać w pamięci samego siebie ze studenckich czasów: kilkunastoletniego chłopca, który często bywał w tej dzielnicy i dla którego takie właśnie ciasne i brudne miejsca stanowiły widok jeśli nie przyjemny, to przynajmniej doskonale znajomy. Nie przyszło mu to łatwo, bo nie był człowiekiem sentymentalnym, a o najwcześniejszych latach swojego życia najchętniej by zapomniał. Pamiętał, że cierpiał z powodu ubóstwa, ale pamiętał też tę absolutną pewność piętnastolatka, że jest to stan przejściowy, że prędzej czy później zdobędzie dokładnie to, czego pragnie. Żadną miarą nie mógł więc porównać młodego Domenica z człowiekiem, do którego właśnie szedł. Wielki Gaston urodził się biedny i istniało duże prawdopodobieństwo, że biedny umrze. W całym jego nędznym, pełnym upokorzeń życiu istniało tylko jedno światło, jedna jedyna rzecz, dla której zwlekał się każdego ranka z łóżka. Powiedział Magatou, że to tajemnica klatki, ale oczywiście skłamał.

Chodziło nie o tajemnicę, tylko o zemstę.



Pomieszczenie było maleńkie, nie większe niż schowek na miotły w wielu bogatych domach. Promienie słońca wpadały przez wąskie, brudne okno, oświetlając leżący pod ścianą siennik – innych sprzętów tu nie było, nawet lustro, w którym przeglądał się mag, najpewniej należało do gościa. Prawdę powiedziawszy, najlepszy pokój w

gospodzie „Pod Tańczącą Żabą” zdumiewająco przypominał więzienną celę.

Gaston spojrział na wchodzącego i drgnął lekko.

– Pan Jordan – powiedział, odkładając lusterko. Warstwa pudru na jego twarzy nie mogła zamaskować cieni pod oczami i poszarzałej cery.

– Czemu zawdzięczam wizytę?

– Wybiera się pan dokądś? – Domenic ruchem głowy wskazał leżącą na sienniku koszulę, pocerowaną, ale prawdopodobnie najlepszą, jaką mag posiadał.

– Owszem, wicehrabia de Berenguar zaprosił mnie do swojej wiejskiej posiadłości. Będę tam występował, rozumie pan. Moja klatka została już zabrana, a po mnie zaraz przyjedzie powóz. – W ostatnich słowach zabrzmiało coś jakby ostrzeżenie: spóźniłeś się, lepiej daj spokój.

Jordan nie zamierzał tego zrobić.

– Wicehrabia to bardzo miły człowiek. – Mag zdjął brudny kaftan i założył koszulę. Jego ciało było wychudzone, pod obwisłą, pomarszczoną skórą wyraźnie rysowały się kości, a łopatkę zdobił rozlany siniec wielkości dłoni. – Lubi teatr, a moja historia bardzo go poruszyła.

– Kłopot w tym, że to nie jest prawdziwa historia, mam rację?

Za oknem rozległ się turkot kół, który umilkł, gdy powóz stanął przed gospodą. Gaston podniósł się, krzywiąc usta. Poruszał się z ostrożnością bardzo starego człowieka i wyglądał na zmęczonego, jak ktoś, kto dotarł do kresu drogi i nie zastał tam tego, czego się spodziewał. Jordan spróbował doszukać się w nim dumy, jaką widział w Perpinyi, ale nie znalazł niczego poza znużeniem i bólem.

– Na mnie już pora – oznajmił mag.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, pojedę z panem. – Wypowiedziane nienagannie uprzejmym tonem słowa nie pozostawiały wątpliwości, że Gaston tak naprawdę żadnego wyboru nie ma.





– Oszukaliście mnie – powiedział Jordan, gdy siedzieli już w wyściełanym jedwabiem wnętrzu powozu. – Powinienem się tego spodziewać, jesteście przecież aktorami, żyjecie z oszukiwania publiczności.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Mówię o panu, Perpinyi oraz Agnes, która prawdopodobnie jest jej córką, tym dzieckiem, którym zajął się pan, gdy było małe, a Perpinya samotna. Nie są do siebie podobne, Agnes najwyraźniej urodę odziedziczyła po ojcu, ale oczy mają takie same. Perpinya kochała pana i zrobiłaby dla pana wszystko, tak powiedziała i to była prawda. Namówiła nawet własną córkę, żeby pomogła w przeprowadzeniu całej tej intrygi. Możliwe zresztą, że dziewczyna sama tego chciała, w końcu od małego wychowywaliście ją w nienawiści do wicehrabiego de Berenguar.

– Niech pan nie miesza do tego Agnes – mruknął Gaston, wyglądając przez okno. Powóz wyjechał właśnie z miasta i skierował się na wschód. Po jednej i po drugiej stronie drogi rozciągały się zalane wodą pola, nad którymi krążyły stada ptaków.

– Nic dziwnego, że kiedy ostatni raz ją widziałem, wyglądała na nieszczęśliwą – kontynuował Jordan. – Sądziłem, że to z powodu śmierci narzeczonego, ale to były wyrzuty sumienia, a przede wszystkim świadomość, że jej matka lada moment zawiśnie za zbrodnię, której nie popełniła. Bo w podziemnym przejściu zginęła tylko jedna osoba, prawda? Tylko Johan, pozostałe trzy plamy to prawdopodobnie krew zarżniętego kurczaka albo innego zwierzęcia. I założę się, że chłopaka nie zabiła Perpinya, lecz pan, jeszcze przed występem.

- Wszyscy widzieli, że Johan wchodzi do klatki - zwrócił mu uwagę Gaston, który wciąż wyglądał przez okno, zupełnie jakby słowa współpasażera go nie interesowały. Jordan dostrzegł jednak napięte mięśnie na szyi maga i wiedział, że ten słucha bardzo uważnie.

- Nieprawda, ludzie w teatrze zobaczyli jedynie, że do klatki wchodzi młody chłopak. Na to, że tamtego wieczoru Agnes była w teatrze z Johanem, mamy jedynie jej słowo, a dziewczyna od początku kłamała. To świetna aktorka, swoją drogą, matka mogłaby być z niej dumna. Zastanawiam się też, dlaczego wybraliście właśnie młodego Gabriaca? Bo był niesympatyczny i wystarczająco głupi, by ładna dziewczyna bez trudu zdołała go namówić na wejście do podziemnego korytarza? A jednak musieliście czuć się winni, dlatego zrobił pan naszyjnik, dzięki któremu Johan dostał tytuł mistrzowski i mógł być szczęśliwy przez kilka dni. W pewnym sensie spełniliście ostatnie życzenie skazanego na śmierć. Oczywiście wasze poczucie winy nie sięgało aż tak daleko, żebyście pozwolili chłopakowi naszyjnik zatrzymać; to była zbyt cenna rzecz, więc kazaliście mu go przy pierwszej okazji oddać. Może właśnie z tego powodu Johan znalazł się w podziemnym przejściu? Ponieważ sądził, że umówił się tam z kimś, komu powinien zwrócić naszyjnik?

- Po co mielibyśmy robić takie rzeczy?

- Żeby dostał pan zaproszenie od wicehrabiego, oczywiście. Pana numer z klatką jest popularny, ale nie na tyle, żeby zainteresował się nim ktoś taki jak de Berenguar. Poza tym gdyby próbował pan zdobyć sławę zwykłą drogą, występując przez dłuższy czas w jednym miejscu, ludzie szybko zorientowaliby się, że grzesznicy w pana klatce naprawdę znikają. Dlatego skonstruowaliście tę piętrową intrygę. Sądziłem z początku, że skierowana jest ona przeciwko Jego Ekscelencji, bo do niego Agnes pobiegła po pomoc, ale tak naprawdę od początku chodziło o mnie. Dzięki spotkaniu z pewną Cyganką uświadomiłem sobie, że mieszkańcy Camboli zaskakująco dobrze wiedzą, kim jestem i w jakich domach bywam. Założyliście, że biskup opowie mi o znikających w klatce ludziach, ja zainteresuję się sprawą i rozwiążę ją zgodnie z

waszymi życzeniami, a wicehrabia o wszystkim się dowie – ode mnie albo z krążących po Alestrze plotek, to już nie miało znaczenia. I oczywiście jako wielbiciel teatru oraz zbrodni nie będzie potrafił oprzeć się urokowi tak skomplikowanej intrygi. Plan w pewien sposób genialny, bo teraz, kiedy Perpinya została stracona za to, że próbowała zrobić z pana prawdziwego czarownika, nikt nie będzie podejrzewał, że faktycznie nim pan jest. A w każdym razie, że pana klatka naprawdę jest magiczna.

– Skomplikowany ten plan. – Mag uśmiechnął się bez prawdziwej wesołości. – Co gdyby okazał się pan mniej domyślny, niż zakładaliśmy? Albo gdyby wicehrabia znalazł sobie inną rozrywkę i wcale nie miał zamiaru zapraszać mnie do swojej wiejskiej posiadłości?

– Nie mam pojęcia. Może mieliście jakiś plan zapasowy, a może zwyczajnie liczyliście na łut szczęścia. Albo wymodliliście powodzenie tej intrygi u jakiegoś zainteresowanego zemstą świętego.

Coś drgnęło w twarzy Gastona i Jordan zorientował się, że trafił w dziesiątkę – plan nie był doskonały, ale gorliwe modły sprawiły, że udał się nadspodziewanie dobrze, i gdyby nie czysty przypadek, Domenic niczego by nie podejrzewał.

Pochylił się w stronę maga.

– Kto jeszcze wie, że klatka jest prawdziwa? Simon się domyślił, ale nikt nie traktował go poważnie, Piękna Amalvis i jej córki prawdopodobnie dały się nabrać. A Jacobus? On także w pewnej chwili na to wpadł, prawda? Dlatego właśnie krzyczał: „Nie możesz tego zrobić!”. Okazał się jednak na tyle lojalnym przyjacielem, że milczał, nawet gdy został aresztowany. Jak na razie los panu sprzyjał. Ciekawe, czy nadal będzie miał pan szczęście. Bo przecież wicehrabia może pana rozpoznać, nie pomyślał pan o tym?

Mag wolno pokręcił głową.

– Oczywiście, że pomyślałem. Ale tamta historia wydarzyła się dwadzieścia lat temu, a ja byłem dla niego nikim, zwyczajnym aktorem, jakich jest wielu. I nosiłem wtedy inne imię. Tacy jak on nigdy

naprawdę nie patrzą, niezależnie od tego, czy dobrze bawią się na naszych występach, czy skazują nas na śmierć. Po prostu nie mamy dla nich znaczenia.

– De Berenguar wciąż opowiada o pięciu winnych i jednym niewinnym. To jego największy śledczy triumf.

– Być może – zgodził się mag. – Ale idę o zakład, że znaczenie ma dla niego sama historia, a nie człowiek, który za nią stoi. Zresztą jakie mam wyjście?

– Może pan zrezygnować – podsunął Jordan, choć obaj wiedzieli, że Gaston Benicoeur zabrnął za daleko, by teraz się wycofać. Mężczyzna nie zamierzał nawet odpowiadać, wzruszył tylko ramionami i zapatrzył się w okno. Domenic nadal nie dostrzegał w nim żadnej ekscytacji, żadnej oznaki, że to człowiek, którego najważniejszy plan właśnie miał się spełnić. Chęć zemsty wypaliła się gdzieś po drodze, być może zniknęła razem z odejściem Agnes albo śmiercią Perpinyi. Ukazanie wicehrabiego nie miało już przynieść satysfakcji, a mimo to mag nadal zdecydowany był to zrobić, bo gdyby zrezygnował, musiałby tym samym przyznać, że zmarnował ostatnie dwadzieścia lat, nie mówiąc już o poświęceniu kobiety, która go kochała.

– Może pan także opowiedzieć mi swoją wersję tej historii – dodał Jordan, a Gaston skrzywił się.

– Po co? Chce pan, żebym błagał o litość? Nic z tego, dość mam padania na kolana przed takimi jak pan. I tak opowie pan o wszystkim de Berenguarowi, jesteście przecież z jednej sitwy. Szlachcic zawsze będzie trzymał ze szlachcicem, tak jak pies trzyma z psem. Ale – w oczach maga pojawił się chytry błysk i Jordan na chwilę ujrzał mężczyznę, jakim Gaston jeszcze do niedawna był: tego, który przez lata cierpliwie niczym przędący sieć pajak planował zemstę – wcale nie jest powiedziane, że wicehrabia panu uwierzy, w końcu nie ma pan nic oprócz domysłów.

– Nie chcę, żeby błagał pan o litość. Po prostu jestem ciekaw, jak ta historia wygląda z pana punktu widzenia.

– Mam lepsze rzeczy do roboty niż zaspokajać pańską ciekawość – burknął mag.

Prawda wyglądała jednak tak, że nic innego do zrobienia nie miał, a niemal wszyscy lubią o sobie mówić – Jordan zrozumiał to jeszcze jako bardzo młody człowiek. Gaston Benicoeur wiedział, że najprawdopodobniej nie dożyje końca dzisiejszego dnia, i chciał, żeby przed śmiercią ktoś wysłuchał tragicznej historii jego życia. A to, że jedynym dostępnym słuchaczem był członek znienawidzonej klasy społecznej, traciło znaczenie z każdą przejechaną przez powóz milą.



Urodziłem się w Czarnej Pięć – to taka malutka miejscina na północy, sam koniec niczego, właściwie nawet bardziej ogrodzona murami wioska niż prawdziwe miasto. Mój ojciec był weteranem wojennym, w bitwie pod Arwynhy stracił wzrok i nogę aż do kolana. Matka przez większość czasu sama utrzymywała zakład folusznicy, kiedy tatko chodził pić do karczmy. W domu się nie przelewało, w końcu była nas piątka dzieciaków do wykarmienia. I jakoś tak się złożyło, że prawie wszyscy odziedziczyliśmy ojcowską skłonność do włóczęgostwa. Najstarszy brat, jak skończył trzynaście lat, uciekł na morze, drugi rok później poszedł do wojska, jedna siostra chciała zostać tancerką, ale skończyła jako tania kurwa. Druga tylko była normalna, za męża wyszła zwyczajnie, domem się zajmowała. Ja urodziłem się ostatni, więc matka chuchała na mnie i rozpieszczała, żebym tylko spokojnie na tyłku siedział. Kochała mnie tym bardziej, że od małego słabowity byłem i męczyła mnie choroba. Różnie ją nazywali: epilepsją, płasawicą, a byli i tacy, co mówili o opętaniu. Mniejsza z tym. Tak czy inaczej, wyszło na to, że ani lekarz, ani ksiądz nie potrafili mi pomóc. Matka długo szukała mistrza, który wziąłby mnie do terminu, i w końcu

zgodził się złotnik. Zręczne ręce miałem, to i dobrze sobie radziłem. A potem upomniała się o mnie nasza rodzinna klątwa, zła krew, jak mówiła matka.

Było to na tydzień przed egzaminem mistrzowskim, kiedy do Czarnej Pięty zjechali komedianci. Jedną z aktorek była Marietta, piękna, jasnowłosa, wysoka i wiotka jak wierzba. Trzy razy przychodziłem na przedstawienie, żeby tylko na nią popatrzeć, i nim minął dzień, byłem już zakochany. Zaproponowałem jej małżeństwo, ona zaproponowała mi, żebym z nią uciekł. Wstyd powiedzieć, ale nie zastanawiałem się, tylko spakowałem do torby trochę rzeczy i zniknąłem. Nawet rodziców nie pożegnałem. Życie na gościńcu było ciężkie: często nie mieliśmy co do gęby włożyć, czasem po wsiach szczuli nas psami albo oskarżali o roznoszenie chorób i nie wiadomo jakie bezceństwa. Mimo to nigdy nie żałowałem. Z Mariettą było mi dobrze, nauczyłem się żonglować i pokazywać proste sztuczki, grałem też w rolach, które nie wymagały za dużo mówienia. Nie pchaliśmy się na południe, gdzie konkurencję stanowiły lepsze trupy, tylko krążyliśmy po naszych rodzinnych prowincjach i to na razie nam wystarczało. Najczęściej występowaliśmy w małych miasteczkach, rzadziej w większych, jeszcze rzadziej zdarzało się, że jakiś wielmoża zapraszał nas do siebie na zamek. Tego nie lubiłem najbardziej – niby pieniądze z takich występów mieliśmy duże, ale zawsze trzeba było kłaniać się w pas, czapkować, powtarzać „tak, panie” i „nie, panie”, podczas kiedy tamci patrzyli na nas jak na psie gówno.

Pewnego dnia przyjechał konno chłopak i powiedział, że mamy wystąpić dla wicehrabiego de Berenguar oraz jego ośmioletniej córki. Był luty, ziąb taki, że w nocy owijaliśmy się naszymi scenicznymi strojami i spaliśmy w największym wozie przytuleni do siebie jak przebrane na karnawałową zabawę dzieci. Brakowało jedzenia, ostatni ciepły posiłek, zająca schwytanego w sidła, zjedliśmy trzy dni wcześniej. Caterina próbowała wygrzebać ze zmarzniętej ziemi jakieś korzenie, ale tylko poraniła sobie palce. Pamiętam jej płacz, kiedy leżała

obok mnie pod królewskim płaszczem z fałszywego złotogłowiu i myślała, że wszyscy śpimy. Była najmłodsza, ledwo skończyła piętnaście lat. Wcześniej miała krągłe, rumiane policzki, teraz jej skóra przypominała woskowy papier, a kiedy pochylała się nad ogniskiem, widziałem pod cienką sukienką wszystkie żebra. I nie uśmiechała się już. Na szlaku śmierć idzie za aktorami krok w krok, ale nigdy nie wyczuwałem jej tak wyraźnie jak tamtej zimy. Dostrzegałem ją w wielkich, przerażonych oczach Cateriny, w rechocie Josepa, który chował przed nami butelki i upijał się każdego wieczoru, nawet w łagodnym głosie mojej Marietty.

Dlatego właśnie zaproszenie od wicehrabiego było dla nas wybawieniem, a przynajmniej tak wtedy myśleliśmy. Zapomniałem o swojej niechęci do arystokratów i gotów byłem całować tego łajdaka po rękach, byleby tylko dał nam jeść. Posiłek i ciepły kąpiel do spania, choć na jedną–dwie noce, niczego więcej nie potrzebowaliśmy.

Przyjechaliśmy na zamek późnym popołudniem, kiedy słońce właśnie zachodziło. Pamiętam, że jego blask odbijał się w śniegu na murach, a ja pomyślałem sobie, że takie piękno musi być dobrym znakiem, że teraz nasz los się odmieni. Pozwoliłem sobie nawet na marzenia – że zachwycimy naszym występem wicehrabiego, on sypnie groszem, a my, ośmieleni, powędrujemy wreszcie na południe, gdzie będą czekały na nas sława i pieniądze.

Dostaliśmy tego wieczoru wielką miskę kaszy ze skwarkami i dzban grzanego wina. Gdy zjadłem, stanąłem przy oknie i wyjrzałem na zewnątrz. Pomyślałem, że tak mógłby wyglądać raj: cichy i biały, z blaskiem pochodni tańczącym na zmarzniętym śniegu.

A potem wicehrabia znowu przysłał chłopca, który powiedział, że Caterina ma iść z nim. W głębi duszy chyba wszyscy wiedzieliśmy, co się stanie, ale oszołomieni winem, z pełnymi żołądkami, nie chcieliśmy o tym myśleć. Tego właśnie najbardziej się wstydzę – że wolałem udawać, że wszystko jest w porządku, nie widzieć ani nie słyszeć zła.

Caterina odwróciła się jeszcze w progu i spojrzała na nas, jakby chciała poprosić o pomoc, ale nie powiedziała nic.

Wróciła po północy cała we łzach, w potarganym ubraniu, a my nie musieliśmy nawet pytać, by wiedzieć, że de Berenguar wziął ją siłą. Powiedziała, że na początku prosiła i próbowała stawiać opór, ale on tylko śmiał się i mówił, żeby zaczekała, że na pewno jej się spodoba. Bała się, więc pozwoliła mu robić, co tylko chciał. Kiedy skończył, poklepał ją po policzku i oznajmił: „Widzisz, nie było tak źle, wiedziałem, że będzie ci się podobało”. Potem dodał, że nigdy jeszcze nie miał tak chudej dziewczyny, to zupełnie nowe doświadczenie, a on ceni sobie nowe doświadczenia. I że tak właśnie Caterina powinna potraktować tę noc – jako doświadczenie, które nauczyło ją, jak być prawdziwą kobietą.

Czuliśmy się wtedy, jakby nas ktoś zanurzył w szambie. Brudni, upodleni własnym strachem i bezradnością. Caterina płakała, a my potrafiliśmy tylko mówić słowa, które tak naprawdę nie miały znaczenia. Nie byliśmy mężczyznami, tylko stadem kulących się pod miotłą myszy. Chyba każdy z nas zrozumiał to tamtej nocy. Josep zaproponował, żeby iść i poderżnąć łajdakowi gardło, kiedy będzie spał, ale nawet on nie wierzył, że się na to zdobędziemy.

Byliśmy nikim i nie mogliśmy zrobić nic. Wicehrabia wziął jedną z nas jak zabawkę, a potem wyrzucił. Byłem pewien, że nawet nie wspomni o tym w czasie niedzielnej spowiedzi. Dlaczego miałby wspominać? Dla niego to nie był grzech, on jedynie skorzystał z tego, co jego zdaniem przysługiwało mu z racji urodzenia.

Tej nocy dostałem ataku silniejszego niż zazwyczaj i resztę znam z opowieści. Wczesnym rankiem Josep wyszedł, żeby wysikać się pod murem, i zauważył córkę de Berenguara biegającą wokół ognia na podzamczu. Z jakiegoś powodu dziewczynka była całkiem sama, bez pilnującej jej bony. Josep wrócił więc i powiedział, że to jest nasza szansa, teraz możemy się zemścić. Powie pan, że to podłe mścić się na dziecku za łajdactwa ojca, ale potrzebowaliśmy zrobić cokolwiek,



inaczej obrzydzenie do samych siebie rozerwałoby nam gardła. Zresztą nie mieliśmy zamiaru skrzywdzić tej małej, chcieliśmy tylko trochę ją nastraszyć. Założyliśmy maski – mówię „my”, choć mnie tam nie było, zawsze jednak czułem się, jakbym wtedy poszedł ze wszystkimi. Zawsze żałowałem, że nie poszedłem, i przeklinałem moją chorobę. Będę więc nadal mówił „my”. My założyliśmy maski, my wymknęliśmy się w tamten mroźny poranek na podzamcze i my otoczyliśmy córkę hrabiego kołem, mówiąc jej, że jesteśmy groźnymi potworami, że ją zabijemy, rozerwiemy jej brzuch, a potem będziemy chłeptać gorącą krew. Na co liczyliśmy? Że dziecko naprawdę uzna nas za potwory? Że nawet jeśli rozpozna ludzi, ze strachu będzie siedziało cicho? Że jeśli mała opowie o wszystkim ojcu, ten nie domyśli się, kto zaatakował jego córkę? Nie wiem, najprawdopodobniej w tamtej chwili nie myśleliśmy w ogóle. Pragnęliśmy tylko zemsty, choćby tak głupiej, tak dziecinnej jak ta.

Może pan się domyślić, co było dalej. Dziewczynka wyrwała się i uciekła, a my dopiero wtedy uświadomiliśmy sobie, co właściwie zrobiliśmy i jakie niebezpieczeństwo nam grozi. Marietta ocuciła mnie i zaczęliśmy pakować w pośpiechu rzeczy z nadzieją, że nim zamek na dobre się obudzi, zdołamy uciec. Nie zdążyliśmy, oczywiście, złapali nas tuż przed bramą. Sześciu pachołków uzbrojonych po zęby, jakby szli na leśnych bandytów, zaprowadziło nas do lochów. Jeszcze tego samego dnia odbył się proces, który tak naprawdę był farsą. De Berenguar odgadł, że jako jedyny nie brałem udziału w ataku na jego córkę, i postanowił puścić mnie wolno. Prosiłem, błagałem, żebym mógł umrzeć razem z Mariettą i pozostałymi, ale on nie słuchał. Powiedział, że to jest właśnie sprawiedliwość, a on nigdy nie bywa okrutny.

Kiedy dwóch pachołków wyprowadziło mnie za bramę, odwróciłem się, żeby jeszcze raz spojrzeć na kobietę, która oficjalnie nigdy nie była moją żoną, ale którą za taką zawsze uważałem. Marietta obracała się powoli na szubienicy, a drobny śnieg padał w jej martwe oczy. Obok wisiała Caterina z twarzą bardziej niż kiedykolwiek przypominającą

kartkę woskowego papieru, Josep i pozostali, którzy przez ostatnie dwa lata byli moją rodziną.

Wyszędłem z zamku, skręciłem w las i próbowałem powiesić się na drzewie, im wszystkim do towarzystwa, ale gałąź urwała się pod moim ciężarem. Uznałem to za znak, a może zwyczajnie byłem zbyt wielkim tchórzem, żeby spróbować jeszcze raz. Nie myślałem wtedy o zemście, liczyłem raczej, że jeśli po prostu pójdę przed siebie, to śmierć sama się o mnie upomni i zamarznię gdzieś na poboczu.

Jakimś cudem jednak udało mi się dotrzeć do najbliższego miasta, a tam, również niezwykłym zbiegiem okoliczności, spotkałem trupe aktorów, którzy przyjęli mnie do siebie. Wszystko to uznałem za kolejne znaki. Ktoś chciał, żebym żył.

Zacząłem więc planować zemstę, a Perpinya mi w tym pomagała. Biedaczka naprawdę bardzo mnie kochała, może dlatego, że zaopiekowałem się nią, kiedy jej mąż padł na scenie nosem w talerz z fałszywą dziczyzną, a może tak po prostu, bez żadnego powodu. Ja nie potrafiłem już nikogo kochać, ale przynajmniej starałem się być dla niej dobry. Nie zawsze mi wychodziło, czasem moja zła krew brała górę, jednak Perpinya zawsze wszystko mi wybaczała.

O klatce opowiadałem dużo różnych kłamstw – że dostałem ją od pustelnika, któremu ocalałem życie, albo że podarował mi ją sam diabeł na rozstajach. Prawda jest taka, że wygrałem ją w karty od pewnego człowieka. On był już stary, śmieć wyglądała mu z oczu i chyba nawet specjalnie ze mną przegrał. Szukał kogoś, kto przejąłby po nim tajemnicę, a ja nadawałem się do tego najbardziej. Kiedy tylko dowiedziałem się, do czego klatka służy, od razu pomyślałem, że wykorzystam ją w moim planie zemsty. Nawiasem mówiąc, klatka naprawdę jest uczciwa – niewinny człowiek może do niej wejść i nic mu się nie stanie, tylko grzesznicy znikają. To sprawiedliwość, dokładnie taka, o jakiej mówił de Berenguar. Nie zwykła, prymitywna zemsta, tylko sprawiedliwość. Skoro wicehrabia tak dużo o niej mówi, niech sam pozna jej smak. Nie wydaje się to panu właściwe, panie Jordan?



Kończąc, Gaston wychylił się w stronę współpasażera. Jego oczy błyszczały, a po niedawnej obojętności nie było śladu.

Niestety, Jordan musiał go rozczarować.

– Nie sądzę, żeby podobała mi się sprawiedliwość klatki. Jakie grzechy na sumieniu mógł mieć student, który do niej wszedł? Lenistwo, kłamstwo, drobną nieuczciwość? A inni ludzie? Naprawdę uważa pan, że zasługiwali na to, co ich spotkało? Przy takim założeniu zniknąć powinno jakieś dziewięćdziesiąt procent Okcytańczyków.

Mag cofnął się, zaciskając usta. Blask w jego oczach zgasł, a cała twarz, wcześniej otwarta, teraz zamknęła się jak zatrzaśnięte podmuchem wiatru drzwi.

– Tak, podejrzewałem, że właśnie coś takiego pan powie – mruknął.  
– Głupiec ze mnie, że w ogóle próbowałem.

Koła powozu zaturkotały na podjeździe. Gaston wyjrzał przez okno, a potem odwrócił się w stronę Jordana.

– Zakładam – powiedział – że pójdzie pan teraz do wicehrabiego i o wszystkim mu opowie?

– Pójdę teraz do wicehrabiego i wszystko mu opowiem – potwierdził Domenic. – Nie mogę zrobić niczego innego.

– Jedna sitwa, co? – Mag zaśmiał się gorzko. – Dokładnie tak, jak mówiłem. Pies zawsze będzie trzymał z psem, a arystokrata z arystokratą.

Powóz zatrzymał się, ale Gaston nawet nie drgnął. Nie będę błagał, powiedział, teraz jednak w całym jego napiętym ciele była prośba wyraźniejsza niż każde słowa. Jordan milczał, aż w końcu mag zdecydował się nagle, szarpnął drzwiczki powozu i wysiadł. Od strony domu już biegło do nich dwóch służących.

– Chwileczkę – zatrzymał go Jordan.

Mag odwrócił się, nadzieja w jego oczach rozbłysła na chwilę krótką jak uderzenie serca.

– Czy kiedykolwiek sprawdził pan własną niewinność? Wszedł pan do klatki?

Wielki Gaston nie odpowiedział, ale też Jordan wcale odpowiedzi nie oczekiwał. I tak ją znał – wiedział, że mag nigdy się na to nie odważył.



Na fasadzie domu płonęły już pochodnie, choć mrok dopiero zaczynał gęstnieć, zmiękczając kontury i spowijając świat purpurowoszarymi cieniami. W ciepłym, letnim powietrzu unosił się słodki zapach kwiatów, a o niedawnych deszczach świadczyły tylko rozlewające się na podjeździe głębokie kałuże, nad którymi krążyły roje komarów.

Jordan przeskoczył jedną z nich i wszedł do domu. Nigdy wcześniej tu nie był, ale salę, w której miało odbyć się przedstawienie, rozpoznał bezbłędnie – dobiegały stamtąd śmiechy i dźwięki pianina, na którym ktoś grał skoczną piosenkę.

W drzwiach próbował zatrzymać go służący, najwyraźniej zdumiony nietypowym wyglądem gościa, ale Jordan zbył go niecierpliwym gestem. Przeznaczona na trzydzieści, może czterdzieści osób sala była już pełna, a gdy Domenic wszedł, wszystkie spojrzenia odruchowo skierowały się na niego. Nawet siedząca przy pianinie kobieta przestała grać i odwróciła się w stronę nowo przybyłego.

– Don Domenic. – Dñna Tanzeda jako pierwsza odzyskała głos. – A więc jednak przyjął pan zaproszenie.

Podeszła bliżej i bez skrępowania powiodła wzrokiem po całej postaci Jordana – od rany na czole aż po opuchniętą dłoń.

– Wygląda pan... niezwykle – powiedziała, unosząc brwi.

Na scenę, gdzie stała już klatka, wszedł wicehrabia de Berenguar.

– Proszę państwa o chwilę uwagi – zaczął, po czym zawahał się, gdy jego wzrok padł na Jordana. – Don Domenic zdecydował się do nas dołączyć, doskonale. Za chwilę będziemy mieli możliwość obejrzeć słynną sztuczkę zwaną „Grzesznikiem w klatce”. Wielki Gaston zgodził się ją dla nas wykonać.

Na scenie pojawił się mag. Na widok Jordana drgnął lekko, ale zaraz odwrócił spojrzenie i skłonił się publiczności. Jego pocerowana koszula i szara cera wyglądały niemal niestosownie w tym pomieszczeniu pełnym elegancko ubranych, zarumienionych od szampana ludzi.

– Nie przyszedłem tu, żeby podziwiać sztuczki – powiedział szorstko Jordan. – Ta klatka naprawdę jest magiczna. Jeśli grzesznik do niej wejdzie, zniknie na zawsze.

– Przecież wszystko zostało już wyjaśnione. – De Berenguar zmarszczył brwi. – A moi służący wchodzili do klatki i nic się nie stało.

– Dopiero ogień uaktywnia zaklęcie. – Jordan wskoczył na scenę. Oczy zebranych przesuwwały się od niego do hrabiego i z powrotem. Mag wycofał się w cień i czekał tam cierpliwie jak przyczajony pająk. – Muszę przyznać – kontynuował Domenic – że Wielki Gaston to zdumiewający człowiek. Oszukał mnie, oszukał całą alestrańską policję, udało mu się oszukać nawet pana, wicehrabio.

De Berenguar zamachał pulchnymi białymi rękami.

– Głupstwa pan wygaduje, don Domenicu. Sam pan przecież rozwiązał tę sprawę.

– Pomyliłem się – przyznał Jordan. – Pan również popełnił błąd tamtego wieczoru, kiedy bawiliśmy się w zgadywanki. Wielki Gaston przechytrzył nas obu.

– Nonsens, ja nigdy się nie mylę. Zorientowałbym się, gdyby cokolwiek w tej sprawie budziło wątpliwości. Obawiam się, że w tym przypadku, don Domenicu, przechytrzył pan jedynie sam siebie.

Na widowni ktoś zaśmiał się cicho, ale zaraz umilkł. Wicehrabia odprężył się odrobinę.

– To rozumiałe, że szuka pan jak najbardziej skomplikowanych rozwiązań – ciągnął pobłażliwym tonem. – Jest pan trochę jak lekarz, który chciałby rozpoznawać wyłącznie bardzo rzadkie choroby, bo to łączy jego zawodową próżność. Ale ta sprawa jest wystarczająco skomplikowana i bez dodatkowego udziwniania.

Tym razem śmiech trwał dłużej i był głośniejszy. Zadowolony de Berenguar skłonił się lekko w stronę publiczności.

– Poza tym dlaczego właściwie Wielki Gaston miałby kogokolwiek oszukiwać? Zwłaszcza jeśli narażał przy tym sam siebie? Jaki człowiek spędziłby dobrowolnie choć dzień w lochach Świętego Oficjum?

Domenic Jordan zaczął odpowiadać, ale zniecierpliwiony wicehrabia przerwał mu w połowie.

– To wszystko bzdury. Panie Gaston, pokaż się pan, niech no sobie obejrzymy tego genialnego złoczyńcę.

Mag wysunął się z cienia. W oczach miał łzy, ręce mu się trzęsły. Nie wyglądał w tej chwili na złoczyńcę, tym bardziej genialnego. Przez salę przetoczyła się następna fala śmiechu i Jordan pojął, że hrabia zdobył kolejny punkt przewagi.

– Nie wiem, o czym ten człowiek mówi, panie – wyjąkał Wielki Gaston. – Uparł się, żeby ze mną przyjechać, a teraz cały czas mnie oskarża. Jestem niewinny, przysięgam, moja klatka nigdy nikomu nie zrobiła krzywdy. Nie mogę zdradzić jej tajemnicy, ale zapewniam, że...

– Wierzę ci, dobry człowieku. Możesz już przestać.

– Proszę przyjrzeć mu się dokładnie. – Jordan spróbował jeszcze raz.

– Nie poznał go pan, bo minęło dwadzieścia lat, ale to przecież człowiek, którego puścił pan wolno. Słynna sprawa pięciu winnych i jednego niewinnego, o której pan niedawno opowiadał, pamięta pan?

– Mam doskonałą pamięć do twarzy i jeśli nie rozpoznałem tego mężczyzny, to znaczy, że nigdy wcześniej go nie widziałem – uciął de Berenguar.

– Chcę jedynie...

– Jeśli pan Jordan nie ma zamiaru się dzisiejszego wieczora bawić, to najwyższa pora, żeby opuścił nasze towarzystwo. I tak zmarnowaliśmy już wystarczająco dużo czasu, a Wielki Gaston z pewnością czeka niecierpliwie, żeby zadziwić nas swoją sztuką. – De Berenguar skinieniem dłoni przywołał stojących pod ścianą służących, którzy chwycili Jordana z dwóch stron. – Proszę, zapewnijcie don Domenicowi bezpieczny powrót do domu.

– Pożaluje pan tego. – Jordan szarpnął się, tłumiąc krzyk, kiedy jeden z mężczyzn wykręcił mu rękę z połamanymi palcami. Służący trzymali mocno. Obaj byli rośli jak dęby, z szerokimi barami i zaciętymi, obojętnymi twarzami ludzi, którzy ślepo słuchają rozkazów. Wicehrabia najprawdopodobniej nie po raz pierwszy używał tej pary do takich zadań. – Wielki Gaston to oszust i morderca!

Wyprowadzany Domenic kątem oka zobaczył błyszczące oczy maga, a potem, już w progu, dobiegł go głos wicehrabiego: – Mam nadzieję, że ten drobny incydent nie zepsuje państwu wieczoru...



Pozostałą część tej historii znał tylko z opowieści.

Gdy służący wraz ze swoim więźniem zniknęli za drzwiami, de Berenguar zaproponował po kieliszku szampana, co rozluźniło nieco napiętą atmosferę. Potem pokojówka zgasiła część świec, widzowie zajęli swoje miejsca i rozpoczęło się przedstawienie. Wielki Gaston stanął na środku sceny, ponownie zapewnił, że jego sztuczka jest całkowicie bezpieczna, po czym oznajmił, że jeszcze nikomu, kto wszedł do klatki, nie udało się odgadnąć jej sekretu, i jeśli ktoś na tej sali zdoła tego dokonać, mag podaruje śmiałkowi klatkę.

– Jestem już stary – zakończył – a ostatnie doświadczenia przekonały mnie, że pora poszukać sobie spokojniejszego zajęcia. To mój ostatni występ, mam więc nadzieję, że szlachetni państwo będą się dobrze bawić.

Nagrodzono go brawami, a wicehrabia natychmiast zgłosił się na ochotnika i wszedł do klatki. Gdy specjalnie poinstruowany służący wciągnął ją pod sufit, Wielki Gaston z namaszczeniem odegrał spektakl „maga wykonującego czarodziejską sztuczkę”. Wszystko to było dość tandetne (zdaniem dżny Tanzedy) albo naprawdę przerażające (słowa dżny Estelli), lecz nawet krytykujący nie mogli zaprzeczyć, że gdy Gaston Benicoeur skończył mówić, publiczność wstrzymała oddech i w sali zapadła doskonała cisza.

Potem mag dramatycznym gestem wyrzucił ramiona w górę, klatka stanęła w płomieniach, a kiedy ogień zgasł, okazała się pusta.

Natychmiast zerwał się huragan braw, na który Gaston zareagował głębokim ukłonem. Trwało to chwilę, mag się kłaniał, publiczność klaskała. Potem stopniowo brawa cichły, a widzowie rozglądali się, licząc najwyraźniej, że lada moment uśmiechnięty wicehrabia pojawi się na scenie. Gdy nic takiego się nie wydarzyło, w sali zaczęło rosnąć napięcie.

– To było okropne – skarżyła się później dżna Estella. – Nagle poczułam, jak coś łapie mnie za gardło, taki nagły strach. Przeczucie, że stało się coś strasznego. Bo co, pomyślałam sobie, jeśli pan Jordan jednak miał rację? Jeśli próbował ostrzec tego biedaka, a my nie chcieliśmy go słuchać?

Ktoś próbował żartować, ale większość zebranych domagała się, żeby mag pokazał im wicehrabiego, całego i zdrowego. W odpowiedzi Wielki Gaston skłonił się raz jeszcze. Według jednych wyglądał na triumfującego, według innych raczej na smutnego i pogodzonego z losem. Jeden z młodszych mężczyzn wskoczył na scenę, by zażądać od maga wyjaśnień, ten jednak natychmiast cofnął się do klatki, którą w



międzyczasie służący zdążył z powrotem opuścić. Gaston zatrzasnął za sobą drzwiczki, a młodzieniec potrząsnął prętami.

– Proszę się odsunąć – powiedział mag spokojnie. – Jeśli nie chce mieć pan spalonych rąk.

Arystokrata oczywiście nie posłuchał. Wówczas Wielki Gaston uniósł ręce i klątkę spowiły płomienie. Młody człowiek odskoczył z okrzykiem bólu, ogień zgasł.

Klatka znowu była pusta.



– To niezwykley mechanizm – powiedział Jordan, wchodząc do wnętrza klatki. Biskup Malartre oraz brat Ancelmes obserwowali go uważnie. – Przedstawiciele Świętego Oficjum szukali wyrytych w metalu słów, ale nie wpadli na to, żeby połączyć ze sobą otwory, którymi doprowadzane jest paliwo. A jeśli ktoś to robi, zobaczy, że te niewielkie dziurki tworzą litery greckiego alfabetu. W ten właśnie sposób zostało wypisane zaklęcie, które uaktywnia się, kiedy płonie ogień. I dzięki któremu w klatce znikają ludzie.

– Bardzo sprytnie pan to wymyślił. – W głosie brata Ancelmesa zabrzmiała lekka ironia. – Szkoda tylko, że tak późno, uniknęlibyśmy dwóch niepotrzebnych śmierci. Może nawet trzech, jeśli pomagający przy przedstawieniu służący zostanie skazany.

– Rozmawiałem dziś z porucznikiem Magatou i wiem, że służący został już zwolniony – sprostował Jordan. – To jakiś biedny idiota, który usłyszał, że ma ciągnąć za wajchę za każdym razem, kiedy mag na scenie uniesie ręce, i po prostu zastosował się do poleceń. Nie chciał nikomu zrobić krzywdy, a policja nie dopatrzyła się w nim winy.

– Hrabia zginął i jakże dogodnie nie da się nikogo pociągnąć do odpowiedzialności. – Brat Ancelmes świdrował Jordana spojrzeniem

ciemnych oczu. – Służący jest niewinny, Wielki Gaston sam przepadł bez wieści, a do pana, don Domenicu, można mieć pretensje jedynie o to, że zbyt wolno pan myślał.

– Przykro mi. Najwyraźniej nie jestem tak bystry, jak wiele osób zakłada.

Zakonnik przyjął wyjaśnienie z lekkim ukłonem, a pochylenie głowy ukryło błysk w jego oczach.

– Zastanawiam się, czy nie wzięłby pan udziału w małym eksperymencie, don Domenicu – powiedział po chwili. – Powiedzmy, że uruchomilibyśmy zaklęcie. Czy miałby pan odwagę wtedy wejść do klatki?

– Obawiam się, że nie – odparł Jordan lekko. – Straszny ze mnie grzesznik.

– Tak myślałem. – Twarz Ancelmesa pozostała poważna. – Jego Ekscelencji, rzecz jasna, nawet nie ośmielę się spytać...

– To dobrze, że brat nie ośmiela się pytać. – Ipolit Malartre spojrział na zakonnika wyniośle. – Poza tym przypominam, że używanie magicznych przedmiotów jest sprzeczne z naukami Kościoła.

– Oczywiście, klatka zostanie zniszczona jak najszybciej. To była jedynie niewinna spekulacja. Pan Jordan z pewnością rozumie moją ciekawość.



– Dwie osoby zniknęły – powiedział Ipolit Malartre, gdy wraz z Jordanem siedzieli już w biskupim powozie. – Ancelmes ma rację, mówiąc, że dałoby się uniknąć tej tragedii.

– Próbowałem ostrzec hrabiego – zaprotestował Domenic. – Niestety, nie chciał mnie słuchać.

– Znałeś go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że to człowiek bardzo próżny i czuły na punkcie swojej inteligencji. A ty zaczęłeś od tego, że przy wszystkich jego gościach kazałeś mu przyznać się do popełnienia błędu.

Jordan uśmiechnął się.

– To bardzo cenna umiejętność. Sam staram się ją praktykować, choć przyznaję ze skruchą, że czasem zdarza mi się zapominać.

– Powiedziałeś hrabiemu, że został oszukany, że Wielki Gaston okazał się sprytniejszy od was obu. W takiej sytuacji de Berenguarowi nie pozostało nic innego, jak tylko upierać się przy swoim.

Jordan uniósł brwi.

– Sugeruje ojciec, że podstępem skłoniłem go, żeby zaufał magowi i wszedł do klatki?

– A było tak?

– Nie. Staralem się ze wszystkich sił przekonać hrabiego, ale okazał się uparty jak osioł. Mam na to ze trzydziestu świadków.

Jego Ekscelencja skrzywił się tak lekko, że prawie nieostrzegalnie.

– Wiem, słyszałem tę opowieść kilka razy od różnych osób. Wszyscy twierdzili, że zaskakująco łatwo pozwoliłeś się wyprowadzić z sali. Jesteś kiepskim aktorem, Domenicu, choć przyznaję, że dla odmiany całkiem niezły z ciebie kłamca. Kiedy teraz zaprzeczyłeś, nawet powieka ci nie drgnęła. Nie wiem, dlaczego uznałeś, że hrabia powinien wejść do tej klatki. Może miał na sumieniu grzechy, o jakich nie mam pojęcia. Ale wymierzanie sprawiedliwości na własną rękę jest bardzo niebezpiecznym zwyczajem.

– Robiłem to już wcześniej, zresztą za zgodą ojca.

Biskup pokręcił głową.

– Nie w taki sposób. Wtedy chodziło o magię albo demony. Wicehrabia de Berenguar był zwyczajnym człowiekiem.

– A poza tym szlachcicem.

– A poza tym szlachcicem – przyznał Jego Ekscelencja bez cienia uśmiechu. – Lubię cię, Domenicu, i przywykłem ufać, że wiesz, co

robisz, ale moje zaufanie ma swoje granice. Chcę, żebyś to wiedział.

– Nigdy o tym nie zapominam. – Powóz zatrzymał się i Jordan wysiadł, zostawiając w powozie biskupa, którego czoło przecinała pionowa zmarszczka.



Resztę drogi do domu przebył pieszo, bo pogoda była piękna, zupełnie jakby sierpień postanowił wynagrodzić Alestrze to, co deszczami zepsuł lipiec. Kałuże na ulicach z każdą godziną stawały się płytsze, temperatura panowała idealna: ani za ciepło, ani za zimno, w sam raz na spacer.

Przechodząc przez most św. Geralda, Jordan zatrzymał się na moment i spojrzał w nurt Mercii. Rzeka wciąż była wzburzona i niosła ze sobą żółte górskie błoto, ale wyglądało na to, że na dobre już wróciła do swojego koryta i mieszkańcy dzielnic takich jak Cambola mogli odetchnąć z ulgą.

Domenic nie myślał o rozmowie z biskupem. Była to jedna z tych kwestii, na które chwilowo i tak nie mógł nic poradzić, więc nie zaprzętał nią sobie głowy. Skupił się na problemie o wiele bardziej błahym, ale też pilniejszym.

Czy zatrudnić nowego służącego, czy może lepiej zatrzymać starego.

Idąc wzdłuż rzeki, rozważył wszystkie za i przeciw, po czym doszedł do wniosku, że pora na zmianę. To była ryzykowna decyzja – choć tym razem Jordan na szali stawiał nie życie, a własny majątek – jednak ryzyko mogło się opłacić, a Domenic nie byłby sobą, gdyby nie spróbował.

Podjąwszy decyzję, nie czekał z nią dłużej, tylko od razu po powrocie wezwał służącego. Vivian jak zawsze wszedł z godnością, z namaszczeniem celebrując każdy ruch, niemal jakby brał udział w

jakiejś religijnej ceremonii. Przypominał trochę ponurego sekretarza biskupa Malartre, co prawdopodobnie świadczyło o tym, że chłopaka czeka świetlana przyszłość. Niestety, przyszłość ta nie miała nic wspólnego z pracą dla Jordana.

– Od nowego tygodnia dostaniesz wypowiedzenie – oznajmił Domenic.

Vivian spoglądał na swojego pana nierozumiejącym wzrokiem. Po raz pierwszy stracił opanowanie, a Jordan zobaczył w służącym zwyczajnego siedemnastolatka.

– Ale... dlaczego? Co zrobiłem źle?

Domenic westchnął. Jak miał wytłumaczyć temu chłopcu – bo to jeszcze był chłopiec – że zwalnia go, ponieważ nie wykazał wystarczającej ciekawości?

– Nic nie zrobiłeś źle, jesteś doskonałym służącym. Ale ja nie potrzebuję doskonałego służącego, tylko kogoś, kto w razie potrzeby będzie moim towarzyszem.

– Robiłem wszystko, co pan kazał – poskarżył się Vivian.

– Wiem. Ale czasem to za mało. Nie martw się, napiszę ci takie referencje, że bez trudu znajdziesz nową posadę. Twoi rodzice będą z ciebie dumni. A teraz przynieś mi coś do jedzenia.

Chłopak nie wyglądał na pocieszonego – swoje pierwsze w życiu zwolnienie, choć okraszone pochwałą, musiał odebrać jako klęskę. Przełknął jednak pretensje, skłonił się nisko i wrócił do kuchni, by przygotować posiłek. Jordan zjadł, po czym wyszedł jeszcze na pół godziny. Nad rzeką miał spotkać się z następcą Viviana.

– Zobacz pan, że będzie ze mnie zadowolony – przekonywał gorliwie rudowłosy Simon. – Grałem kiedyś służącego na scenie i świetnie mi poszło. Poradzę sobie.

Jordan nie wierzył, że doświadczenie teatralne przełoży się na jakość wyprasowanych koszul czy sposób nakrywania stołu, niemniej uznał, że Simon jest wystarczająco bystry, by wszystkiego się nauczyć. Chłopak zapewniał, że ma dość jeżdżenia z aktorami oraz drobnych kradzieży, i

pod tym względem, choć ostrożnie, Domenic był gotów mu ufać. Bo Simon miał sporo zalet: znał miasto, był zręczny i wygadany, a jego zdolności aktorskie mogły się przydać. Poza tym w przeciwieństwie do Viviana cechowała go naturalna ciekawość. Oczywiście zawsze mogło się okazać, że złodziejskie skłonności jednak wezmą górę i pewnego dnia rudzielec zniknie razem z kompletem srebrnej zastawy. Jordan brał taką możliwość pod uwagę.

Zastał chłopaka, gdy przewieszony przez murek pluł do rzeki tak, aby jego ślina tworzyła na wodzie małe kółka. Na widok Jordana Simon wyprostował się gwałtownie.

– Prosił pan, żebym sprawdził, co się dzieje w Camboli, nie? O czym ludzie gadają i w ogóle. No to popytałem trochę i wyszło, że najpierw wszyscy byli wściekli, bo kiedy Mercia miała wylać, bogacze uciekli z miasta, a biedaków zostawili, żeby radzili sobie sami. Potem trochę ucichło, jak pojawiła się nowa święta.

– Nowa święta? – Jordan pomyślał, że Jego Ekscelencja nie będzie zachwycony. Święci stanowili element dość mocno chaotyczny i kiedyś w przypiływie szczerości Ipolit Malartre oznajmił Domenicowi, że Kościół radziłby sobie znacznie lepiej bez nich.

– Ano, specjalna od biedaków, rozumie pan. Podobno to ona powstrzymała powódź, w każdym razie tak wszyscy mówią. Na ścianie w kościele świętego Wita pojawił się jej obraz z dymu świec i teraz ludzie z Camboli się do niego modlą.

– Kościół świętego Wita to ten na wzgórzu po wschodniej stronie rzeki? – upewnił się Jordan.

– Chce pan tam iść?

Domenic skinął głową.

– Teraz?

– Dlaczego nie?

– W Camboli dalej nie lubią arystokratów – przypomniał Simon, a Jordan skrzywił się na wspomnienie kamieni, które poleciały w jego

stronę w dzień egzekucji. Dwa złamane palce, choć starannie złożone i unieruchomione, nadal bolały.

– Ale jeśli pan chce, możemy pójść razem – zaoferował łaskawie rudzielec. – W moim towarzystwie będzie pan bezpieczny jak dziecko w ramionach matki.



W drewnianym kościółku pachniało nie kadzidłem, nie dymem ze świec ani potem rozmodlonego pospólstwa, tylko kwiatami. Święty Wit tonął w powodzi świeżo rozkwitłych róż, które stały na ołtarzu i na ławkach, zatknięto je nawet za ramy obrazów.

Jordan wziął głęboki oddech i zaczął przepychać się w stronę prawej nawy, gdzie znajdował się wizerunek nowej świętej. Ludzie pomrukiwali za jego plecami, ale obecność rudowłosego wyrostka faktycznie łagodziła nastroje i Domenic bez większych problemów dobrnął do niewielkiej kapliczki. Wisiał w niej obraz Jana Chrzciciela, dość przeciętny i niespecjalnie zgodny z człowieczą anatomią. Nikt nigdy się nim nie interesował, aż do czasu, gdy dym z zapalonych pod obrazem świec czarnymi konturami wymalował na płótnie twarz łagodnej, zamyślonej kobiety. Jordan spoglądał teraz na rysy tej twarzy i czuł, jak na zmianę robi mu się to zimno, to znów gorąco.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, na kogo właśnie patrzy.

# ANATOMIA CUDU





# 0.

O świcie pokrywa chmur pęka, wpuszczając odrobinę słońca; niebo przypomina teraz żyłkowany różowo i złoto blok granitu. Dziewczyna wymyka się z domu i bosobiegnie na plażę. Jest ciemno i chłodno, zima jeszcze się nie skończyła, ale jej to nie przeszkadza – zawsze lubiła tę porę dnia, kiedy cały świat dopiero budzi się do życia. Fale mają ołowiany kolor, ledwo muśnięty pierwszymi promieniami brzasku, jest cicho, rybacy wciąż nie wrócili z nocnego połowu, mewy śpią w swoich gniazdach. Dziewczyna obserwuje, jak przez pęknięcie w niebie wlewa się coraz więcej światła. Jest piękne, powłóczyste i rozmigotane, jakby na ziemię zstępowały anioły w całej swojej chwale. Dopiero po chwili pojmuje, że właśnie to dzieje się naprawdę, jest świadkiem cudu, pada więc na kolana, prosto w gnijące wodorosty i muszle o ostrych krawędziach, które kaleczą skórę.

I z drżeniem czeka na spotkanie z Bogiem.



# 1.

Domenic Jordan stał oparty o niski murek okalający Dom Pielgrzyma i patrzył w morze. Dawno minęło południe, ale nadal panowało nieznośne gorąco. Spienione fale z cichym sykiem lizały białe kamienie plaży, a woda przy brzegu miała barwę zieleni tak przejrzystej, że doskonale widać było kształt leżących na dnie drobnych muszelek. Dalej, tam gdzie fale załamywały się w bryzgach piany, zaczynał się pas wodorostów i zieleń ciemniała do roziskrzonego słońcem granatu.

Był to piękny widok, lecz Jordan nie zatrzymał się tu, żeby podziwiać krajobraz. Jako prawdziwy człowiek gór nie przepadał za morzem, a czterodniowa podróż na pokładzie *Czarnej mewy* uświadomiła mu w nader nieprzyjemnych okolicznościach, że jest kiepskim materiałem na żeglarza. Stał przy murku z jednego powodu: w tym miejscu czuło się podmuchy słonego wiatru, mącące nieco duchotę czerwcowego dnia. W Okcytanii również zdarzały się bardzo gorące lata, tam jednak słońce nigdy nie było tak ostre, tak zabójcze jak tutaj. Nie dobroczynne ciepło, które pomaga wzrastać roślinom i pieści skórę, tylko morderczy żar, który zmienia strumienie w wąwozy pełne osypującego się pyłu, pali na pustyni kości nieostrożnych wędrowców i mąci umysł.

Jaskrawe światło ślizgało się po powierzchni wody, odbijało od białych kamieni na plaży i białych ścian Domu Pielgrzyma, a potem raziło w oczy, sięgając długimi kolcami bólu w głąb czaszki. Jordan, choć twarz przesłaniało mu rondo kapelusza, bezustannie mrużył powieki. Miał wrażenie, że znalazł się nagle we wnętrzu pieca do wytapiania szkła, który widział kiedyś w Romadzie. Zdjął już kaftan i chętnie podwinąłby także rękawy koszuli – powstrzymało go nie poczucie elegancji, bo z tego w tak wyjątkowych okolicznościach byłby gotów zrezygnować, ale świadomość, że przy swojej jasnej karnacji każdą

minutą spędzoną na słońcu ryzykował poparzenie. Na dłoniach już czuł charakterystyczne szczypanie, cofnął się więc w ażurowe podcienia budynku, znalazł sobie uplecione ze słomy krzesło i usiadł.

Akurat gdy to zrobił, pod Dom Pielgrzyma zajechał powóz, jeden z tych, które wynajmowało się w porcie. Posługacze natychmiast rzucili się, by wyładować bagaże i pomóc wysiąść wysokiej kobiecie o skórze koloru czekolady i afrykańskich rysach. Była młoda i ładna, choć zapewne nie dla kogoś, kto trzymałby się kurczowo europejskich kanonów piękna. Jordan przyglądał jej się przez chwilę bez skrepowania, korzystając z tego, że pozostawał dla nowo przybyłej niewidoczny, a kiedy kobieta wraz z bagażami zniknęła we wnętrzu Domu, przymknął oczy i spróbował wmówić sobie, że cieszy się chłodem. Jednak nawet w cieniu było gorąco, a zamiast powiewów słonego wiatru czuł teraz dolatującą od strony miasta woń kwiatów i płonących świec. Zapach świętości.

Uniósł powieki, słysząc stukot damskich trzewików. Przez rozgrzane słońcem płytki dziedzińca podążała ku niemu ubrana w czerń krępa staruszka. Zdyszana, opadła na krzesło obok Jordana i rozłożyła wachlarz.

– Jak się panu podoba nasz nowy gość, doktorze? – zapytała, wachlując się energicznie. – Dziwna kobieta, prawda?

– Nie wiem, nie miałem przyjemności jej poznać.

– Nikt nie miał. Biedaczka, nie mówi ani słowa po okcytańsku. – Dřna Catarina najwyraźniej uważała, że ludzie posługujący się jedynie berberyjskim nie zasługują na miano „kogoś”. Miała zresztą o tyle rację, że połowa cywilizowanego świata, a przynajmniej ta lepiej urodzona, okcytański znała doskonale. – Nazywa się Julia Augustina i podobno jest wdową, chociaż żałoby nie nosi. – W głosie starszej pani zabrzmiała nuta dezaprobaty. Ona sama dziesięć lat po śmierci męża wciąż ubierała się na czarno. – W każdym razie to by trochę wyjaśniało, czemu podróżuje samotnie. Ma pięć sztuk bagażu, co znaczy, że przybyła z daleka, prawda?

– Wie pani już, po co Julia Augustina tu przyjechała? – Domenic głęboko wierzył, że nieznamość miejscowego języka nie przeszkodzi starszej pani w zdobyciu i tej informacji.

– Jeszcze nie – dńna Catarina była granitowo odporna na ironię – ale się dowiem.

– Nie wątpię w to ani przez chwilę. – Domenic Jordan znowu zmarnował odrobinę kpiny.

– Myśli pan, że to dzikuska? Jedna z tych, które siedzą przy ognisku i ogryzają kości biednych misjonarzy?

Jordan przypomniał sobie nienaganny strój Julii Augustyny, jej melodyjny głos i lekki ukłon, jakim przywitała właściciela Domu. Czarnoskóra kobieta wydawała się wcieleniem harmonii i wdzięku, każdy jej ruch był pełen gracji, jakby urodziła się na królewskim dworze.

– Jestem pewien, że gdyby ta pani powzięła niechrześcijański zamiar zjedzenia misjonarza, zrobiłaby to przy pomocy noża i widelca, jak przystało na prawdziwą damę.

Dńna Catarina zamrugnęła zdziwiona, a potem zachichotała i uderzyła Jordana wachlarzem w ramię.

– Żartowniś z pana, co? Dobrze, że dopisuje panu poczucie humoru. Bo poza tym coś kiepsko pan wygląda. Dobrze się pan czuje?

– Nie przepadam za upałem.

– Mnie też męczy to gorąco. Może w takim razie wybierzemy się obejrzeć małego Titusa? W mieście powinno być chłodniej.

Jordan był pewien, że w murach Sour upał będzie dokładnie taki sam, a prawdopodobnie nawet większy. Mógł się wykręcić zmęczeniem, mógł też odmówić, nie używając żadnego wykrętu. Musiał jednak przyznać, że dńna Catarina raczej go bawi niż budzi w nim niechęć. Ciekawość, nawet w tak przyziemnej, rozplotkowanej formie, jaką reprezentowała, nie była cechą, którą potrafiłby potępić. A nowa znajoma miała jeszcze dwie ważne zalety: po pierwsze, naprawdę sporo wiedziała o ludziach mieszkających w Domu Pielgrzyma, po drugie zaś,

jak na swój wiek cieszyła się znakomitym zdrowiem. Jordan nie musiał się więc obawiać, że podczas wyprawy do miasta będzie go zadreć opowiadaniem o starczych dolegliwościach.

Poza tym i tak zamierzał obejrzeć Titusa – w końcu jak często ma się okazję zobaczyć chłopca, który powstał z martwych?



W położonym dziewięćdziesiąt mil od miejsca narodzin Chrystusa Sour ślepcy odzyskiwali wzrok, kalecy odrzucali kule, a osieroczone, obdarte dzieci ni stąd, ni zowąd zaczynały mówić językami albo pięknie grać na harfie. Nie było to jedyne takie miasto w Ziemi Świętej, gdzie łaska bywała częstsza niż deszcz, lecz Sour wyróżniało się tym, że nigdy żaden święty nie przyznał się do czynionych tu cudów. Jakakolwiek moc działała w tym miejscu, pozostawała anonimowa i nie brakowało ludzi, którzy głęboko wierzyli, że Bóg osobiście zainteresował się niewielką portową miejscowością.

Jordan myślał o tym, gdy wraz z dñną Catarinań szedł wąskimi uliczkami w stronę rynku – ona paplała pod koronkowym parasolem, on w milczeniu dzielił uwagę pomiędzy słowa towarzyszki a widoki miasta. Spalone na brąz półnagie dzieci z poważnymi twarzami proroków odprowadzały ich wzrokiem. W ich oczach widział biały żar, jak schwyte w lustro spojrzenie Boga, świecące odbitym blaskiem, ale nadal zdolne obracać miasta w gruzy. Wciąż było nieznośnie gorąco, a na bruku zalegała warstwa czerwonego pyłu, który przyniósł wiejący z nad pustyni wiatr. W drgającym powietrzu unosiła się jeszcze bardziej intensywna woń spalonych kwiatów i topniejącego wosku.

Dñna Catarina mówiła: – ...bo przecież w Domu Pielgrzyma mieszkają tylko dwa rodzaje ludzi. Tacy jak pan czy ja, którzy czekają na statek, albo ci, którzy przyjechali tu po cud, jak pan Radke i pan

Zekondin. Biedaczek był bardzo zdolnym kompozytorem, a teraz jest głuchy jak pień. Choć tak naprawdę bardziej współczuję jego żonie. Aż żał na nią patrzeć, jest taka młodziutka i śliczna, prawda?

– Gdyby była starsza i brzydsza, współczułaby jej pani mniej?

– Przecież wie pan, o czym mówię. – Dña Catarina niecierpliwie poruszyła wachlarzem, a potem zniżyła głos do konfidencjonalnego szeptu: – Ona nawet nie jest dobrze urodzona, zwyczajna służąca, z którą on się ożenił wbrew woli rodziny. Można by pomyśleć, że to szlachetny uczynek, ale podejrzewam, że naprawdę chodziło mu o znalezienie sobie kogoś, kim dałoby się pomiatać. Żony z dobrego domu nie mógłby tak traktować, jej ojciec czy bracia zaraz wybiliby mu z głowy podobne pomysły. A ta biedaczka nie ma nikogo, jest samiuśka na świecie. Nie uważa pan, że powinniśmy coś z tym zrobić?

– Z tym, że jest sama? – Jordan dostrzegł już rozbity na rynku namiot, przed którym zgromadził się rozmodlony tłum.

– Z tym, że on ją bije, oczywiście!

Na szczęście nie musiał odpowiadać, bo stojący przed namiotem białobrody starzec zaczął uderzać w gong. Wkrótce do jękliwych dźwięków dołączyły inne: głosy piszczałek, bębnów i pasterskich fletni. Była to dziwna muzyka, na pozór chaotyczna, jakby gromada dzieci dorwała się do wozu handlarza żelazem, ale mająca przy tym osobliwy rytm.

Starzec wykrzykiwał coś po berberyjsku. Zupełnie jak w cyrku przed występem kobiety z brodą, pomyślał Jordan, przypominając sobie, że wiara Numidyjczyków zawsze była bardziej pierwotna i ludowa. Tłum tłoczył się i napierał na przesłonięte płótnem wejście do namiotu, ludzie krzyczeli, wyrzucając w górę ręce, a niektórzy nawet mdleli – Jordan wolałby wierzyć, że z powodu upału, ale prawdopodobnie była to jednak ekstaza. On nie czuł ani odrobiny religijnego uniesienia, był tylko zmęczony, a od kociej muzyki puchły mu uszy.

Dña Catarina za to najwyraźniej znalazła się w swoim żywiole, bo złożyła parasolkę i posługując się ostrym końcem jak bronią, zaczęła



przepychać się przez ciżbę. Domenic podążył za nią, wątpiąc, czy kobiecie naprawdę się uda. Nie docenił jej, bo chwilę później stanęli przed białobrodym starcem, który nie trzymał już gongu, tylko miedzianą tacę. Dńna Catarina sięgnęła do sakiewki przy pasie i hojnie sypnęła srebrem, na co starzec zgiął się w głębokim ukłonie.

Weszli do namiotu, czego Jordan od razu pożałował, bo wewnątrz było duszno jak w łaźni – z dwojga złego wolał już suchy żar na zewnątrz niż to wilgotne gorąco przesycone wonią potu, kwiatów i świec. Na środku stało wysokie krzesło oplecione girlandami ostro pachnącego jaśminu. Siedział w nim piętnastoletni może wyrostek z dużą głową i cienkimi kończynami. Obok stała kobieta w białej sukni przypominającej nieco kapłańską szatę. Matka? Jordan założył, że tak. Znał przecież historię Titusa, jedyne go syna ubogiej wdowy, który zmarł na błonicę, a po dwóch dniach mocą cudu został przywrócony do życia.

– Możecie pytać, o co chcecie – powiedziała kobieta. Mówiła po okcytańsku z wyraźnym akcentem, ale poprawnie. Nic dziwnego, że się nauczyła, pomyślał Jordan, w końcu spora część płacących za ten spektakl to Okcytańczycy. Pomyślał o piętnastolatku, bladym świtem wygrzebującym się z ziemi i ruszającym w stronę domu, z brudnymi paznokciami i wonią rozkładu przenikającą jego włosy oraz pogrzebowe szaty. Teraz ten piętnastolatek siedział przed nim na krześle i wyglądał, jakby spał, tylko ruchy gałek ocznych pod półprzymkniętymi powiekami świadczyły, że prawdopodobnie zdaje sobie sprawę, co się wokół dzieje.

– Jakie to uczucie doznać łaski? – zapytała dńna Catarina. Jej oczy płonęły ciekawością.

Kobieta w bieli pochyliła się nad chłopcem, poczekała, aż szepnie jej coś do ucha, a potem przekazała: – To szczęście, którego nie można opisać.

– Co pamiętasz z czasu, kiedy byłeś martwy? – zainteresował się Jordan.

Kobieta znowu się pochyliła.

– Pamiętam tylko spokój i otaczającą mnie miłość Bożą – wyrecytowała, prostując plecy, po czym dodała już we własnym imieniu: – Musicie iść, inni także czekają na spotkanie z moim synem.

Dżna Catarina była chyba gotowa protestować, ale przegrała w starciu ze wzrokiem matki i skierowała się w stronę wyjścia. Jordan poszedł za nią – sam nie wiedział, czy jest rozczarowany, czy może jednak nie, bo czegoś podobnego się spodziewał.

Nagle drobna, sucha ręka chwyciła go za nadgarstek. Odwrócił się, zdumiony. Chłopiec już nie wyglądał, jakby spał. Miał teraz szeroko otwarte oczy, a na ich dnie płonął ogień, odległe echo echa, jakby Jordan patrzył przez długi lustrzany tunel na światło zapalone na końcu wszechświata.

– *Ur iya timasu* – powiedział Titus.



Gdy wracali, słońce chyliło się ku zachodowi, ciągnąc po ciemniejszym teraz morzu smugę czerwieni. Upał zelżał odrobinę, choć nadal było gorąco i Jordan wiedział już, że tej nocy także będzie miał problem z zaśnięciem.

Pożegnał dżnę Catarina, po czym ruszył w stronę wynajmowanego pokoju. Klucz obrócił się w zamku gładko i Jordan jeszcze niczego nie podejrzewał. Dopiero kiedy przekroczył próg, opadły go złe przeczucia.

Nie była to kwestia bałaganu, wręcz przeciwnie – wszystko znajdowało się w idealnym porządku. Pamiętał jednak, że grzebień położył na toalecie bliżej przybornika do paznokci, brzytwa w srebrnej oprawie też wydawała się przesunięta. Drobne zmiany, na które przeciętny człowiek nie zwróciłby uwagi, dla Jordana były widowym znakiem, że ktoś buszował w jego rzeczach.

Zamknął drzwi, zaciągnął zasłony, po czym z mocno bijącym sercem sięgnął po leżącą na dnie szafy podróżną torbę. Była pusta, jeśli nie liczyć dwóch wykrochmalonych chusteczek. Wyjął je, po czym odchylił fałszywe dno i namacał plik papierów. Były tam, dzięki Bogu. Przejrzał je dla pewności, ale nie brakowało żadnej strony.

Włożył papiery z powrotem do skrytki, a potem obejrzał zamek przy drzwiach. Czego szukał tajemniczy gość? Sakiewki i kosztowności, niczym pospolity złodziej? Jeśli tak, musiał się rozczarować, bo Jordan zabrał w podróż niewiele cennych rzeczy, a te, które miał, jak broń czy pieniądze, nosił przy sobie. Poza tym wszystko wskazywało na to, że zamek otwarto zwyczajnie, kluczem, nie wytrychem. Któraś ze służących? Ktoś, komu właściciel dał dodatkowy klucz?

Wyszedł na mniejszy dziedziniec, znajdujący się z tyłu Domu. Na środku szemrała cicho fontanna, przy której siedziały dwie kobiety: jedna czarnoskóra, elegancka i zgrabna, druga blondynka o pospolitym wyglądzie, żółtawej cerze i wielkich, jakby zdumionych dziecięcych oczach. Claudia Zekondin, przypomniał sobie Jordan, obrzucając ją spojrzeniem. Wyglądała na trzynaście lat, choć musiała być starsza – nawet w Numidii nie wydawano za mąż tak młodziutkich panien.

Julia Augustina trzymała ją za rękę i mówiła coś po berberyjsku szybkim, poufnym staccato, a Claudia kiwała głową, choć w jej spojrzeniu nie było zrozumienia. Dziewczyna najwyraźniej źle się czuła na otwartej przestrzeni, jakby marzyła tylko o tym, by wyrwać dłoń z uścisku Julii i schować się gdzieś w kącie.

Minął je, kierując się w stronę budynków gospodarczych, gdzie kręciła się służba. Nie musiał szukać długo – wkrótce niemal wpadła na niego ogorzała kobieta, niosąca kosz pełen owoców.

– Pan doktor. – Postawiła kosz na ziemi i ukloniła się niezgrabnie. – Czy pan czego potrzebuje?

– Chcę wiedzieć, kto wchodził dziś do mojego pokoju.

– Ja nie rozumiem. Pan potrzebuje pić? Może jeść?

Złapał ją za ramię.

– Jeszcze niedawno mówiłaś po okcytańsku całkiem dobrze. Kto wchodził do mojego pokoju? Dałaś komuś klucz?

– Nie rozumieć. Ja prosta kobieta ze wsi.

Ścisnął mocniej ramię i służąca krzyknęła – bardziej chyba z oburzenia niż z bólu. Jordan kątem oka dostrzegł, że Claudia skuliła się odruchowo, a Julia Augustina obrzuciła go pełnym niechęci spojrzeniem. Złowił też błysk czegoś srebrnego, jakby któraś z kobiet przy fontannie nosiła na palcu duży pierścień.

– Nic nie wiem!

Jordan zrozumiał już, że na temat tajemniczego gościa nic ze służącej nie wyciągnie. Za bardzo się bała, widział to po jej oczach. Ktokolwiek wziął klucz, musiał przy okazji porządnie ją przestraszyć.

Spróbował więc z innym pytaniem.

– A co znaczą słowa: „*Ur iya timasu*”?

– Nie wiem! – Służąca najwyraźniej gotowa była upierać się, że nie zna nawet własnego języka.

Jordan puścił ją, bo dalsza rozmowa nie miała sensu.

Przeszedł przez dziedziniec, odprowadzany potępiającym wzrokiem Julii Augustyny. Fontanna szemrała cicho, drobne kropelki unosiły się w powietrzu, ale nawet ich chłód nie łagodził upału. Domenic wrócił do pokoju i usiadł na krześle. Teraz, kiedy nie miał przed sobą służącej, nagle opadły go wątpliwości. Czy naprawdę widział w jej oczach przerażenie, czy tylko mu się zdawało? A może ten strach był zwyczajną reakcją prostej, wiejskiej kobiety na krzyżącego cudzoziemca? Może nikogo nie było w jego pokoju? W końcu niczego mu nie ukradziono, a on mógł źle zapamiętać miejsce, w którym położył grzebień i brzytwę. Ostatnio niepokojąco często zdarzało mu się popełniać błędy, na pozór drobne, ale mogące mieć fatalne skutki.

Jordan nie pamiętał, kiedy przespał spokojnie całą noc. Był wyczerpany i rozdrażniony, bynajmniej nie tylko z powodu upału. A dżna Catarina miała rację – naprawdę kiepsko wyglądał, widział to codziennie w lustrze. I nie chodziło o wyostrome rysy czy bladość –

Domenic Jordan nawet w najlepszej formie daleki był od wyglądu rumianego i pulchnego symbolu zdrowia. Chodziło o coś w oczach, jakiś niepokojący gorączkowy błysk, którego miał nadzieję nigdy u siebie nie oglądać.

Przebrał się przed kolacją, dokładając starań, by nie pominąć żadnego drobiazgu. To także go martwiło. Elegancja zawsze była jego wyborem, a teraz coraz bardziej stawała się koniecznością, jakby zapinanie guzików czy dbanie o to, by koronkowe mankiety koszuli wystawały spod kaftana na przepisową długość, było murem oddzielającym go od mroku.



Gdy pojawił się w sali jadalnej, większość gości Domu Pielgrzyma już zajęła miejsca za stołem. Brakowało jedynie państwa Zekondin, którym posiłki przynoszono do pokoju. Obok krzesła gospodarza Jordan dostrzegł za to niskiego mężczyznę z cieniem rudawego wąsika nad wargą. Spojrzał na dñną Catarinę pytająco, a ta szepnęła: – To oficer tutejszej policji, pan Baptista. Podobno zje z nami kolację. Myśli pan, że przyszedł, żeby kogoś aresztować?

– A jaką zbrodnię pani ostatnio popełniła?

Dñna Catarina zachichotała, przesłaniając twarz wachlarzem. Jordan usiadł naprzeciwko Baptisty i skinął mu uprzejmie głową. Oficer odwzajemnił się lekkim ukłonem.

Miał głęboko osadzone jasne oczy, którymi wodził po zgromadzonych przy stole. Przy Jordanie zatrzymał się na chwilę odrobinę dłuższą i lekko, niemal niezauważalnie zmrużył powieki. Zaraz potem odwrócił wzrok, po czym wdał się w rozmowę z dñną Catariną.

– A więc nie powie pan, dlaczego zaszczycił nas wizytą? – dopytywała kobieta.

Baptista mrugnął.

– Jakim byłbym oficerem policji, gdybym zdradzał wszystkie swoje sekrety? – Jak większość dobrze urodzonych Numidyjczyków, od dzieciństwa uczonych okcytańskiego, mówił prawie bez akcentu. – Poza tym czy naprawdę potrzebuję powodu, żeby spędzić trochę czasu w towarzystwie tak uroczej damy?

Wyraźnie zadowolona dżna Catarina zrezygnowała przynajmniej chwilowo z prób wyciągnięcia informacji i zajęła się kolacją. Jordan sięgnął po półmisek z ostro przyprawioną jagnięciną; jedynym, co mógł bez trudu zaakceptować w Numidii, była tutejsza kuchnia. Rozmowa przy stole, z początku leniwa, ożywiała się w miarę, jak upał na zewnątrz słabł i zapadała ciemność. Milczała tylko Julia Augustina, która uśmiechem i doskonałymi manierami rekompensowała nieznaną okcytańskiego.

– A pan, doktorze? – Baptista zwrócił się do Jordana. – Przyjechał pan do naszego miasta po cud?

– Nie, czekam na statek, który zabierze mnie z powrotem do domu. Cuda pozostawiam tym, którzy bardziej ich potrzebują.

– Wraca pan z wyprawy do Grobu Pańskiego?

Jordan zawahał się. Mógłby przytaknąć, w końcu większość podróżnych tam właśnie zmierzała, a on nie chciał się wyróżniać. Jednak zbyt łatwo byłoby wykryć takie kłamstwo.

– Nie, dla mnie to za daleka droga jak na taki upał.

– A jednak przybył pan do nas z Okcytanii w jeden z najgorętszych miesięcy roku. – Baptista mrużył oczy, obracając kieliszkiem tak, żeby światło świec odbijało się w kryształach. Czerwone wino w środku przelewało się jak krew. – Podróż w interesach?

– Odwiedzałem przyjaciela mojego ojca. A co do upału, to przyznaję, nie spodziewałem się, że będzie aż tak gorąco. Wszyscy czasem bywamy głupcami, prawda?

Swobodne przyznanie się do pomyłki wytrąciło na chwilę Baptiście broń z ręki. Oficer postawił kieliszek i podjął rozmowę z Johannusem Radke, który do Sour przybył w nadziei na wybląganie cudu dla ciężko chorej żony.

Po kolacji wyszli na taras. Radke szedł pod ramię z dñną Catariną, właściciel Domu towarzyszył Julii Augustynie. Domenic mógłby przyśpieszyć i ich dogonić, ale i tak nie uniknąłby tego, co zaraz miało nastąpić. Zatrzymał się więc jeszcze na chwilę przy stole i dolał sobie wina. Baptista stanął obok.

– Wiem, kim pan jest – powiedział cicho.

Jordan powinien teraz okazać zdumienie, jak przystało na niewinnego człowieka, ale nie potrafił tego zrobić. Jego opanowanie, które zazwyczaj było zaletą, nagle stało się pułapką.

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Nawet dla niego nie zabrzmiało to przekonująco.

– Myślę, że pan wie. – Oficer sięgnął po oliwkę i włożył ją do ust. A potem, ponieważ był sporo od Jordana niższy, wspiął się na palce i tchnął mu do ucha niemal intymnym szeptem: – Mamy pana na oku, proszę o tym pamiętać. Wystarczy jeden pretekst. W Numidii bardzo nie lubimy czarowników.

Baptista wyszedł, a Jordan dopił wino, zastanawiając się, gdzie popełnił błąd. Może zapomniał zaciągnąć zasłony, kiedy wczoraj nie oparł się pokusie i wyjął na chwilę ukryte w torbie papiery, może zdradził się nieostrożnym słowem. Tak czy inaczej ktoś doniósł na niego policji. Możliwe zresztą, że żadnego błędu nie popełnił, zawinić mógł sam fakt, że Jordan wyróżniał się, i to zarówno strojem, jak i zachowaniem. Ubranie był w stanie zmienić – na czas podróży zrezygnował z czarnych kaftanów, które tak lubił, i nosił zwyczajne, jasne – ale sposobu bycia nie potrafił, i przepojonym świętością, wszędzie węszącym zło Numidyjczykom musiał wydawać się wręcz archetypiczną figurą „podejrzanego cudzoziemca”.

Tłumaczył to miesiąc wcześniej biskupowi Malartre, który wysłał go do Sour. Będę zwracał na siebie uwagę, powiedział. Nie mówiąc o tym, że raczej nikt nie weźmie mnie za pobożnego pielgrzyma. Rzeczywiście, jeśli chodzi o zadania wymagające dyskretnego wtapiania się w tłum, Domenic Jordan był prawdopodobnie najgorszym kandydatem z możliwych. Lecz Jego Ekscelencja nie chciał słuchać argumentów. Poradzisz sobie, oznajmił, a poza tym dłuższy pobyt poza Alestrą dobrze ci zrobi. Jordan w głębi duszy podejrzewał, że chodziło głównie o to ostatnie, choć Ipolit Malartre zdecydowanie przeceniał uzdrawiające działanie długich podróży. Gdyby mógł zobaczyć w tej chwili swojego protegowanego, być może zmieniłby także zdanie co do jego zaradności.

Domenic odłożył kieliszek i podążył za pozostałymi na taras. Baptista najwyraźniej pożegnał się już i poszedł, bo nigdzie nie było go widać; właściciel Domu również podążył do swoich obowiązków. Służący zapalał właśnie latarnie na dziedzińcu.

Wokół ognia krążyły roje wielkich miękkich owadów, których Jordan nie potrafił nawet nazwać. Morze lizało plażę szerokimi językami osrebrzonej księżycem piany.

Dżna Catarina skinęła zapraszająco, wskazując wolne krzesło. Jordan usiadł pomiędzy nią a Radkem, który krzywiąc się, pił z niewielkiego kieliszka jakąś kolorową nalewkę. Możliwe zresztą, że było to lekarstwo, bo prawnik skarżył się ostatnio na bóle brzucha. Julia Augustina próbowała stawiać pasjansa, choć ciągnący od wody wiatr bezustannie zdmuchiwał ze stolika karty.

– O czym pan rozmawiał z tym miłym oficerem? – zapytała dżna Catarina.

Jordan pochylił się w jej stronę.

– Pan Baptista domyślił się, że chcę was wszystkich zamordować – powiedział. – Na szczęście udało mi się uśpić jego podejrzania.

Dżną Catarina znowu zachichotała, choć tym razem jej śmiech był nieco wymuszony, a starsza pani sprawiała wrażenie odrobinę



urazonej. Jordan zastanowił się, czy to ona na niego doniosła. Możliwe, choć mało prawdopodobne, uznał. A jeśli nie ona, to kto? Johannus Radke z twarzą smutnego psa, zaprzątnięty myślami o umierającej żonie i zaniedbujący z powodu jej choroby praktykę adwokacką? Jowialny właściciel Domu albo jego równie serdeczna żona, która co prawda rzadko pojawiała się przy wspólnym stole, ale kiedy już to robiła, wprowadzała wszystkich w zakłopotanie świńskimi dowcipami opowiadany doskonałym okcytańskim? Myszwata, chowająca się po kątach Claudia z posiniaczonymi ramionami lub jej utalentowany muzycznie, głuchy mąż, który, jeśli wierzyć dñni Catarinie, ożenił się ze służącą tylko po to, żeby mieć kogo dręczyć? Czy może tajemnicza Julia Augustina, o której nikt nie wiedział niczego pewnego?

Możliwe też, że po prostu doniósł na niego ktoś ze służby. Nie miało to większego znaczenia, choć chciałby znać nazwisko donosiciela dla samej satysfakcji płynącej z wiedzy. Najważniejsze teraz pytanie brzmiało: co dalej? W Okcytanii Jordan pozostawał pod ochroną biskupa Malartre; tutaj, na obcym terenie, musiał liczyć tylko na siebie. Gdyby został aresztowany, nikt by się za nim nie ujął i najdalej za tydzień, dwa – numidyjska sprawiedliwość działała szybko – jego ciało zawisłoby na szubienicy ku uciesze gawiedzi. Nieważne, że żadnym czarownikiem nie był, a tylko przewoził niebezpieczny rękopis. Sam fakt, że nosił przy sobie coś takiego, wystarczyłoby, żeby go skazać. Jordan nie musiałby nawet dodawać, że czarną magią interesuje się od dawna i że próbuje ją badać naukowymi metodami, co w Numidii, podobnie zresztą jak w Okcytanii, było bardzo źle widziane.

W pierwszym odruchu chciał natychmiast wrócić do pokoju, zabrać torbę i zniknąć, jednak to wyglądałoby na przyznanie się do winy. Dlatego postanowił zostać jeszcze przynajmniej jedną noc i zachowywać się, jakby nic się nie stało.



Julia Augustina zrezygnowała z układania pasjansa i przyniosła książkę, którą czytała z determinacją, mimo iż latarnie na tarasie dawały niewiele światła i tak naprawdę – jak zgadywał Jordan – służyły raczej do tworzenia intymnego nastroju dla szukających odosobnienia par. Dżna Catarina dołała sobie wina, a Radke skusił się na kolejny kieliszek podejrzanej nalewki, która chyba jednak nie była lekarstwem. Jordan odmówił, gdy starsza pani próbowała poczęstować go merlotem. Alkohol pomógłby mu co prawda zasnąć, lecz zmęczenie, gorąco i wino stanowiły kiepską kombinację, a on jutro zdecydowanie potrzebował trzeźwej głowy.

Rozmowa rwała się coraz bardziej, ale nikt z siedzących na tarasie nie kwapił się, żeby wracać do dusznego pokoju. Wreszcie Radke wstał i otworzył usta, zapewne po to, żeby się pożegnać i życzyć pozostałym dobrej nocy. Nie zdążył tego zrobić, bo w jednym z pokoi na piętrze rozległ się najpierw bełkotliwy męski krzyk, a potem odgłos upadającego ciała i wysoki dziewczęcy szloch.

Prawnik zamknął usta, Julia Augustina drgnęła i oderwała wzrok od książki. Szloch przeszedł w jękliwe zawodzenie, mężczyzna wciąż wrzeszczał, a jego słowa zlewały się ze sobą, jakby był pijany.

– To nie może tak dłużej trwać – oznajmiła dżna Catarina wojowniczo. – Ktoś musi coś z tym zrobić.

Jej wzrok nie pozostawiał wątpliwości, że owym „kimś” jest nie ona sama, lecz któryś z panów. Radke bezradnie pokręcił głową, Jordan spojrzał kobiecie w oczy.

– Zgodnie z prawem mąż ma całkowitą władzę nad żoną. Co, pani zdaniem, możemy z tym zrobić?

Dżna Catarina parsknęła, dając tym samym wyraz swojej pogardy dla prawa. Radke wymamrotał coś niezrozumiałego. Julia Augustina nasłuchiwała w napięciu dobiegających z Domu dźwięków, aż poszarzały jej zaciśnięte na książce szczupłe brązowe palce. Claudia

krzyczała teraz głośniej, a jej mąż ciszej i nie przypominało to już odgłosów awantury, raczej... wołanie o pomoc?

Jordan spojrział na prawnika i zobaczył w jego oczach niepokój.

– Powinniśmy chyba... – zaczął Radke.

Nikt nie zdążył dowiedzieć się, co powinni zrobić, bo z Domu wybiegła gwałtownie machająca rękami służąca, ta sama, z którą Jordan rozmawiał po południu i która najwyraźniej w międzyczasie przypomniawszy sobie sporo okcytańskich słów.

– Pan Zekondin jest bardzo chory! – wołała. – Pan doktor pomoże, tak? Zaraz, szybko, trzeba iść!

Gdy Jordan wstał, dżina Catarina chwyciła go za rękę.

– Proszę – szepnęła – niech pan się zastanowi.

– Nad czym?

– Może dla wszystkich będzie lepiej, jeśli pan Zekondin nie wyzdrowieje?

– Może to kara – wymruczał równie cicho Radke. – Nie należy się wtrącać do wyroków Bożych...

Jordan uwolnił dłoń z uścisku starszej pani. Nie miał zbyt wysokich standardów zawodowych, ale nie zamierzał stać i przysłuchiwać się, jak ktoś cierpi.

– Szczerze wątpię, żeby w tym pokoju Bóg osobiście zabijał człowieka, ale jeśli tak, to mógłby sobie wybrać inne miejsce.

Schodząc z tarasu w ślad za służącą, odwrócił się jeszcze na chwilę. Radke i dżina Catarina rozmawiali ze sobą, nie patrząc w stronę Jordana. Patrzyła za to Julia Augustina, a na jej twarzy widniała taka nienawiść, że medyk aż się wzdrygnął.



## 2.

Nie wiedział, co go zbudziło, ale otworzył oczy od razu przytomny i czujny. Wiatr wydymał firanki, a przez otwarte okno w łagodnych podmuchach wlewał się różowy świt, niosący ze sobą słony zapach morza i pokrzykiwania mew. Powietrze po nocy wciąż było świeże, niezwarzone upałem, choć czuło się już w nim zapowiedź gorąca.

W Domu Pielgrzyma panowała cisza – nikt nie krzątał się, sprząając salę jadalną przed śniadaniem, na dziedzińcu nie słychać było kroków służących biegnących do stajni czy powozowni. Ciszę mąciło tylko kapanie, odgłos kropel w regularnych odstępach rozpryskujących się na płytkach, którymi wyłożony był hol.

Jordan nasłuchiwał przez chwilę, ale prócz kapania i wrzasków wydzierających się za oknem mew nie usłyszał niczego więcej. Ubrał się pośpiesznie, wziął pistolety i wyszedł na korytarz.

Teraz mewy słychać było słabiej, a kapanie mocniej. Odgłos dochodził od strony schodów, splatając się z miarowym tykaniem stojącego w holu zegara. Plamy słońca drgały lekko na mozaikowej posadzce, a świt wydobywał nieoczekiwane ciepło z obitych cedrową boazerią ścian. Jordan skierował się w stronę piętra.

Nie dotarł tam, bo wcześniej zobaczył plamę świeżej, wciąż jeszcze lśniącej krwi, wylewającą się spod drzwi pokoju należącego do dżny Catariny.

Ostrożnie, uważając, żeby w nią nie wdepnąć, nacisnął klamkę – dżna Catarina najwyraźniej ufała ludziom na tyle, by nie przekręcać klucza – i wszedł do środka. W pokoju wyglądało jak w rzeźni, białe ściany zbryzgane zostały posoką, pościel na łóżku przesiąknięta była czerwienią.

W tej pościeli leżała dżna Catarina z koszulą nocną podciągniętą do połowy ud i odchyloną głową. Na jej gardle niczym drugie groteskowe usta rozwierała się rana tak głęboka, że mało brakowało, a morderca przeciąłby starej kobiecie kręgosłup. Drugie, płytsze cięcie biegło przez klatkę piersiową. Jordan wycofał się powoli i wspiał schodami na piętro, omijając krew, która cienkim strumyczkiem skapywała ze stopni.

Na piętrze znalazł ciało służącej, tej młodszej i ładniejszej, przeznaczonej do lżejszych prac, takich jak pomoc przy toalecie pań czy gaszenie świec. Jej głowa spoczywała w samym środku krwawej kałuży, która sięgała do pokoju Julii Augustyny. Jego lokatorka stała na progu ubrana jak do wyjścia, w kremową suknię na różowym spodzie. Czubki eleganckich trzewików znajdowały się ćwierć palca od rozlanej po korytarzu czerwieni, a kobieta chwiała się lekko z niepewną miną, niczym elegancka dama czekająca, aż dżentelmen poda jej rękę i pomoże przeskoczyć kałużę. Wzrok miała dziwny, jakby zwrócony do wewnątrz i wydawało się, że jeszcze chwila, a wdepnie prosto w krew.

Jordan chciał coś powiedzieć, lecz jego niewielki zapas berberyjskich słów nie obejmował niczego odpowiedniego do tej sytuacji. Sięgnął więc bez większej nadziei do swojej studenckiej łaciny – Numidia była kiedyś rzymską kolonią – ale i tu natrafił na problem, bo znał głównie nazwy trucizn oraz terminologię pozwalającą mu czytać stare traktaty demonologiczne.

– *Da mihi obsecro manum* – powiedział wreszcie.

Z początku wyglądało na to, że w ogóle go nie usłyszała. Wyraz jej twarzy nie zmienił się, wciąż patrzyła w głąb siebie, zamknięta w swoim własnym świecie. Ale po chwili w oczach kobiety dostrzegł błysk zrozumienia, słaby na razie, jakby ktoś wyglądał zza zaparowanej szyby.

– *Da mihi obsecro manum* – powtórzył i wreszcie wyciągnęła do niego rękę.

Jordan pomógł jej przejść nad kałużą krwi, a potem zaprowadził na dół i posadził w holu przy donicy z palmą. W części należącej do

gospodarzy odszukał dodatkowe klucze, a potem obszedł cały Dom Pielgrzyma.

Znalazł jeszcze ciała właściciela, jego żony i trojga służących, a także Johannusa Radke w pokoju na końcu korytarza. Aby się do niego dostać, musiał wdepnąć w krew pokojówki, bo kałuża była zbyt duża, by ją przeskoczyć, i potem chwilę zajęło mu czyszczenie butów.

Razem osiem osób, które zginęły, wykrwawiając się z głębokich, chaotycznych ran.

Wszyscy z wyjątkiem pokojówki zaatakowani zostali w łóżkach i prawdopodobnie nie zdążyli nawet się obudzić. Jordan uznał, że skonali koło piątej, bo była to pora, kiedy wstająca najwcześniej służąca obchodziła Dom, gasząc zapalone na noc świece. Ciała nie zdążyły jeszcze zeszywnieć, krew nie zaczęła krzepnąć.

Zajrzał do pokoju Julii Augustyny, ale nic w nim nie świadczyło o tym, by kobieta ubierała się w pośpiechu, świadoma rozgrywającej się za drzwiami tragedii. Wręcz przeciwnie, wyglądało na to, że wstała i spokojnie zabrała się za poranną toaletę – szczotki i grzebienie były równo ułożone, wczorajsza suknia wisiała na krześle, czekając zapewne, aż pokojówka zabierze ją do prania. Na toaletce stał wazon z dzikimi kwiatami. Jordana uderzyło, że był to jedyny pokój, któremu właścicielka zdołała nadać rys indywidualności; panowały tu wdzięk i harmonia, które wydawały się nieodłącznie związane z jej osobą.

Jednak największe zdziwienie przeżył w pokoju państwa Zekondin. Wiedział oczywiście, że mężczyzny tam nie będzie, spodziewał się jednak zobaczyć ciało Claudii. Lecz małżeńskie łóżko było puste, tylko po jednej stronie rozlewała się kałuża krwi. Pod poduszką coś błysnęło – Jordan uniósł ją i znalazł krótki nóż myśliwski. Przesunął palcem po wyrytych na rękojeści inicjałach „A. Z.”, po czym schował znalezisko do kieszeni.

Wychodząc, zauważył krople krwi na korytarzu. Ślad wiódł z pokoju państwa Zekondin aż do holu, a potem urywał się przy drzwiach.

Osiem osób martwych.

Dwie, które przeżyły.

Jedna zaginiona bez śladu.

Próbował odnaleźć w tym jakiś sens, ale nie potrafił, odłożył więc problem na później, zabrał z pokoju swoją torbę i wrócił do Julii. Tak jak się spodziewał, siedziała dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawił. Drżała lekko, ale poza tym jej twarz była nieruchoma jak maska z brązowej gliny.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli pójdzie pani ze mną – powiedział swoją kiepską łaciną. Nie dodał przy tym, że lepiej dla niego, niekoniecznie dla niej.



Miasto wciąż jeszcze spało, kiedy szli pustymi ulicami. Domenic zastanawiał się, ile mają czasu, zanim ktoś znajdzie ciała i da znać miejscowej policji. Nie więcej niż dwie–trzy godziny, uznał, może mniej. Miał nadzieję, że do tej pory jego towarzyszka oprzytomnieje na tyle, by odpowiedzieć na parę pytań – o ile oczywiście zdołają się jakoś porozumieć.

Zaprowadził ją do gospody, w której o tej porze krzątała się tylko służąca, fartuchem strzepująca okruchy ze stołów. Jordan znalazł w miarę czysty stolik, posadził za nim Julię i chwilę później wręczył jej gliniany kubek pełen palmowego wina.

Wypiła i wreszcie przestała się trząść. Patrząc jej w oczy, Domenic wciąż miał skojarzenie z zaparowaną szybą, którą ktoś przeciera w desperackiej próbie wyjrzenia na zewnątrz. Szukał właściwych słów, zanim jednak je znalazł, kobieta się odezwała: – *Manus*.

Jordan zamrugał.

– Słucham?

– *Manus*, nie *manum*. Nie ten przypadek.



– A więc jednak mówi pani po okcytańsku.

Mocniej zacisnęła dłonie na pustym już kubku.

– Tak, proszę o wybaczenie, obawiam się, że skłamałam. Dżna Catarina zagadnęła mnie w holu. Sprawiała wrażenie miłej, ale...

– Trochę męczącej? – podsunął. – I dlatego postanowiła pani udawać, że nie zna okcytańskiego?

Zakłopotana skinęła głową.

– Potrzebowałam odrobiny prywatności. Potem oczywiście bardzo tego żałowałam, pan Radke i dżna Catarina to urocze osoby, a ja wykazałam się karygodną niegrzecznością, kiedy podsłuchiwałam na tarasie państwa rozmowę.

Wydawało się, że ten towarzyski nietakt obchodzi ją w tej chwili bardziej niż śmierć ośmiu osób. Jordan nawet się nie dziwił, ostatecznie nie było to najbardziej zdumiewające odkrycie tego ranka.

– Wie pani, co się stało? – zapytał.

– Wiem, że ta miła służąca zginęła, i dżna Catarina... Widziałam krew wypływającą spod drzwi jej pokoju – czy to znaczy, że ona też nie żyje?

Jordan skinął głową.

– Wszyscy, którzy byli tej nocy w Domu Pielgrzyma, zostali zabici, tylko my przeżyliśmy. I ja nie jestem mordercą, jeśli to panią martwi. – Przyszło mu do głowy, że Julia Augustina może się go zwyczajnie bać. On w każdym razie na jej miejscu podejrzewałby prawdopodobnie siebie. Nie umknęło też jego uwadze, że kobieta nie zaliczyła Jordana do „uroczych osób”.

– Wiem, że to nie pan – szepnęła. – Nie mógłby pan tego zrobić.

Chrząknął.

– Może nie powinna pani być taka ufna?

Przez jej twarz przemknęło coś na kształt spłoszonego uśmiechu.

– Och, nie chodzi mi o pana charakter, raczej o... okoliczności. Na pana ubraniu nie ma ani odrobiny krwi, a musiałyby być, gdyby był pan mordercą. Nie można zabić tak brutalnie i nie ubrudzić się przy tym.

Spojrzał na nią z ciekawością.

– Mogłem się przebrać – podsunął, ale Julia energicznie potrząsnęła głową.

– Nie było na to czasu. Krew wciąż jeszcze wypływała z rany, kiedy stałam nad ciałem tej nieszczęsnej dziewczyny. To znaczy, że została zamordowana dosłownie chwilę wcześniej, prawda?

Lekko oszołomiony Jordan przytaknął. Ta kobieta była zdecydowanie bardziej interesująca, niż mu się wydawało.

Do gospody weszli pierwsi goście, rodzina z kalekim chłopcem, którego służący wniósł w trzcinowym fotelu, i rozbrykaną, może ośmioletnią dziewczynką. Jordan zgadywał, że wracają z pierwszej porannej mszy, podczas której prosili o cudowne uzdrowienie dla syna. Unosiła się nad nimi atmosfera nadziei tak kruchej, że wszyscy mówili szeptem, jakby głośniejsze słowo mogło ją strzaskać.

Domenic pochylił się w stronę Julii i też zniżył głos. Nie sądził wprawdzie, żeby nowo przybyli się nim interesowali – dość mieli własnych problemów – ale lepiej było nie ryzykować.

– Skoro już ustaliliśmy, że nie jestem mordercą, czy mogłaby mi pani powiedzieć, co pani pamięta?

Obracała pusty kubek w palcach.

– Co pamiętam? – powtórzyła. Znowu wyglądała na zagubioną i Jordan musiał zdobyć się na cierpliwość.

– Z dzisiejszego poranka. Od czasu, gdy się pani obudziła, aż do chwili, kiedy spotkałem panią na progu pokoju.

– Cóż, wstałam wcześniej, bo chciałam zdążyć do kościoła, ubrałam się, ułożyłam włosy...

– Nie poprosiła pani wczoraj o pokojówkę?

– Nie, przywykłam do tego, że radzę sobie sama, i nie chciałam zawracać nikomu głowy.

– Ile czasu minęło od pani obudzenia się do chwili, kiedy wyszła pani z pokoju?

– Myślę, że jakieś pół godziny. – Zawahała się. – Uważa pan, że w czasie, gdy się ubierałam, ta nieszczęsna dziewczyna konała na

korytarzu?

Skinął głową, a kobieta zadrżała.

– Nie słyszałam niczego, przysięgam. Tylko kroki, a potem odgłos, jakby ktoś się potknął, ale nie myślałam... nie przyszło mi do głowy, że to coś poważnego, dlatego nie wyjrzałam.

– Nie słyszała pani żadnego krzyku?

– Nie, jestem pewna, że nikt nie krzyczał. A czy pan sprawdził... Naprawdę wszyscy nie żyją?

Przytaknął.

– Z wyjątkiem naszej dwójki. I być może Claudii Zekondin, która zniknęła ze swojego pokoju.

Na twarzy Julii odmalował się wyraz ulgi tak wielkiej, że Jordana to zdumiało – w końcu kobiety znalazły się ledwo kilka godzin. Zastanowił się też, czy nie wspomnieć, że zeszłego wieczora odesłał pana Zekondina do szpitala i dlatego jego żona spała tej nocy sama. Julia prawdopodobnie o tym nie wiedziała, bo jeśli wierzyć słowom dżny Catariny, poszła do swojego pokoju zaraz po tym, jak Jordan zszedł z tarasu. Jednak coś podpowiedziało mu, żeby zachować tę informację na później.

Julia Augustina puściła kubek, wyjęła z torebki haftowaną chusteczkę i dla odmiany zaczęła znęcać się nad nią, skubiąc i szarpiąc kolorowe nici.

– Myśli pan, że to był napad rabunkowy?

– Nie sędzę. Nie mogę być oczywiście pewny, ale wygląda na to, że z pokoiów nic nie zginęło. A przynajmniej nikt w nich niczego nie szukał.

– Dlaczego więc oni zostali zabici?

– Nie mam pojęcia. Na razie bardziej ciekawi mnie inna kwestia.

– Jaka? – zapytała odruchowo.

– Dlaczego my zostaliśmy oszczędzeni.



Gospoda zaczęła się zaludniać, Jordan zaproponował więc, żeby wyjść, a towarzyszką zgodziła się z nim skwapliwie. Jak dotąd robiła wszystko, co jej kazał, a on zastanawiał się, czy to kwestia szoku, czy może Julia jest jedną z kobiet przyzwyczajonych do tego, że mężczyźni nimi rządzą. To drugie było możliwe, choć mało prawdopodobne. Domenic mógłby się założyć, że w jego nowej znajomej jest coś więcej, niż wydawało się na pierwszy rzut oka.

Sprawiała wrażenie typowej dobrze wychowanej i konwencjonalnej damy, ale damy nie potrafią tak trzeźwo rozumować chwilę po tym, jak omal nie wdepnęły w kałużę krwi zamordowanego człowieka. Poza tym dziwne było, że przyjechała sama. Starszym wdowom, takim jak dżna Catarina, wybaczano samodzielność, lecz młode i ładne kobiety powinny podróżować w towarzystwie męskiego krewnego albo przynajmniej pokojówki, która służyłaby jednocześnie za przyzwoitkę.

Tak czy inaczej wyglądało na to, że chwilowo on podejmuje decyzje, po namyśle więc poprowadził Julię w stronę dzielnicy targowej, gwarnej i ubogiej, gdzie mieli szansę zniknąć w tłumie kolorowych pielgrzymów. Co prawda bogatsi podróżni rzadko się tu zapuszczali, lecz ubraniami Jordana i Julii wystarczył dwudziestominutowy spacer, by pokryły się czerwonym pyłem i przestały wyglądać elegancko, a i ciemna twarz kobiety zwracała w tym miejscu mniejszą uwagę.

Problemem była komunikacja – w dzielnicach, w których mieszkało wielu Okcytańczyków, większość sprzedawców znała przynajmniej kilka zdań w tym języku, tutaj natomiast niepodzielnie panował berberyjski i różne narzecza afrykańskie. Jordan przekonał się o tym boleśnie, kiedy spróbował od ulicznego sprzedawcy kupić śniadanie i zrezygnował po kilku minutach upokarzającego machania rękami. Na szczęście Julia przyszła mu z pomocą.

Chwilę później rozłożyli koc na kamienistej plaży i usiedli, jedząc faszerowane ryżem i jagnięciną liście winogron. Dla postronnego

obserwatora wyglądali jak zwyczajna para, która mimo wczesnej pory postanowiła urządzić sobie piknik – a przynajmniej na to liczył Jordan.

– Dlaczego właściwie nie wrócimy do Domu Pielgrzyma? – Julia rzuciła większość swojej porcji mewom, które natychmiast zleciały się ze skrzekiem, bijąc mocnymi skrzydłami. Niedaleko na kamieniu usiadła kobieta z chłopczykiem. Zdjęła dziecku buty, a mały pognał do wody, po czym zaczął brodzić w morzu, szukając muszelek. Upał narastał, a rozbijające się o kamienie fale spryskiwały twarze słońną mgiełką.

– Pani może tam wrócić, ja nie – odparł Jordan.

– Dlaczego?

– Pan Baptista za mną nie przepada.

– Powiedziałałabym mu, dlaczego nie może pan być winny.

Pokręcił głową, prawie rozbawiony.

– W takim przypadku pan Baptista zapewne doszedłby do wniosku, że łączy nas zdożna namiętność i że zamordowaliśmy tych wszystkich ludzi wspólnie.

– Co więc zamierza pan zrobić?

– Jeszcze nie wiem – skłamał. Jeśli Julia naprawdę zdecyduje się wrócić, lepiej, żeby wiedziała jak najmniej.

– Poszuka pan Claudii?

– Być może.

Kobieta odetchnęła. Zmaltretowana chusteczka zniknęła w torebce, a Julia zajęła się skubaniem koronkowego rękawa. W jej oczach pojawił się stalowy błysk, ale trwał tak krótko, że równie dobrze mogło to być odbicie słońca.

– W takim razie zostanę z panem. Oczywiście jeśli nie ma pan nic przeciwko.

– Będzie mi niezwykle miło – zapewnił. W gruncie rzeczy przez ostatnie minuty myślał właśnie o tym, jak ją do tego skłonić. Julia Augustina byłaby przydatna nie tylko jako ktoś znający miejscowy

język, lecz także jako klucz do zagadki, dlaczego właśnie oni przeżyli. – Powie mi pani parę słów o sobie?

– O mnie?

– Musi być jakaś przyczyna, dla której morderca oszczędził właśnie naszą dwójkę. Może mamy jakąś wspólną cechę?

– Och, no tak. Ale nie sądzę, żeby... W każdym razie, nazywam się... – Jej dłoń oderwała się od rękawa i pofrunęła do ust w dziecinnym geście przerażenia. – Mój Boże, zapomniałam się przedstawić.

Jordan parsknął śmiechem, bo cała sytuacja była mocno absurdalna. Julia, która przez moment wyglądała, jakby miała zamiar zerwać się z koca i wykonać przepisowy ukłon, zawtórowała mu.

– To okropne tak się śmiać, kiedy oni wszyscy nie żyją – powiedziała, chowając twarz w dłoniach.

– Śmiech najmniej przeszkadza właśnie martwym – zapewnił. – I myślę, że możemy darować sobie formalności. Wiem, jak pani się nazywa, a pani prawdopodobnie wie, jak nazywam się ja. Interesuje mnie, kim pani jest i po co przyjechała pani do Sour.

– Mój drugi mąż uczy łaciny w szkole dla chłopców. Od pięciu lat mieszkamy w Cambon, dlatego zresztą znam okcytański. Ja czasem daję dziewczętom prywatne lekcje rysunku.

– A pierwszy?

– Słucham?

– Pierwszy mąż.

– Zmarł, kiedy miałam dziewiętnaście lat.

– Na co?

Zmarszczyła brwi.

– Dlaczego to pana interesuje?

– Wszystko, co związane ze śmiercią, mnie interesuje – odparł swobodnie.

Zacisnęła lekko usta, ale po chwili odpowiedziała: – Nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z tą tragedią, ale jeśli musi pan wiedzieć, zginął w wypadku.

– Aha. Po co przyjechała pani do Sour? Prosić o cud?

Tym razem grymas niechęci był wyraźniejszy. Julii najwyraźniej nie spodobały się maniery Jordana, ale medyk nie czuł się winny.

– To prywatna sprawa. Mój mąż jest przekonany, że odwiedzam w Sour rodzinę. Bałam się, że służąca może mnie zdradzić, dlatego zostawiłam ją w tawernie przy porcie i dalej pojechałam sama.

– A więc pochodzi pani stąd?

Skinęła głową.

– Tutaj się urodziłam, ale moja rodzina... nie utrzymujemy ze sobą bliskich stosunków.

W ten sposób przynajmniej rozwiązała się jedna zagadka – o ile oczywiście Julia mówiła prawdę. Jordan nie miał powodów, żeby w to wątpić, nadal jednak uważał, że kobieta coś przed nim ukrywa. Może nawet więcej niż coś.



– Dokąd idziemy? – zapytała, gdy przedzierali się przez tłum na targu. Wokół krzyczeli handlarze odpustów, świętych medalików i ostro pachnących przypraw, a osły swobodnie krążyły między kramami, patrząc na przechodniów z filozoficznym spokojem.

Na dziurawym bruku pełno było śmieci, odciętych rybich łbów i gnijących owoców, od czasu do czasu trafiały się też mętne kałuże końskich szczyń. Ani suknia, ani eleganckie trzewiki Julii nie były przystosowane do chodzenia w takich warunkach, a jednak towarzyska Jordana radziła sobie zdecydowanie lepiej niż on, zręcznie lawirując między niosącymi wiklinowe kosze kobietami, biegającymi wszędzie dziećmi i natrętymi sprzedawcami.

– Do szpitala – odpowiedział, korzystając z faktu, że młodzieniec przy straganie z artykułami żelaznymi przestał na chwilę walić chochlą

w patelnię.

– Do szpitala? Myśli pan, że Claudia jest ranna albo morderca zabrał ją...

– W szpitalu jest jej mąż. – Jordan zdecydował, że pora to wreszcie powiedzieć. – Może on będzie wiedział, gdzie dziewczyna się podziewa.

– Och. – Julia nagle zrobiła się czujna. – Czy pan Zekondin wczoraj wieczorem... zachorował? – Tym razem króciutka pauza była chyba skutkiem nie tyle zdenerwowania, co namysłu.

Domenic skinął głową.

– Można tak powiedzieć.

Julia wyglądała, jakby miała zamiar zadać jeszcze jakieś pytanie, ale zrezygnowała. Jordan nie zamierzał jej niczego ułatwiać.

– O czym rozmawiała pani z Claudią przy fontannie? – zmienił temat.

– O niczym ciekawym. Wie pan, kobiece sprawy.

– Wyglądało na to, że jesteście w zdumiewająco dobrej komitywie. Znała pani tę dziewczynę wcześniej?

– Skąd, poznałyśmy się wczoraj po południu. Ale czasem dwie spędzone razem godziny wystarczą. – Jej usta się uśmiechały, ale oczy pozostały czujne.

– Prawdziwe bratnie dusze?

– Siostrzane – poprawiła.

– Co może mi pani o niej powiedzieć?

Odsunęła się, bo drogą pędził ciemnoskóry chłopiec. Przystanął przy kramie ze słodyczami i zaczął coś szybko mówić. Wkrótce zebrał się wokół niego spory tłumek – mężczyźni i kobiety z iście południowym temperamentem machali rękami, wyraźnie podekscytowani.

Jordan pociągnął Julię w cień bramy.

– Zgaduję, że wieść o morderstwie już się rozeszła – powiedział cicho.

– O tak. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Podobno szukają wysokiego bladego szaleńca z blizną na twarzy.

Jordan pobłogosławił w myślach ludzką skłonność do fantazjowania.



– Mówią coś o tym, że ten bandyta jest w towarzystwie kobiety?  
– Nie. – W jej oczach znowu coś błysnęło. – Ale nie wiem, czy powinien mi pan wierzyć na słowo. Przyszło panu do głowy, że w każdej chwili mogę pana wydać?

– Przyszło.

– I co wtedy?

– Nic. Nie skrzywdzę pani, jeśli nie będę musiał, jeśli o to pani pyta.

Westchnęła.

– Momentami zaczynam się zastanawiać, czy to jednak nie pan zabił tych wszystkich ludzi.

Zabawne, bo ja mam wątpliwości co do pani, dopowiedział w myślach. Co prawda większość ciosów była zbyt mocna, by zadała je kobieta, ale Julia mogła być współniczką mordercy.

W końcu jeśli zabójca przyszedł z zewnątrz, ktoś musiał wpuścić go do środka.



– Claudia Zekondin – przypomniał Jordan, kiedy minęli największy tłum i znaleźli się na ulicy prowadzącej do szpitala. – Co może mi pani o niej powiedzieć?

– Myśli pan, że ona żyje? – Julia odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Nie wiem – przyznał uczciwie. – W jej pokoju było sporo krwi, ale mogła przeżyć. Możliwe nawet, że wyszła z Domu o własnych siłach.

– Albo morderca z jakiegoś powodu zabrał ją ze sobą.

– Ją albo jej ciało – przytaknął.

Julia spojrzała na niego i przez chwilę Domenic był przekonany, że za chwilę usłyszy jeden z tych wykładów, jakie słyszał nazbyt często – że jest pozbawiony serca, a jego lekarskie maniery są fatalne.

– To prosta dziewczyna – powiedziała zamiast tego. – Pochodzi z Um, małego miasteczka na zachodzie, jej ojciec miał tam zakład farbiarski. Kiedy rodzice zmarli, poszła na służbę. Pracowała u Zekondina, a on...

– Uwiódł ją, a potem się z nią ożenił?

– Tak.

– Historia jak z bajki?

Uciekła spojrzeniem w bok.

– Coś w tym rodzaju. Dla naiwnej i ubogiej dziewczyny to było jak spełnienie snu – nawet jeśli nie zakochała się w mężczyźnie, musiała się zakochać w perspektywie życia, jakie jej proponował.

– A dopiero potem okazało się, że sen to tak naprawdę koszmar? Kiedy było za późno?

Widzieli już budynek szpitala, chwycił więc kobietę za ramię i zatrzymał. Stanęli w podcieniach kamienicy, nad głowami mając zwisające z balkonu zakurzone liście.

– Claudia bardzo go kocha – powiedziała Julia pozornie bez związku.

– Mimo tego wszystkiego, co jej robi. Ona nigdy...

– Nigdy co? – zapytał Jordan, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Obserwował przylegający do klasztoru odrapany budynek, w którym mieścił się szpital. Istniała co prawda mała szansa, że Baptista dowiedział się już, gdzie ostatnią noc spędził Zekondin, ale Domenic wolał nie ryzykować.

Bocznymi drzwiami wyszły z budynku dwie zakonnice w szarych habitach. Niosły wielki wiklinowy kosz z praniem, które zaczęły wieszać na sznurach. Białe płachty prześcieradeł unosiły się na lekkim wietrze, kobiety żartowały z czegoś i śmiały się. Jordan wątpił, by były tak radosne, gdyby niedawno odwiedził je oficer opowiadający o zbiorowym morderstwie, ale na wszelki wypadek poczekał jeszcze chwilę.

Myślał o Claudii Zekondin. O tym, kim była naprawdę. Bo przecież musiała być kimś więcej niż zwyczajną dziewczyną, którą niespodziewane małżeństwo wyniosło ponad jej stan. Zwyczajne

dziewczyny nie znikają tajemniczo z miejsca masakry i nie stanowią klucza do rozwiązania zagadki morderstwa ośmiu osób.



Szpital od wewnątrz sprawiał znacznie przyjemniejsze wrażenie niż od zewnątrz. Niewielka sala była czysta, pościel wyglądała na niedawno zmienioną, a przy oknie stał stolik z miską i dzbanem pełnym świeżej wody. Tylko trzy z sześciu łóżek były zajęte: dwójka chorych spała, a trzeci, stary mężczyzna w nocnej koszuli, stał przy oknie i szklistym wzrokiem wpatrywał się w podwórko. Jordan próbował go zagadnąć, ale przerwał mu wchodzący do sali niski, pulchny lekarz.

– Niczego się pan od niego nie dowie, biedaczysko ciągle jeszcze nie może uwierzyć w swoje szczęście. Albo pecha, zależy, jak na to patrzeć. Jest pan Okcytańczykiem, prawda? Nazywam się Sasches, znam okcytański, bo studiowałem w Corsson. Jeśli szuka pan pomocy, dobrze pan trafił. Faktycznie trochę blado pan wygląda, gdyby podszedł pan bliżej światła...

– Nic mi nie dolega. – Jordan stanowczo odsunął rozmownego lekarza. – Interesuje mnie człowiek, którego przywieziono tutaj wczoraj wieczorem. Rufus Zekondin.

– Pamiętam, oczywiście, że pamiętam. Bardzo interesujący przypadek...

– Gdzie pan Zekondin jest teraz?

Sasches zakłopotał się.

– Obawiam się, że zmarł dziś nad ranem, ciało jest wciąż w sali. Pan Zekondin w nocy był dość niespokojny, więc położyliśmy go osobno. Za godzinę przyjedzie po niego furgon z kostnicy. Wie pan może, czy miał krewnych, których trzeba powiadomić?

– Miał żonę – wtrąciła się Julia – ale niestety nie wiemy, gdzie ona jest.

– Mogę zobaczyć zwłoki? – zapytał Jordan.

Sasches zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem...

Jordan przez chwilę rozważał, czy nie powiedzieć, że również jest lekarzem – dyplom uniwersytetu alestrańskiego prawdopodobnie zrobiłby wrażenie na kimś, kto studiował w Corsson, jednak wybrał prostsze rozwiązanie.

– Rufus Zekondin był moim przyjacielem, chciałbym się z nim pożegnać.

– A tak, oczywiście. Proszę za mną.

Zaprowadził ich do mniejszej salki, w której stały tylko dwa łóżka. Jedno było puste i równo zaścielone, na drugim pod prześcieradłem rysował się podłużny kształt. W pomieszczeniu unosił się na razie słaby, ale już rozpoznawalny odór rozkładu. Jordan podszedł bliżej i odchylił przykrycie. Bardziej wyczuł niż usłyszał, jak stojąca za nim Julia wciąga gwałtownie powietrze.

– Poczekam na zewnątrz – rzuciła.

Rufus Zekondin miał blisko pięćdziesiąt lat i ciało dobrze odżywionego wieloryba – kiepski materiał na romantycznego kochanka dla młodziutkiej dziewczyny, ale, jak powiedziała Julia, perspektywa społecznego awansu mogła zawrócić w głowie ubogiej służącej. Jordan sięgnął do sztywnej od krwi koszuli zmarłego i rozchylił ją. Zupełnie zapomniał przy tym, że powinien udawać pogrążonego w bólu przyjaciela, na szczęście jednak Sasches nie był zbyt dociekliwy.

– Zekondin zmarł w tym łóżku?

– Tak. Zapewniam pana, że odszedł spokojnie, we śnie. – Wykrzywiona przerażeniem twarz trupa świadczyła o czymś wręcz przeciwnym, niemniej Jordan potrafił docenić zdolności, których jemu brakowało – bo Sasches był chyba lepszym pocieszycielem niż medykiem.

– A krew?

Lekarz znowu się zakłopotał.

– No tak, dziwna sprawa. Uznałem jednak, że tuż przed śmiercią zmarły musiał krwawić z ust, to się czasem zdarza... Oczywiście nie cierpiał przy tym – zapewnił pośpiesznie. – Prawdopodobnie nawet nie zdawał sobie sprawy...

– Wiem, zmarł spokojnie we śnie. – Jordan naciągnął prześcieradło z powrotem na zwłoki, po czym pochylił się i obejrzał podłogę z sosnowych desek. Widniały na niej czerwone, zaschnięte już plamy wielkości paznokcia, ciągnące się od łóżka aż do drzwi. – Ciekawe, czy w tym spokojnym śnie Rufus Zekondin spacerował po pokoju?

– Słucham? – Sasches podniósł na Jordana nierozumiejące spojrzenie. – Czy pan sugeruje, że źle zajęliśmy się pana przyjacielem? Zapewniam...

Domenic wyszedł i nie zwracając uwagi na coraz większe zdumienie lekarza, kucnął w korytarzu, po czym obejrzał podłogę. Niczego nie znalazł – jeśli były tu jeszcze jakieś ślady, to dawno zostały zdeptane.

– Czy ktoś odwiedzał Zekondina w nocy albo dziś rano? – zapytał.

Stojąca przy wejściu do sąsiedniej sali Julia drgnęła lekko, ale tylko po tym można było poznać, że przysłuchuje się rozmowie.

– Nie, nikt go nie odwiedzał – głos Saschesa niespodziewanie stwardniał. – Pana zachowanie jest wysoce niestosowne...

– Przecież pan nawet by o tym nie wiedział, skoro każdy tu może wejść z ulicy – uświadomił go Jordan, a Sasches poczerwieniał gwałtownie.

– Pan jest bezczelny. Nikogo tu nie było. A może nasłuchiwał się pan głupstw od starego Nikosana? – Skiniecie głową w stronę drugiej sali nie pozostawiało wątpliwości, kogo ma na myśli. – Mówiłem panu, że od czasu cudu ten człowiek nie myśli trzeźwo.

– I co opowiada pan Nikosan? – Jordan nie zamierzał odpuścić.

Sasches wzruszył ramionami.

- Że o świcie po Zekondina przyszła sama Śmierć. To bzdura, oczywiście, nikt rozsądny nie uwierzy w takie brednie. Proszę już iść, za chwilę będę musiał zająć się chorymi...

Jordan skierował się w stronę drzwi, lecz w progu odwrócił się jeszcze na chwilę.

- Dlaczego właściwie cud miałby odebrać komuś trzeźwość myślenia?

Liczył się z tym, że Sasches nie odpowie, jednak pulchny lekarz zaskakująco szybko wrócił do swojej jowialnej gadatliwości.

- O, to bardzo ciekawa sprawa. Pan Nikosan od dawna chorował i pogodził się ze śmiercią, w pewien sposób chyba na nią czekał, bo jego sytuacja finansowa... powiedzmy, że jest skomplikowana i dla rodziny byłoby lepiej, gdyby zmarł. Wszyscy szykowaliśmy się już na koniec, a tu nagle niespodzianka: wczoraj rano pacjent obudził się zdrowiuteńki jak dwudziestoletni młodzieniec. Cud, niewątpliwie. - Sasches uśmiechnął się triumfalnie, niemal jakby to był jego sukces. - Zatrzymałem go jeszcze na parę badań, ale nie ma wątpliwości, że panu Nikosanowi fizycznie nic nie dolega. Psychicznie natomiast... Biedaczek źle to przyjął, musi minąć trochę czasu, zanim się przyzwyczai. Niezbadane są wyroki Boskie, prawda? Gdzie pan znajdzie drugie takie miasto jak Sour?



- Co teraz? - zapytała Julia, gdy wyszli ze szpitala na smażącą się w słońcu ulicę. Jordan odruchowo zmrużył oczy.

- Nie mam pojęcia - przyznał uczciwie. - Potrzebowałbym spokojnego miejsca, żeby się zastanowić.

I odpocząć, pomyślał. Nie powinien być zmęczony o tej porze, przecież nie minęło jeszcze południe. Martwiło go to, choć zawsze mógł

złożyć winę za kiepskie samopoczucie na upał.

Julia milczała.

– Nadal jest pan przekonany, że potrafi znaleźć Claudię? – zapytała po chwili.

– Tak – odparł, choć wcale nie miał pewności.

– I co pan zamierza z nią zrobić?

– Prawdopodobnie porozmawiać.

– Na temat tego, co wydarzyło się w Domu?

Skinął głową. Julia zagryzła mocno dolną wargę.

– A potem?

– Dlaczego w ogóle zakłada pani, że będzie konieczność robienia czegoś potem? – zapytał, a kobieta znowu uciekła spojrzeniem w bok.

– Czy może pan obiecać, że przynajmniej jej pan wysłucha?

To mógł obiecać całkiem szczerze. Julia odetchnęła, choć nadal nie wydawała się do końca przekonana.

– Wiem, gdzie możemy się zatrzymać – powiedziała.



Adam Babireye mieszkał na obrzeżach miasta, w piętrowym domu, który najwyraźniej porzucono w połowie budowania. Parter był wykończony, natomiast na pierwszym piętrze zamiast okien ziały dziury, brakowało części dachu, a z tarasu nieostrożny domownik mógł spaść prosto na skały, o które rozbijały się fale.

Pod ścianami piętrzyły się stosy wysuszonych słońcem cegieł. Wyglądały na stare, jakby pracę nad domem przerwano dwadzieścia lat temu i od tego czasu budynek tylko popadał w ruinę. Siedzący przed wejściem chłopczyk na widok gości zerwał się i z wrzaskiem wpadł do wnętrza, porzucając piłkę z kolorowych szmatek, która potoczyła się

pod nogi Jordana. Mężczyzna kopnął ją, co oprotestowała głośnym gđakaniem spacerująca po zagraconym podwórku kura.

Kobieta, która wyszła im na powitanie, także zdecydowanie odbiegała od tego, czego spodziewał się Jordan. Była brudna, ze zniszczonymi od pracy rękami, w chustce, spod której wymykały się kosmyki tłustych włosów. Uboga, zaniedbana i wyraźnie przerażona – z pewnością nie typ kobiety, która mogłaby być szwagierką Julii Augustyny. Na widok gości wytrzeszczyła oczy i powiedziała coś wysokim, ostrym tonem. W jej głosie brzmiał podsycany strachem gniew.

Jordan był pewien, że nikt nigdy z taką złością i lękiem nie witał wracającej do domu córki marnotrawnej.



– Pochodzę z biednej rodziny – powiedziała Julia, kiedy kwadrans później siedzieli na piętrze.

Zdążyła już pożyczyć od szwagierki prostą płócienną suknię i przebrać się w nią, miała też na nogach zdecydowanie bardziej pasujące do otoczenia skórzane sandały. Mimo to nadal wyglądała na damę. Jordan pił wodę, którą przyniosła pani Babireye – korzystając z pośrednictwa swojej tłumaczki, zapewnił, że niczego więcej nie potrzebuje, ale gospodyni nie wyglądała na przekonaną. Jego obecność najwyraźniej wprawiała ją w zakłopotanie, a szwagierka wciąż budziła w kobiecie wściekłość.

– Przepraszam za to wszystko – dorzuciła Julia, jednym ruchem ręki obejmując rozpadające się meble, odrapane ściany i śmieci, zamiecione na kupkę pod drzwiami, a potem zapomniane. Pani Babireye nadal walczyła z chaosem, ale najwyraźniej coraz bardziej z nim przegrywała.



– Wygląda pan na kogoś przyzwyczajonego do znacznie lepszych warunków.

– Jestem przyzwyczajony do lepszych warunków – odparł. – Ale to nie znaczy, że nie doceniam pomocy pani i pani szwagierki.

Julia znajomym Jordanowi gestem obracała w palcach kubek z wodą. Przez dziury w dachu wpadało słońce, podświetlając unoszące się w powietrzu drobinki kurzu. Pachniało starym drewnem, psującym się jedzeniem i mokrą psią sierścią. Z zewnątrz dobiegało szczekanie i wysokie głosy domagających się czegoś dzieci – musiało ich być sporo, czwórka, a nawet piątka. Pani Babireye odpowiedziała coś ostrym tonem, na co jedna z dziewczynek zaczęła krzyczeć.

– Wychowałam się w tym domu – powiedziała Julia Augustina z gorzkim uśmiechem. – Wtedy wyglądało tu lepiej... ale niewiele lepiej.

– Gdzie jest pani brat? Pracuje?

Skinęła głową, wodząc palcem po brzegu kubka.

– Odziedziczył zawód po ojcu, to w naszej rodzinie tradycja. Wróci pewnie wieczorem, zły i pijany. – Podniosła na Jordana wzrok, a w jej oczach zabłysło wyzwanie. – Jest miejskim katem, a ja córką kata. Wychowaną w domu, w którym kury przyłazą z podwórka i srają na meble.

Niewiele kobiet potrafiłoby użyć takich słów i jednocześnie wciąż sprawiać wrażenie osoby nienagannie wychowanej. Julii Augustinie udało się to bez najmniejszego trudu. Mogła nie być damą z urodzenia, ale z pewnością była nią z wyboru.

Jordan potrafił ją sobie wyobrazić jako młodą dziewczynę, wstydzącą się rodziny i rozpaczliwie tęskniącą do innego świata. Dziewczynę, która przynosiła do zaniedbanego, ponurego domu dzikie kwiaty, a potem długo zastanawiała się, jak ułożyć je w wazonie, głucha na pokrzykiwania matki. Może już wtedy otaczała ją ta nieuchwytna aura wdzięku i harmonii, która uderzyła Domenica, gdy pierwszy raz zobaczył Julię.

– A jednak udało się pani stąd uciec – powiedział.

– O tak, w jedyny sposób, jaki dostępny jest większości ubogich dziewcząt.

– Przez małżeństwo?

Przytaknęła.

– Był dość znanym malarzem, sporo ode mnie starszym.

Jordan zaczął rozumieć.

– To dlatego tak szybko zaprzyjaźniła się pani z Claudią? Bo zobaczyła pani w niej samą siebie sprzed lat?

Kolejne szybkie, nerwowe skinienie głową. Julia wciąż wpatrywała się w kubek, ale Jordan był pewien, że gdyby uniosła oczy, zobaczyłby w nich tę samą czujność, którą widział już wcześniej.

– Dwie siostrzane dusze – ciągnął. – I dwie historie jak z bajki, w których bogaty starszy artysta poślubia ubogą dziewczynę, choć możliwe, że ona zakochana jest nie tyle w nim, co w szansie, jaką daje ten związek. Co jeszcze się zgadzało? To, że piękny sen nagle zmienił się w koszmar?

Julia milczała. Dzieci za oknem ucichły na chwilę i teraz słychać było tylko poszczekiwanie psa.

– Jak nazywał się pani pierwszy mąż?

Zawahała się, ale odpowiedziała: – Abidan Zuberi.

Jordan wyjął z torby nóż i położył go na stoliku. Julia drgnęła lekko, a jej palce zacisnęły się mocniej na kubku.

– Należał do pani męża, prawda? Dała go pani wczoraj Claudii, żeby mogła się bronić.

W oczach kobiety dostrzegł chłodny błysk. Julia Augustina mogła kochać piękne stroje i ozdabiać wynajęty pokój kwiatami, ale była także twardą córką kata, która wiele przeszła, zanim osiągnęła swoją pozycję.

– Imiona zaczynające się od „A” są w Numidii popularne. Jestem pewna, że bez trudu znajdzie pan wśród przodków Zekondina jakiegoś Adama, Abre albo Avilusa.

I która z pewnością nie była głupia.

– Sprytne – pochwalił. – Byłby z pani dobry zabójca.

- Pan mnie obraża.
  - Wręcz przeciwnie, to był komplement. Mniejsza z tym. Wiem, że przez cały czas martwi się pani o tę dziewczynę. Mogę panią uspokoić: Claudia nie użyła tego noża ani wczoraj wieczorem, ani dzisiaj rano. Oczy Julii rozszerzyły się ze zdumienia.
  - Ale... widziałam krew na koszuli Zekondina.
  - Nie była jego. Mąż Claudii zmarł z przerażenia.
  - A wczorajszy wieczór? Kiedy ta służąca przybiegła, myślałam...
  - Wiem, o czym pani myślała. Ale pan Zekondin tylko źle się poczuł. Najpierw ten upał, potem wino do kolacji, a jeszcze później awantura z żoną. Miał problemy z sercem i zrobiło mu się słabo. Nic poważnego.
  - Dlaczego w takim razie wysłał go pan do szpitala?
- Jordan wzruszył ramionami.
- Pomyślałem, że Claudii przyda się dzień czy dwa poza zasięgiem męzkowskich pięści. Poza tym z przykrością stwierdzam, że tutejsze szpitale mają zdumiewająco wysoki poziom. W Alestrze pan Zekondin miałby szansę zarazić się jakąś paskudną chorobą i zejść z tego świata, jak na przyzwoitego człowieka przystało.
- Julia Augustina patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.
- Myślę, że źle pana oceniłam - uznała wreszcie. - Choć nie jestem pewna, czy podoba mi się pańskie poczucie humoru.
  - Może w takim razie spodobają się pani moje rysunki. Czy w tym domu znajdzie się jakiś szkicownik?



Julia zniknęła, żeby poszukać szkicownika, a Jordan wyszedł na taras. Słońce zakłuło go pod powiekami. Zamrugął i po chwili oczy przyzwyczyły się do jaskrawego światła.

Pod stopami miał błękitne morze, które rozbijało się o skały, pióropusze piany na falach miały kolor świetlistej, wypróżonej w upale bieli, jak schnące na sznurze prześcieradła. Wszystko wokół wydawało się zbyt jasne i zbyt gorące. Daleko na plaży zobaczyły piątkę dzieci w różnych odcieniach brązu, które goniły ze śmiechem skundlonego psa – ich ostre młodzieńcze głosy docierały do niego niczym odległe echo czegoś, co zdarzyło się dawno temu.

Odwrócił się, gdy usłyszał kroki za plecami. Na taras wyszła dziewczynka, trzynasto- albo czternastoletnia. Złożyła niezgrabny ukłon, po czym powiedziała całkiem poprawnym okcytańskim: – Mama wysłała mnie, żebym zapytała, czy chciałby pan coś zjeść.

– Dziękuję, nie jestem głodny.

Pokazała w uśmiechu białe zęby, które kontrastowały z ciemną skórą. Była podobna do ciotki, choć nie tak ładna, i sprawiała wrażenie bystrej.

– Dobra decyzja – pochwaliła, gapiąc się na Jordana bez zażenowania. Nie przeszkadzało mu to, wolał ciekawość tego dziecka niż irytujące zakłopotanie jego matki.

– Chciałbym o coś zapytać – powiedział.

– Tak? – Zaintrygowana dziewczynka nadstawiła uszu.

– Pamiętasz, jak twoja ciocia uciekła z panem Zuberim?

– Tym malarzem? Nie bardzo, miałam wtedy pół roku. Ale mama dużo mi potem opowiadała. Jestem najstarsza z rodzeństwa – pochwaliła się.

– Czy mama mówiła ci także, czemu jest na ciocię zła? – Był to jeden z tych intrygujących drobiazgów, jakich nie potrafił wyjaśnić. Jeśli biedna dziewczyna ucieka z bogatym mężczyzną, a po latach wraca jako zamożna kobieta, nie jest to powód do złości, zwłaszcza że rodzina Babireye'ów nie sprawiała wrażenia szczególnie religijnej.

– Nie. – Dziewczynka wyglądała na szczerze zrozpaczoną, że nie potrafi pomóc. – Raz tylko powiedziała coś, czego nie zrozumiałam...

– Co takiego?

– Że nie można stawiać człowieka nad Bogiem. Jakby ciocia miała do klasztoru iść, nie?

– A miała?

– Nie, z tego, co wiem, nie. Dlatego to bez sensu jest. Może mamie się coś pomyliło? Pytałam ją, ale nic więcej nie chciała powiedzieć. Mogę zapytać jeszcze raz, jeśli pan chce. – Dziecko bardzo chciało być przydatne.

– Lepiej nie. – Wolał, żeby pani Babireye nie zaczęła się zastanawiać, czemu cudzoziemiec wypytuje o jej szwagierkę. – A co znaczą słowa „*Ur iya timasu*”?

– „Jestem w piekle”. Chyba. Ma pan okropny akcent.

Dziewczynka najwyraźniej jeszcze na coś czekała – może na kolejne pytanie, może na pochwałę, że świetnie mówi po okcytańsku, a kiedy doczekała się jedynie podziękowania, pożegnała się i odeszła, wyraźnie rozczarowana.



Kilka minut później wróciła Julia. Niosła poźółkły szkicownik, a jej biała sukienka wydymała się na wietrze. Jordan odwrócił się.

Stał teraz na końcu tarasu, niebezpiecznie blisko niezabezpieczonej żadną poręczą krawędzi. Przez twarz kobiety przemknął skurcz, jakby nagle w tym jasnym, ostrym słońcu ujrzała ducha z przeszłości. Trwało to krótko, ledwo ułamek sekundy. Szybko się opanowała, a Domenic udawał, że niczego nie zauważył.

– Tylko tyle znalazłam – powiedziała. – Jeszcze z czasów, kiedy Abidan uczył mnie rysować.

Podziękował jej i usiadł przy stoliku. Z dwojga złego wolał siedzieć w słońcu na tarasie niż w budynku, gdzie złe wspomnienia rodziny Babireye wydawały się lepić do mebli niczym tłusty brud.

Szybkimi ruchami naszkicował plan Domu Pielgrzyma, a potem dorysował leżące w odpowiednich miejscach ciała. Julia obserwowała go w milczeniu. Odezwała się dopiero, gdy zaczął zaznaczać na schematycznych rysunkach rany – mocniejszą kreską te głębsze, wymagające większej siły, a słabszą płytsze nacięcia.

– Dlaczego tak bardzo interesują pana te morderstwa?

– Dlaczego tak mało interesują panią te morderstwa?

Zacisnęła usta, odwracając się na chwilę w stronę morza.

– Lubię to, co ładne – powiedziała. – Nigdy nie przepadałam za wszystkim, co wiąże się ze śmiercią.

– Ale sporo pani o niej wie.

Skinęła głową, nadal patrząc w morze.

– Kiedy byłam dzieckiem, mama czasem wysyłała mnie do ojca z obiadem. Nie znosiłam tego. On... zamiast po prostu wziąć koszyk i wrócić do pracy, zawsze mnie zagadywał, chciał, żebym weszła do środka i zobaczyła to czy tamto. W Okcytanii nie stosuje się już tortur, ale tutaj to ciągle popularna metoda wymuszania zeznań. Zanim skończyłam dwanaście lat, napatrzyłam się na różne rzeczy. Nie chcę więcej oglądać śmierci ani nawet myśleć o niej. Poza tym co to ma za znaczenie? I tak nie wróci pan w ten sposób nikomu życia.

– Nie chodzi o przywrócenie komuś życia.

– Tylko o co? O sprawiedliwość?

– Ma zaszczytne drugie miejsce, owszem – przyznał Jordan, kończąc szkic i przyglądając mu się z uwagą.

– A co jest na pierwszym?

– Ciekawość.

Parsknęła cicho.

– Przynajmniej jest pan uczciwy.

Jordan nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Czekał, ciekaw, czy Julia Augustina, mimo całej swojej niechęci do rozmów o śmierci, nie jest jednak pozbawiona zwykłej ludzkiej słabości.

Nie była.

- A więc kto pana zdaniem zabił tych wszystkich ludzi? - zapytała.
- Nie mam pojęcia - przyznał. - Nic tu nie ma dla mnie sensu. Drzwi wejściowe były zamknięte, więc albo ktoś wpuścił do środka mordercę, a potem zamknął za nim drzwi, albo zabójcą jest ktoś z Domu.
- Pan, ja albo Claudia. Mam nadzieję, że nie podejrzewa pan dziewczyny...
- Raczej nie. To chuchro, a dńna Catarina miała prawie obciętą głowę. Pani nie zdołałaby zadać takiego ciosu... Chociaż może się mylę? Wygląda pani na silną.
- Julia westchnęła.
- Dla dobra naszej znajomości uznam to za kolejny dziwaczny komplement.
- Jordan przesunął w jej stronę rysunek i wskazał leżące na korytarzu ciało.
- Najbardziej intryguje mnie pokojówka. Śmierć pozostałych jestem w stanie zrozumieć. Byli w łózkach, morderca zaskoczył ich we śnie. Dziwne, że nikt się nie obudził i nie próbował wołać o pomoc, ale ostatecznie możliwe. Jednak służąca była przytomna, kiedy spotkała na korytarzu zabójcę, a jednak też nie krzyczała. Dlaczego?
- Może morderca zaatakował ją od tyłu?
- Rany zostały zadane od przodu. Poza tym był świt, w domu panowała cisza, w której słyhać doskonale każdy krok, a ta dziewczyna nie robiła nic, co by jakoś specjalnie zaprzętało jej uwagę, tylko gasiła świece. Gdyby ktoś zbliżał się do niej korytarzem, odwróciłaby się odruchowo, żeby sprawdzić, kto wstał o tak wczesnej porze.
- A jeśli znała mordercę? W takim przypadku mogła się zdziwić, ale nie zaniepokoić, aż było za późno.
- Trudno się nie zaniepokoić, kiedy korytarzem idzie w twoją stronę zakrwawiony człowiek. Bo przecież morderca musiał ubrudzić się krwią, sama to pani powiedziała.
- Może zabił służącą jako pierwszą?

– Też o tym myślałem. Ale to nadal nie ma sensu. Proszę spojrzeć: tutaj, na końcu korytarza, jest pokój Radkego, a tu leżało ciało pokojówki. Krwi było na tyle dużo, że nie dałoby się przeskoczyć kałuży. Jeśli ktoś po zabójstwie służącej poszedłby poderżnąć gardło prawnikowi, to wracając, musiałby wdepnąć w plamę i zostawić ślady.

– Ale śladów nie było – powiedziała Julia wolno.

– Nie, śladów nie było – powtórzył.

Potrząsnęła głową.

– Może to demon?

– Demony w naszym świecie są istotami fizycznymi i również zostawiają ślady. Poza tym one zabijają inaczej, za pomocą zębów i pazurów. A te rany wyglądały jak zadane jakimś długim, bardzo ostrym narzędziem, znacznie dłuższym i ostrzejszym niż nóż, który dała pani Claudii.

– Czymś w rodzaju miecza?

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– Na przykład. Chociaż ktoś idący przez miasto z zakrwawionym mieczem nawet o piątej rano zwróciłby na siebie uwagę. – Nagłym ruchem wziął ze stołu kartkę, zmiął ją i cisnął na taras. – Mówiłem, że to nie ma sensu.

Do zmęczenia dołączył pulsujący ból głowy, słońce paliło go pod czaszką. Gdy Domenic zamknął oczy, zobaczył nagle z całą wyrazistością twarz dżny Catariny. Była wścibską, gadatliwą staruszką i Jordan nie miał powodów, żeby jakoś szczególnie ją lubić, ale nie zasługiwała na taką śmierć. Nikt z Domu Pielgrzyma nie zasługiwał.

Jakim cudem mógł przespać zamordowanie ośmiu osób? Był wściekły na samego siebie i bezradny, a to go przerażało.

Julia lekkim ruchem dotknęła jego ramienia.

– Dobrze się pan czuje?

Chciał odpowiedzieć, że męczy go upał, ale ostatnio zbyt często używał tej wymówki – wobec innych i wobec samego siebie. Wstał więc



tylko i podniósł kartkę, którą tymczasem wiatr zaniósł na przeciwległy kraniec tarasu.

– Powinniśmy odnaleźć Claudię – powiedział.

– Martwię się o tę dziewczynę. – Julia Augustina w jednej chwili zapomniała o samopoczuciu Jordana, co w innych okolicznościach byłoby może nawet przykre. – Ta krew na koszuli jej męża... Ona mnie niepokoi.

– Mnie też, choć prawdopodobnie z innych powodów.

Zdawała się go nie słyszeć.

– Próbowałam sobie wmawiać, że jeśli Claudia została ranna, ktoś na pewno się nią zajął, poza tym skoro potrafi chodzić, to nie może być nic poważnego. Ale... dziewczyna jest oszołomiona, przerażona i nie zna miasta... Musimy ją znaleźć, proszę. Gdzie ona jest?

– Nie wiem.

Julia poderwała głowę nagłym, pełnym złości ruchem.

– Mówił pan, że potrafi ją znaleźć.

– Skłamałem – przyznał bez śladu skruchy. – Nie mam pojęcia, dokąd ta dziewczyna mogła pójść. Ale pani może wiedzieć.



– Claudia jest oszołomiona i nie zna miasta, dokładnie tak, jak pani powiedziała. Zna Dom Pielgrzyma i szpital, a poza tym? Gdzie jeszcze była? Jakie miejsce może kojarzyć jej się na tyle dobrze, że mogłaby odruchowo próbować się tam schronić?

Julia myślała przez chwilę.

– Cmentarz Niewiniątek – powiedziała wreszcie. – Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Claudia mówiła, że to takie przyjemne, ciche i chłodne miejsce.



Julia zaproponowała, że pożyczy Jordanowi coś z ubrań Adama, ale odmówił. Nie dlatego, że nie miał ochoty chodzić w stroju ubogiego kata – w tej sytuacji byłby skłonny się przełamać – ale dlatego, że tak ubrany tylko zwracałby na siebie większą uwagę. Udawanie tubylca, kiedy wyglądał jak cudzoziemiec i nie znał miejscowego języka, nie miało sensu. Zdecydował się więc założyć najbardziej zniszczony i najmniej elegancki kaftan, jaki znalazł w torbie. To oraz zasłaniający twarz kapelusz, jaki nosili w Sour niemal wszyscy przyjezdni, chwilowo musiało wystarczyć za przebranie.

Minęło południe, miasto zaczynało pustoszeć, bo kto tylko mógł, chował się przed skwarem na kilka najbliższych godzin. Jordan i Julia celowo wybierali najludniejsze ulice, te, przy których swoje kramy rozłożyli najbardziej zdeterminowani sprzedawcy i którymi chodzili najwytrwalsi pielgrzymi. Mimo to i tak tłum był zdecydowanie mniejszy niż rano. W spojrzeniach przechodniów Jordan widział napięcie, a mijając uliczne kawiarenki, wychwytywał strzępy rozmów, których nie rozumiał, ale bez trudu mógł odgadnąć znaczenie. Wieść o morderstwie w Domu Pielgrzyma już się rozniosła i teraz żyło nią całe miasto.

Dwa razy przeszli obok ludzi, w których domyślił się tajnych agentów. Jeden z nich na widok Jordana zmarszczył brwi i chyba chciał go zatrzymać, ale spokój mężczyzny, a także widok idącej obok kobiety najwyraźniej przekonały stróża prawa, że nie warto. Raz Domenic omal nie wpadł na Baptistę, wypytującego ludzi na targu kwiatowym; od oficera dzieliło go nie więcej niż dziesięć – piętnaście kroków. Skręcił wtedy tak naturalnie, że gdy minęli targ, Julia zaśmiała się.

– Ma pan nerwy ze stali – powiedziała, a Jordan przypomniał sobie poprzednie spotkanie z Baptistą i pomyślał, że teraz przynajmniej jego opanowanie na coś się przydało.

Cmentarz, na który zmierzali, znajdował się na wzgórzu nad miastem. Docierały tu jeszcze słabe podmuchy słonego wiatru, a posadzone wzdłuż alejek cyprusy dawały pachnący żywicą cień. Rzeczywiście było to zaskakująco chłodne, przyjemne miejsce. I puste, jeśli nie liczyć grających w trawie cykad.

Julia usiadła na ławce, Jordan poszedł w jej ślady. Większość grobów wyglądała staro, krzyże pochyliły się pod brzemieniem lat, kamienne płyty popękały i porosły mchem. Nie wyczuwało się tu charakterystycznej dla cmentarzy atmosfery melancholii, jakby nawet duchy opuściły to wzgórze.

Domenic pochylił się i odczytał na wpół zatarty napis na jednym z nagrobków: 1655–1662. A obok drugi, z identyczną datą śmierci i niewiele wcześniejszą urodzenia. Dzieci, prawdopodobnie zmarłe na zarazę. Pomyślał o pani Babireye, która żegnała ich, tuląc do siebie jednego z synów. Przypomniawszy sobie jej duże, czujne oczy, których wyraz mówił aż nadto dosadnie: „Wyjedź stąd i nigdy nie wracaj”. Pani Babireye brakowało wdzięku i urody szwagierki, a prawdopodobnie także jej inteligencji, ale pod pewnymi względami była mądrzejsza – mądrością prostych ludzi, którzy znają się na sprawach ostatecznych i potrafią wyczuć niebezpieczeństwo.

– Po co przyjechała pani do Sour? – zapytał.

Wyrwana z zamyślenia Julia spojrzała na Jordana. Wbrew temu, czego się spodziewał, w jej oczach nie było niechęci.

– Mam odpowiedzieć, żeby zaspokoić pana ciekawość?

– Czemu nie? I tak nie mamy lepszego zajęcia, jak tylko siedzieć tutaj, rozmawiać i czekać.

Julia Augustina bawiła się paskiem przy sukni, skubiąc wystające z materiału nitki.

– Przyjechałam prosić o cud – powiedziała, kiedy już stracił nadzieję, że się odezwie. – Tego pan się sam domyślił. Mój mąż i ja... nie mamy dzieci, a wiem, że jemu bardzo na tym zależy. Dlatego pomyślałam... Sama nie wiem, co właściwie sobie myślałam. I nie wiem, dlaczego

wybrałam właśnie Sour. Może chciałam wrócić do domu, choć na parę dni? Przez tyle lat unikałam tego miasta, ale jednak za nim tęskniłam. Teraz myślę, że mogłam... mogłam popełnić błąd.

– I musiała tu pani przyjechać w tajemnicy przed mężem?

– Och, nie zna pan Salomona. On jest bardzo zasadniczy, jeśli chodzi o pewne kwestie. Nie wierzy w Boga i uważa, że wszystkie cuda, czynione rzekomo w Jego imię, to tak naprawdę tylko...

– Magia? Czary?

– Owszem. To samo, co korzystanie z usług demonów, tylko inaczej nazwane.

– Prawdopodobnie w większości przypadków ma rację – mruknął Jordan.

– Pan wierzy w Boga?

– Boję się, że może istnieć. To niezupełnie to samo.



– Proszę spojrzeć.

Julia pierwsza zauważyła zmierzającą w ich stronę postać. Był to zgarbiony, powłóczyący nogą mężczyzna, którego ciemny roboczy strój zdradzał miejscowego grabarza. Zbliżył się do ławki i nie unosząc głowy, wymruczał kilka słów po berberyjsku.

– Mówi, żeby pójść z nim – przetłumaczyła podekscytowana. – Że jakaś dziewczyna chce się z nami widzieć. Myśli pan, że to Claudia?

– Nie wiem, zaraz się przekonamy.

Mężczyzna poprowadził ich do małego domku przytulonego do cmentarnego muru. Julia pochyliła się i zamieniła z przygarbionym grabarzem kilka słów, potem zaczęła na idącego z tyłu Jordana. Wyglądała teraz na zdecydowanie mniej podekscytowaną, a bardziej zaniepokojoną.

– Podobno dziewczyna nie potrafi mówić, tylko pokazuje gestami, czego chce. Nie wiem, czemu ten człowiek twierdzi, że „muszę zobaczyć”. – Chwyciła Jordana za rękę i ścisnęła mocno. – Pomoże jej pan?

– Postaram się. – Delikatnie uwolnił dłoń z uścisku.

Weszli do chaty. Panował tu półmrok, w którym Jordan dostrzegł prosty drewniany stół na środku i skuloną w kącie dziewczęcą postać. Wnętrze wyglądało na bardzo ubogie, ale unosił się w nim całkiem przyjemny zapach szarego mydła i jakiejś ostro przyprawionej papryką potrawy. Miła odmiana po ponurym domu kata.

Domenic podszedł do zamkniętych okiennic i otworzył je na oścież. Słońce wydobyło z mroku wyszorowany do czysta stół, na którym leżał talerz z posiłkiem. Grabarz albo sam zamierzał jeść, albo, co bardziej prawdopodobne, w pierwszym odruchu chciał nakarmić niespodziewanego gościa, który wcisnął się jeszcze głębiej w kąt, jakby raziło go światło.

Jordan podszedł i kucnął obok dziewczyny. Ostrożnie dotknął jej włosów, cienkich, w mysim kolorze. Claudia uniosła głowę, ale rękami wciąż opasywała klatkę piersiową, jakby było jej zimno. Albo jakby próbowała coś przytrzymać.

– Nie bój się – powiedział medyk, a Julia przetłumaczyła jego słowa, dodając kilka od siebie.

Powoli, starając się zrobić to jak najdelikatniej, oderwał rękę Claudii od ledwo pączkujących piersi. Sukienkę miała rozciętą i sztywną od krwi. Rozchylił materiał i ujrzał bladą skórę. A także ranę, ciągnącą się od gardła z prawej strony aż do lewego boku. Widać w niej było strzaskane żebra i serce, wciąż pulsujące w głębokim na pół dłoni rozcięciu.

Z każdym skurczem z rany wypływał czerwony strumyczek. Krwi nie było dużo, zdecydowanie mniej, niż można by się spodziewać przy takich obrażeniach, ale wciąż płynęła, choć dziewczyna dawno powinna umrzeć.

Jordan patrzył na kurczące się i rozkurczające jak czerwona pięść serce. Zafascynowany tym widokiem na kilka sekund zapomniał o dziewczynie, dopiero cichy krzyk Julii przypomniał mu, gdzie i po co się znalazł.

Puścił ręce Claudii, a ona natychmiast znów objęła dłońmi piersi. Jej usta poruszały się, jakby chciała coś powiedzieć, ale żaden dźwięk nie mógł przedostać się przez rozcięte gardło. Jordan pochylił się, obserwując wargi dziewczyny.

– „*Ur iya timasu*” – bardziej domyślił się niż odczytał słowa.

Claudia powoli przymknęła oczy.

Tak.

Jordan wstał.

– Wyjdźmy stąd – powiedział do Julii, która bez oporu pozwoliła wyprowadzić się na zewnątrz. Grabarz został w chacie, ścigając ich bezradnym spojrzeniem.

Domenic posadził Julię na otaczającym cmentarz murku. Kobieta drżała, jej oczy znów wydawały się zwrócone do wewnątrz, ale tym razem opanowała się znacznie szybciej.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Ta rana... Claudia nie powinna tego przeżyć.

– I nie przeżyła – odparł. – Dziewczyna zmarła w Domu Pielgrzyma, tak jak wszyscy pozostali oprócz nas dwojga. A potem została przywrócona do życia. To cud. Sour jest miastem cudów.

– Przecież to żadne życie! Ta dziewczyna potwornie cierpi! Nie może pan... czegoś zrobić?

– Ma pani na myśli zabicie jej? Mógłbym strzelić Claudii w głowę, ale mam przeczucie, że nawet to nie pomoże. Cokolwiek ją ożywiło, wydaje się dość uparte.

– Dlaczego? Kim ona jest, że musi tak się męczyć?

– Nikim, jest zwyczajną dziewczyną, która w życiu miała pecha, choć z początku pewnie wydawało jej się, że to szczęście. Nie jest w żaden sposób ważna ani interesująca. Myliłem się: od początku chodziło nie o

nią, tylko o panią. Claudia cierpi najbardziej, bo ze wszystkich mieszkańców Domu Pielgrzyma ją polubiła pani szczególnie.

Czekał na jej reakcję: protest, jakieś pytania. Ale Julia milczała, szarpiąc tym razem koronkę przy rękawie. Jordan pomyślał, że jeśli to wszystko potrwa dłużej, kobiecie nie zostanie ani jedna cała sztuka odzieży.

– O czym myślała pani wczoraj wieczorem? – kontynuował, kiedy jasne się stało, że nie otrzyma odpowiedzi – Mam zgadnąć? W porządku, spróbuję. Myślała pani, że dobrze jest wrócić do rodzinnego miasta, że niepotrzebnie unikała go pani tak długo. Że spotkała tu pani miłych ludzi, pokojówka jest urocza, służący grzeczni, a dżna Catarina bardzo troszczy się o biedną Claudię. Oczywiście pana Zekondina oraz mnie wykluczyła pani z grona sympatycznych osób, my nie byliśmy mili.

Spojrzała na niego spłoszona.

– Pomyliłam się co do pana, już to mówiłam. Proszę o wybaczenie. – To było niesamowite, ale nawet w takiej chwili Julia Augustina przejmowała się towarzyskimi formami.

– Biorąc pod uwagę, że pani niechęć ocaliła mi życie, nie mam pretensji.

Kobieta milczała. Jordan na chwilę przymknął oczy. Wciąż był znużony, jakby nie spał od wielu dni, a ból głowy niemal odbierał mu zdolność jasnego myślenia. Ironia losu polegała na tym, że właściwie jej nie potrzebował, bo to, co wydarzyło się w Domu Pielgrzyma, nie podlegało logice.

Było niepojęte, jak uderzający z jasnego nieba grom, jak gniew Boży, który obrócił w proch Sodomę i Gomoreę. Jak brutalność aniołów z mieczami, wysyłanych na ziemię, aby zabijali pierworodnych. Jordan przypomniał sobie swój idiotyczny żart wczorajszego wieczoru na tarasie i zachciało mu się śmiać.

– Zginęli przeze mnie – powiedziała Julia. – Ponieważ dobrze się wśród nich czułam. Ponieważ wydawali mi się mili. Wszyscy, nawet

służący.

– Tak. – Mógł ją okłamać, ale to nie miało sensu. Zresztą zasługiwała na prawdę. – Jeszcze wczoraj nie uwierzyłbym, że coś takiego w ogóle jest możliwe. Łaska czy cud to przecież to, czego ludzie pragną, o co się modlą. Nie zawsze, ten mężczyzna w szpitalu wcale nie chciał zostać uzdrowiony, ale nie sądziłem, że ktoś mógłby...

– Odmówić? – Zaśmiała się gorzko. – Może pan wierzyć, że nie było łatwo. Poszłam na plażę o świcie, a kiedy mnie znaleźli, dochodziło południe. Nie pamiętam większości tych godzin, ale to, co zostało mi w pamięci... Walczyłam. Pełzałam wzdłuż brzegu, po kamieniach i gnijących wodorostach, fale zalewały mi twarz, a ja na przemian to połykałam wodę, to znów krzyczałam. I walczyłam, żeby nie wpuścić tego do umysłu. Do domu przynieśli mnie rybacy, byłam cała we krwi, mało brakowało, a odgryzłabym sobie język... Kiedy się obudziłam, powiedziałam matce, co się stało. Była przerażona, a ja nie bardzo rozumiałam czemu. Tego samego popołudnia spakowała moje rzeczy i kazała mi iść do Abidana. Wyjechaliśmy, zanim się ściemniło, miesiąc później wzięliśmy ślub. Ja... właściwie byłam jeszcze dzieckiem, nie wiedziałam, co robię. Gdybym była starsza, chyba nie znalazłabym w sobie wystarczająco dużo odwagi. Ale miałam piętnaście lat i kochałam Abidana albo przynajmniej myślałam, że kocham. I miałam swoje marzenia, może głupie i dziewczęce, ale moje. I wiedziałam, że jeśli przyjmę ten... dar, łaskę czy jak to nazwać, to znowu będę musiała patrzeć na śmierć.

– Co właściwie pani odrzuciła? – zapytał Jordan, choć już się domyślał.

– Dar jasnowidzenia. Wie pan, umiejętność czytania z krwi zamordowanych...

– Mam pojęcie, co robią jasnowidze. – W Alestrze było trzech, a to i tak nie wystarczało na potrzeby stolicy. Ich usługi bardzo ceniono i hojnie wynagradzano. Ale oczywiście Julia miała rację: gdyby przyjęła



dar i zaczęła go wykorzystywać, od tej pory przez większość życia oglądałaby ofiary najbardziej przerażających zbrodni.

– Zapomniałam, że pan interesuje się takimi rzeczami. – Odgarnęła włosy z twarzy, po czym podjęła opowieść: – Po wyjeździe bałam się wracać do Sour. Nie bardzo, jak mówiłam, byłam młoda i głupia, ale na tyle, że nie przyjechałam na pogrzeb ojca ani matki. Zresztą Adam wyraźnie sugerował w listach, że nie będę mile widziana. Dopiero teraz, po dwunastu latach... Musiałam być szalona, skoro nawet nie przyszło mi do głowy, co może się stać. Ale tamto na plaży... Nie wiem, wydawało się trochę snem, jak koszmar, o którym zapomina się po przebudzeniu. Były dni, kiedy nie wierzyłam, że wydarzyło się naprawdę. A teraz osiem osób nie żyje, dziewięć, jeśli liczyć Claudię, bo przecież ona też tak naprawdę jest martwa. Albo gorzej niż martwa. Myśli pan, że to miała być dla mnie kara? Że wysłał... swojego anioła? Czy po prostu przypomnienie o tym, że są większe potęgi niż człowiek?

– Nie mam pojęcia.

Julia uparcie pokręciła głową.

– Nie wierzę, że to naprawdę Bóg. Ludzie mówią, że On... że ma Sour pod szczególną opieką, ponieważ nigdy nie było tu żadnego świętego, który mógłby czynić te wszystkie cuda, ale przecież to bez sensu, On znalazłby mnie wszędzie, nie musiałyby czekać, aż wrócę... Mam rację, prawda?

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Mógł jej powiedzieć, że o ile do mieszkańców zaświatów stosują się mniej więcej zasady ludzkiej logiki, o tyle do Boga i aniołów już niekoniecznie – dlatego wolał demony, one były przynajmniej przewidywalne – ale Julia prawdopodobnie o tym wszystkim wiedziała.

– Niech pan już idzie – powiedziała, wstając. – Zajmę się Claudią.

– Sama?

– Tak. Poradzi pan sobie? – Niczym uprzejma gospodyni zatroskała się o los cudzoziemca, który mógłby potrzebować jej pomocy. – Ma pan jakiś plan?

- Coś wymyślę. - Spróbował się uśmiechnąć, ale sam czuł, że przypominało to bardziej skrzywienie. Przez moment miał absurdalną ochotę zaufać jej na tyle, żeby zdradzić swój plan, zresztą nie było to nic skomplikowanego - ot, przeczekać w ukryciu, zakładając, że Baptista oraz jego ludzie będą go szukać przede wszystkim w porcie i na drogach prowadzących z miasta, a potem, kiedy zamieszanie się uspokoi i stróże prawa stracą nieco gorliwości, znaleźć okcytańskiego kapitana, który za niewielką opłatą przeszmugluje go na statek. Ale słabość ta szybko medykwowi przeszła. Biorąc pod uwagę, że Okcytańczycy nie przepadali za Berberami i prawie zawsze brali stronę rodaków, powinno mu się udać.

- Nie zna pan języka...

- Dam sobie radę - uspokoił ją.

Zarzucił torbę na ramię. Julia Augustina ukłoniła się z wdziękiem i zapewniła, że poznanie Jordana to prawdziwa przyjemność. Miło było wiedzieć, że niektóre rzeczy jednak się nie zmieniły.

- Chwileczkę - zatrzymał ją, kiedy wchodziła do chaty. - Jeśli nie uzna pani tego za zbyt śmiałość, czy mógłbym zadać jeszcze jedno pytanie?

- Tak? - Myślami już najwyraźniej była przy Claudii i dociekliwość Jordana zirytowała ją, ale szybko tę irytację ukryła.

- Powiedziała pani, że wtedy, na plaży, walczyła pani, żeby nie wpuścić czegoś do umysłu. Jak by to pani określiła? Dobre, złe, przyjemne, nieprzyjemne?

Zastanowiła się.

- Obce - odparła. - Przede wszystkim obce. Tak bardzo, że nie jestem w stanie znaleźć żadnych innych określeń.

Jordan podziękował i odszedł. Nie miał więcej pytań.